

Powieść inspirowana Szekspirem

OTELLO



Ten nowy

**TRACY
CHEVALIER**



projekt
SZEKSPIR

współcześni uznani autorzy
dramaturg wszech czasów
uniwersalne historie opowiedziane na nowo

Z okazji przypadającej w 2016 roku 400. rocznicy śmierci Williama Szekspira brytyjski wydawca Hogarth Press zaprosił do współpracy bestsellerowych pisarzy. Powierzył im opowiedzenie na nowo najbardziej znanych dzieł wielkiego dramaturga. Owocem ich pracy i talentów literackich jest seria współczesnych powieści, które są wydawane w kilkunastu językach na całym świecie. W Polsce książki ukazują się w kolekcji PROJEKT SZEKSPIR.

- ZIMOWA OPOWIEŚĆ • Jeanette Winterson
- KUPIEC WENECKI • Howard Jacobson
- POSKROMIENIE ZŁOŚNICY • Anne Tyler
 - BURZA • Margaret Atwood
 - OTELLO • Tracy Chevalier
 - MAKBET • Jo Nesbø
 - HAMLET • Gillian Flynn

TRACY CHEVALIER

TEN
NOWY

Otello Szekspira
opowiedziany na nowo

Przełożyła z angielskiego
Urszula Gardner



WROCŁAW 2017

Tytuł oryginału
New Boy. Othello retold

Ilustracja na okładce
© scol22/fotolia.com

Ilustracja na wyklejce
© Clare Curtis

Redakcja
BOŻENA SĘK

Korekta
BOGUSŁAWA OTFINOWSKA

Redakcja techniczna
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Copyright © Tracy Chevalier 2017
First published as *Othello* by Hogarth

Polish edition © Publicat S.A. MMXVII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.
All rights reserved

Wydanie elektroniczne 2017

ISBN 978-83-271-5776-8

Patronat



BRITISH
COUNCIL



lubimyczytać.pl



KRAKOW
UNESCO CITY
OF LITERATURE



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

Część pierwsza: PRZED SZKOŁĄ

Część druga: DUŻA PRZERWA

Część trzecia: OBIAD

Część czwarta: POPOŁUDNIOWA PRZERWA

Część piąta: PO SZKOLE

Część pierwsza
PRZED SZKOŁĄ

*Poszła Tola na wagary,
Wzięła z sobą plecak stary.
A w plecaku dziura była,
Prawie wszystko pogubiła.*



Dee spostrzegła go pierwsza. Zadowolona z siebie, nie pokazała go nikomu. Czuła się wyjątkowa, że ma go tylko dla siebie przez te kilka sekund, zanim wszyscy się zorientują i nic już nie będzie takie samo.

Na boisku przed szkołą roiło się od dzieci. W najlepsze odbywały się zabawy w kamyki, w klasy i w ganieanie z piłką, które miał przerwać dopiero pierwszy dzwonek. W przeciwieństwie do większości koleżanek i kolegów Dee pojawiła się na ostatnią chwilę – mama kazała jej wrócić na górę i zmienić bluzkę na luźniejszą, twierdząc, że tę, którą ma na sobie, zaplamiła żółtkiem, chociaż Dee nie widziała nigdzie ani śladu jajka. Po wyjściu z domu rzuciła się biegiem, aż warkocze jej podskakiwały i obijały się o plecy, lecz zwolniła, widząc, że w stronę szkoły podąża miarowy strumień uczniów. Znaczyło to, że nie jest spóźniona. Na boisku szkolnym stanęła minutę przed pierwszym dzwonkiem.

Nie miała więc czasu, aby dołączyć do swej najlepszej koleżanki Mimi, która skakała przez skakankę trzymaną przez dwie inne dziewczynki. Ruszyła prosto do drzwi szkoły, w których stał pan Brabant z innymi nauczycielami czekającymi, aż uczniowie ustawią się klasami. Jej wychowawca miał krótkie, obcięte na pazia włosy, które otaczały mu głowę ze wszystkich stron, i sztywno wyprostowaną sylwetkę. Dee kiedyś usłyszała, że pan Brabant walczył w Wietnamie. Choć nie była najlepszą uczennicą w klasie – ten tytuł należał

do kujonki Patty – lubiła zwracać na siebie uwagę wychowawcy, mimo że przez to nazywano ją czasem lizuską.

Zajęła miejsce w pierwszym rzędzie i rozejrzała się, zahaczając wzrokiem o dziewczynki ze skakanką. To wtedy go zobaczyła. Stał nieruchomo przy karuzeli, na której szaleli czterej chłopcy: Ian, Rod i jeszcze dwaj inni z czwartej klasy. Kręcili się tak szybko, że nauczyciel mógł interweniować w każdej chwili. Kiedyś jeden chłopiec spadł z rozpędzonej karuzeli i złamał sobie rękę. Dwaj czwartoklasiści wyglądali na przestraszonych, lecz nie mogli nic zrobić, bo Ian sprawnie odpychał się nogami od ziemi, aby utrzymać prędkość.

Chłopiec stojący przy karuzeli nie był ubrany tak jak inni, w zwykłą bawełnianą koszulkę, dżinsy i trampki. Miał na sobie rozszerzane na dole szare spodnie, białą koszulę z krótkim rękawem i czarne trzewiki, przez co przypominał ucznia prywatnej szkoły. Ale najbardziej rzucał się w oczy kolor jego skóry – Dee natychmiast pomyślała o niedźwiedziach brunatnych, które widziała w zoo podczas szkolnej wycieczki kilka miesięcy temu. Zwierzęta miały ciemnobrązową sierść z rudawymi refleksami i głównie spały, a kiedy nie leżały z zamkniętymi oczami, to obwąchiwały kupę jedzenia, którą opiekun cisnął im na wybieg. Rod chciał zaimponować Dee, więc rzucił patykiem w jednego z niedźwiedzi, który trochę się ożywił, obnażył żółte zębiska i zaryczał, a dzieci zaczęły się śmiać i piszczeć. Dee nie przyłączyła się do ogólnej zabawy; posłała Rodowi spojrzenie spod ściągniętych brwi i odwróciła się do niego plecami.

Nowy uczeń nie patrzył na karuzelę, tylko na budynek w kształcie litery L. Typowa podmiejska szkoła podstawowa, otwarta osiem lat wcześniej, wyglądała tak, jakby ktoś wziął dwa ceglane pudełka po butach i bez krztyny wyobraźni połączył je ze sobą pod kątem prostym. Gdy Dee zaczęła tu chodzić do zerówki, mury wciąż pachniały nowością. Obecnie budynek szkoły przypominał dziewczynce starą

sukienkę z rozdarciami, plamami i śladem po popuszczeniu rąbka. Dee znała wewnątrz każdą klasę, każde schody i wszystkie łazienki. Znała również każdy centymetr kwadratowy boiska, jak i placu zabaw, który znajdował się za szkołą i służył młodszym dzieciom. Dee spadła tam z huśtawki, rozdarła sobie rajtuzy na ślizgawce i utknęła na szczycie małego gaju, bo wdrapała się na górę, ale bała się zejść. Kiedyś razem z Mimi i Blaną ogłosiły, że jedna część placu zabaw należy wyłącznie do dziewczynek, i razem z obiema najlepszymi koleżankami oraz z Jennifer przepędzały każdego chłopca, który śmiał się zapuścić za wyznaczoną granicę. Tak jak inne dzieci chowała się za róg sali gimnastycznej, ponieważ tam nie sięgał wzrok dyżurującego akurat nauczyciela, dzięki czemu można było do woli przeglądać komiksy, grać w butelkę, a w wypadku dziewczynek – wypróbować kosmetyki. Dee spędziła na szkolnym podwórku większość swojego życia, śmiejąc się, płacząc, zakochując się, odkochując, nawiązując przyjaźnie i zyskując nielicznych wrogów. Był to cały jej świat, który uważała za coś oczywistego. Miesiąc dzielił ją od zakończenia roku szkolnego i przejścia do gimnazjum.

I teraz na to terytorium wkroczył ktoś obcy, ktoś, przez kogo Dee spojrzała na szkolne podwórko innymi oczami, dostrzegając jego brzydotę, i nieoczekiwanie dla samej siebie także poczuła się obco. Jak on.

Chłopiec ruszył z miejsca. Nie jak niedźwiedź, powoli i ospale. Raczej jak wilk albo – Dee wygrzebała z pamięci nazwę innego ciemnego zwierzęcia – jak pantera, która wygląda jak duży kot domowy. Cokolwiek sobie myślał – a z pewnością były to myśli o tym, że jest nowym uczniem wśród samych nieznanym, i to odmiennego niż on koloru skóry – człapał w stronę wejścia do szkoły i czekających tam nauczycieli z miną kogoś, kto w pełni, choć nieświadomie panuje nad swoim ciałem. Dee poczuła, jak coś ściska ją w piersi. Zacerpnęła tchu.

- No, no – odezwał się pan Brabant. – Chyba słyszę bębny.
- Pani Lode, wychowawczynie szóstej „b”, zaśmiała się cicho.
- Pani dyrektor mówiła, skąd on jest...
- Zdaje się, że z Gwinei. A może z Nigerii? W każdym razie z Afryki.
- Trafi pod twoje skrzydła, prawda? I całe szczęście.

Pani Lode wygładziła spódnicę i dotknęła palcami kolczyków, jakby chciała sprawdzić, że są na swoim miejscu. Był to nerwowy tik, który często jej towarzyszył. Generalnie prezentowała się schludnie, jeśli nie liczyć średniej długości jasnych włosów, które kręciły jej się niesfornie. Dziś miała na sobie limonkową spódnicę, żółtą bluzkę i zielone owalne kolczyki w uszach. Jej buty też były zielone, z niskim kanciastym obcasem. Dee uwielbiała roztrzasać z koleżankami wygląd i stroje pani Lode, która – choć była bardzo młoda – w ogóle nie przypominała swoich uczennic ubierających się w różowo-białe bluzki i dzinsy dzwony wyszywane u dołu w kwiatki.

Pan Brabant wzruszył ramionami.

- Nie przewiduję problemów.
- Nie, oczywiście, że nie. – Pani Lode wpatrywała się swymi szeroko otwartymi niebieskimi oczętami w kolegę z pracy, jakby nie chciała przegapić ani krztyny mądrości, która może opuścić jego usta, a jej pomóc w staniu się lepszą nauczycielką. – Myślisz, że powinniśmy... no, powiedzieć coś o nim naszym uczniom? Znaczący... sama nie wiem... o tym, że jest inny i jak należy go przywitać?

Pan Brabant prychnął.

- On nie potrzebuje, żeby obchodzono się z nim w rękawiczkach. Nie wymaga specjalnego traktowania tylko dlatego, że jest cza... nowy.
- Nie, ale... Nie. Oczywiście, że nie.

Oczy pani Lode się zaszklily. Mimi powiedziała Dee przy jakiejś okazji, że jej wychowawczynie raz czy dwa rozplakała się w klasie. Uczniowie przezywali ją za plecami „Płaską płaksą”

Pan Brabant wbił spojrzenie w Dee stojącą przed nim w pierwszym rzędzie. Odchrząknął i rzucił:

– Dee, zawołaj resztę dziewczynek. Powiedz, że zabiorę im skakanę, jeśli nie przestaną się bawić po pierwszym dzwonku.

W szkole nie było wielu nauczycieli mężczyzn i może dlatego Dee zawsze słuchała pana Brabanta i starała się wyrzeć na nim dobre wrażenie, zupełnie jak na ojcu, którego próbowała udobruchać, kiedy wracał z pracy.

Teraz podbiegła do bawiących się dziewczynek. Kręciły jedną długą skakaną, która z głośnym mlaskiem zderzała się z asfaltem przy każdym obrocie, i przy tym skandowały. Dee zawahała się, ponieważ właśnie przyszła kolej Blanki. Blanca potrafiła skakać na skakance jak nikt inny, robiła zwinne uniki i długo się nie potykała. Jej towarzyszki skandowały słowa z myślą o tym, aby jak najprędzej skusiła, ale nic jej nie mogło wytrącić z rytmu.

*Poszła Tola na wagary,
Wzięła z sobą plecak stary.
A w plecaku dziura była,
Prawie wszystko pogubiła.
A, B, C, D...*

Dziewczynki kręcące skakaną wymieniły wszystkie litery alfabetu, później policzyły do dwudziestu, a wreszcie zaczęły wypowiadać nazwy kolorów. Blanca dalej skakała jakby nigdy nic, zamiatając czarnymi lokami i poruszając się zgrabnie, mimo że miała na nogach sandały na koturnie. Dee w życiu nie dałaby rady skakać w takich butach; zdecydowanie wolała swoje białe tenisówki, które za wszelką cenę starała się utrzymać w czystości.

Kiedy podeszła do Mimi, usłyszała:

– To już druga runda kolorów, a ona dalej się popisuje...

– Pan mówi, że odbierze wam skakankę, jeśli nie przestaniecie się bawić.

– Super. – Mimi opuściła ręce i skakanka sflaczała na ziemi po jej stronie.

Druga dziewczynka nie od razu się zorientowała, więc Blanca zaplątała się stopami w skakankę.

– Dlaczego przestałyście kręcić? – zawołała obrażona. – Mogłam się potknąć i przewrócić! Trzeba było przejść jeszcze raz do alfabetu, tobym przestała przy literze C.

Dee i Mimi westchnęły i zaczęły zwijać skakankę. Blanca miała bzika na punkcie Caspera, najpopularniejszego szóstoklasisty. Prawdą jest, że on także się w niej podkochał. To jednak nie przeszkadzało im zrywać ze sobą w regularnych odstępach czasu.

Dee też lubiła Caspera. Właściwie łączyło ich coś więcej: oboje wiedzieli, że mają łatwiej niż inni, że nie muszą tak bardzo się starać o popularność ani o szacunek. Przed rokiem Dee się zastanawiała, czyby nie zakochać się w Casperze, może nawet zacząć z nim chodzić. Casper miał miłą szczerą twarz i jasnoniebieskie oczy, których spojrzenie uspokajało. Jednakże – choć byłaby to najnaturalniejsza rzecz pod słońcem – Dee nie traktowała Caspera jako potencjalnego obiektu westchnień. Był dla niej raczej jak brat. Mieli podobne zainteresowania i wybiegali myślą w przód, zamiast oglądać się za siebie. Bardziej niż Dee do Caspera pasowała rozczochrana żywiołowa Blanca.

– O Boże, a to kto? – wykrzyknęła Blanca. Mimo że na lekcjach siedziała zawsze cicho, na boisku była głośna i nieokiełznana.

Dee nie musiała się oglądać, by wiedzieć, że Blance chodzi o nowego ucznia.

– Pochodzi z Nigerii – wyjaśniła jakby nigdy nic, nie przerywając zwijania skakanki na przedramieniu.

– Skąd wiesz? – zapytała Mimi.

– Słyszałam, jak nauczyciele mówili.

– Czarny uczeń w naszej szkole. W głowie się nie mieści!

– Ciii... – Dee usiłowała uciszyć Blancę, bojąc się, że nowy je usłyszy.

Moment później z Mimi i Blancą po obu bokach i skakanką pod pachą ruszyła w stronę stojących przed wejściem dzieci. Skakankę po przerwie oddawało się panu Brabantowi, który trzymał ją w swojej klasie – a odpowiedzialna za to była właśnie Dee. To budziło zazdrość Blanki, tak samo jak przyjaźń Dee z Mimi.

– Czemu tak ją lubisz, skoro jest taka dziwaczna? – zapytała raz Blanca.

– Mimi wcale nie jest dziwaczna. – Dee postanowiła bronić najlepszej koleżanki. – Ona jest... wrażliwa. Przeżywa różne rzeczy.

Blanca wzruszyła wtedy ramionami i zaczęła podśpiewywać pod nosem piosenkę Eltona Johna, dając do zrozumienia, że to koniec rozmowy. Trójkąty są pełne mielizn: jedna osoba zawsze czuje się wykluczona.

Któryś nauczyciel musiał wytłumaczyć nowemu uczniowi, gdzie powinien stanąć, ponieważ chłopiec zajmował teraz ostatnie miejsce w szeregu uformowanym naprzeciwko pana Brabanta. Widząc to, Blanca zatrzymała się nagle i zakołysała na piętach.

– I co teraz? – wykrzyknęła.

Dee się zawahała, ale w końcu podeszła do nowego ucznia i ustawiła się za nim. Blanca dołączyła do niej i szepnęła głośno:

– Nie, no, jest w naszej klasie! Odważysz się go dotknąć?

– Zamknij się! – syknęła Dee w nadziei, że nowy uczeń nie usłyszał nic z tej wymiany zdań.

Wbiła wzrok w jego kark. Głowa chłopca miała prześliczny kształt, była idealnie okrągła, gładka i równa, zupełnie jak gliniany garnek, który dopiero co opuścił koło garncarskie. Dee zapragnęła wyciągnąć rękę i objąć jego kark. Włosy, które widziała tuż przed sobą, były krótkie; w ogóle nie przypominały popularnych w tym czasie fryzur

afro. Kojarzyły się raczej z lasem złożonym ze skupisk drzew porastających zbocze góry... właściwie Dee nie miała porównania, bo w pobliżu nie było nikogo z bujną kręconą czupryną. Ani w szkole, do której chodziła, ani w sąsiedztwie jej domu Dee nie widywała czarnych dzieci, choć w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku w Waszyngtonie żyło tylu czarnych, że stolica USA zyskała przydomek Czekoladowego Miasta. Czasami, gdy jechała z rodzicami do centrum, widywała czarnoskórych mężczyzn i kobiety z wielkim afro na głowie; tak samo było, kiedy u Mimi razem oglądały program muzyczny, przy którym tańczyły do melodii zespołów takich, jak Earth, Wind and Fire czy Jackson Five. W domu nie wolno jej było oglądać tego programu; mama nie pozwalała jej patrzeć na śpiewających i tańczących w telewizji czarnych. Dee podkochiwała się w jednym z piątki Jacksonów – jej zdaniem Jermaine Jackson łobuzersko szczyrzył zęby w uśmiechu, ale jego afro nie robiło już na niej takiego wrażenia. Wszystkie jej koleżanki wołały małego Michaela, co jednak zdaniem Dee było zbyt oczywiste. W końcu kto podkocha się w najładniejszym chłopcu w szkole? Prawdopodobnie właśnie dlatego nie widziała w Casperze materiału na swojego chłopaka – w przeciwieństwie do Blanki, która zawsze szła po linii najmniejszego oporu.

– Dee, zaopiekujesz się dzisiaj nowym kolegą – powiedział pan Brabant, nie ruszając się ze swego miejsca na czele szeregu. – Pokaż mu, gdzie jest stołówka i łazienka. Gdyby czegoś nie zrozumiał na lekcji, wytłumacz mu, dobrze?

Blanca sapnęła z wrażenia i szturchnęła Dee w bok. Dee zaczerwieniła się i skinęła głową. Czemu pan Brabant wybrał właśnie ją? Czyżby chciał ją za coś ukarać? Dee nigdy nie zrobiła nic, aby zasłużyć na karę; mama już się o to postarała.

Wokół rozległy się śmiechy i chichoty.

- A ten skąd się tu wziął?
- Z dżungli!
- Hu, hu, hu!... Auć, to boli!
- Nie zachowuj się jak dziecko.
- Biedna Dee, będzie musiała go niańczyć!
- Czemu padło na nią? Na ogół chłopakiem zajmuje się chłopak.
- Może żaden chłopak nie byłby chętny tym razem. Ja na pewno nie!
- Ani ja!
- Dee to lizuska. Było wiadomo, że nie odmówi.
- Sprytne.
- Zaraz, zaraz... Czy to znaczy, że on będzie siedział z nami w ławce?
- Cha, cha! Biedny Duncan, będzie siedział z nowym! I Patty też!
- Nie ma mowy! Przesiądę się!
- Pan ci nie pozwoli.
- Właśnie że pozwoli.
- Marzenia ściętej głowy.

Nowy obejrzał się za siebie. Nie wydawał się nieufny ani czujny, jak spodziewała się Dee; jeśli już – był przyjaźnie nastawiony do otoczenia. Przypatrywał się jej ciekawie czarnymi wielkimi oczami, które błyszczały jak monety. Kiedy uniósł brwi, otwierając oczy jeszcze bardziej, Dee poczuła, jak przechodzi ją prąd, zupełnie jak wtedy, gdy w ramach wyzwania dotknęła ogrodzenia elektrycznego.

Nie odezwała się do nowego, ale skinęła mu głową. Chłopiec odwzajemnił się tym samym i odwrócił, aby patrzeć znów przed siebie. Stali w szeregu zażenowani, milcząc. Dee rozejrzała się dookoła siebie, aby sprawdzić, czy ktoś wciąż im się przygląda. Wszyscy im się przyglądali. Przeniosła spojrzenie na dom stojący naprzeciwko szkoły – dom Caspera, nawiasem mówiąc – w nadziei, że jej koleżanki i koledzy uznają, iż absorbują ją ważne sprawy zewnętrznego świata, a nie chłopiec przed nią, który zdawał się naładowany prądem.

Wtem zauważyła czarną kobietę, która stała po drugiej stronie metalowego ogrodzenia oddzielającego boisko od ulicy i wpijała palce w oka siatki. Choć niska, zdawała się wyższa przez czerwono-żółtą chustę zawiązaną na głowie jak turban. Poza tym miała na sobie powłóczystą długą sukienkę z tego samego materiału co chusta. Na wierzch narzuciła szary zimowy płaszcz, mimo że był początek maja i ciepła pogoda. Kobieta ich obserwowała.

– Moja mama uważa, że nie wiem, jak to jest być nowym.

Dee odwróciła się zdumiona, że chłopiec przemówił. Na jego miejscu nie odezwałaby się ani słowem.

– Byłeś już kiedyś nowy?

– Tak. Trzy razy w ciągu sześciu lat. To będzie moja czwarta szkoła.

Dee od zawsze mieszkała w tym samym domu, chodziła do tej samej szkoły i zadawała się z tymi samymi koleżankami. Przywykła, że w jej życiu nic się nie zmienia, że stałość jest fundamentem jej egzystencji. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to jest pójść do nowej szkoły, gdzie nie zna się nikogo, choć miała świadomość, że już po wakacjach, kiedy trafi do gimnazjum, w klasie będzie najwyżej jedna czwarta znanych jej uczniów. Wyrosła już z podstawówki i była gotowa zmienić szkołę, ale na samą myśl, że trafi pomiędzy nieznajomych, bolał ją brzuch.

Z drugiego szeregu, spośród uczniów szóstej „b”, przyglądała im się wielkooka Mimi. Dee i Mimi, które były w jednej klasie od początku szkoły podstawowej, w tym roku zostały rozdzielone. Dee nie mogła odżałować, że mają teraz różnych wychowawców i mogą się spotykać wyłącznie na przerwach. W dodatku Blanca, która pozostała w szóstej „a”, zyskała okazję, aby zbliżyć się do Dee bardziej – co w tej chwili robiła, i to dosłownie, trzymając dłoń na ramieniu Dee i gapiąc się na nowego ucznia. Blanca zawsze dążyła do kontaktu fizycznego: obejmowała innych, bawiła się włosami koleżanek i trącała chłopców, którzy jej się podobali.

Teraz Dee strząsnęła jej rękę ze swojego ramienia, aby poświęcić całą uwagę nowemu uczniowi.

– Pochodzisz z Nigerii? – zapytała, chcąc się popisać swoją wiedzą o nim.

Może i masz inny kolor skóry, ale ja i tak wiem o tobie wszystko, dodała w myślach.

Chłopiec pokręcił głową.

– Pochodzę z Ghany.

– O.

Dee nie miała pojęcia, gdzie leży Ghana, jeśli nie liczyć tego, że na pewno w Afryce. Chłopiec nadal wydawał się przyjazny, ale twarz mu znieruchomiała i zrobiła się jakby mniej szczerą. Dee postanowiła, że wykaże się znajomością afrykańskiej kultury. Skinęła głową w stronę ogrodzenia i zapytała:

– Czy twoja mama nosi dasziki?

Znała to słowo stąd, że na święta dostała od ciotki hippiski spodnie o takim samym wzorze, z jakiego słyną afrykańskie tuniki. Żeby sprawić ciotce przyjemność, włożyła je do obiadu świątecznego, podczas którego musiała znosić miny matki i docinki brata komentującego: „Po co ubrałaś się w obrus, skoro już mamy jeden na stole?” Po tym doświadczeniu upchnęła spodnie na samym dnie szafy i od tamtej pory ani razu ich nie wyjęła.

– Dasziki to koszule, które noszą mężczyźni w Afryce – wyjaśnił nowy. Mógł ją potraktować z pogardą lub zacząć się z niej wyśmiewać, ale odezwał się rzeczowym tonem. – I w Ameryce, jeśli zależy im na zmanifestowaniu czegoś.

Dee kiwnęła głową, choć nie miała pojęcia, co ktoś mógłby manifestować w ten sposób.

– Zdaje się, że Jacksonowie wystąpili w nich w telewizji.

Chłopiec się uśmiechnął.

– Ja myślałem raczej o Malcolmie X, który ubrał się raz w dasziki.

Nagle Dee odniosła takie wrażenie, jakby jednak trochę się z niej wyśmiewał. I uznała, że nie ma nic przeciwko temu, byle tylko z jego twarzy zniknęła ta zamrożona sztywna mina.

– Moja mama ma na sobie sukienkę z tkaniny, którą nazywamy kente – podjął nowy dalsze wyjaśnienia. – Wyrabia się ją w mojej ojczyźnie.

– A dlaczego włożyła płaszcz?

– Wszędzie poza Ghaną stale marznie, nawet jak jest ciepło.

– Tobie też jest zimno?

– Nie, mnie nie jest zimno.

Chłopiec odpowiadał pełnymi zdaniami, zupełnie jak Dee i inni uczniowie na lekcjach francuskiego, które mieli raz w tygodniu. Nie mówił z amerykańskim akcentem, choć posługiwał się amerykańskimi wyrażeniami. *Jego głos brzmi z brytyjska*, pomyślała Dee, której mama często oglądała „Na salonach i w suterenie”. Nowy mówił podobnie, chociaż nie tak dystyngowanie i zdecydowanie bardziej śpiewnie, co chyba zawdzięczał swemu afrykańskiemu pochodzeniu. Okrągłe zdania, wyraźnie artykułowane poszczególne zgłoski, zaśpiew – wszystko to bardzo śmieszyło Dee, nie chciała jednak być nieuprzejma.

– Odbierze cię po szkole? – zapytała więc z powagą.

Jej matka nie przychodziła po nią po lekcjach; bywała w szkole wyłącznie na wywiadówkach. Nie lubiła opuszczać domu.

Chłopiec ponownie się uśmiechnął.

– Kazałem jej obiecać, że nie przyjdzie. Znam drogę do domu.

Dee odpowiedziała uśmiechem.

– I dobrze – skwitowała. – Rodzice odbierają tylko maluchy z placu zabaw. I odprowadzają je do szkoły dzień w dzień.

Rozległ się drugi dzwonek. Wychowawcy czwartych klas odwrócili się i powiedli swoich uczniów w głąb szkoły. Po nich mieli wejść do środka uczniowie klas piątych, a na końcu – szóstych.

– Chcesz, żebym poniósł za ciebie skakankę? – zapytał nowy.

– Nie, dziękuję. Wcale nie jest ciężka – zapewniła Dee, mimo że w rzeczywistości skakanka ważyła swoje. Dotąd nigdy jeszcze żaden chłopiec nie zaproponował, że wyręczy ją w niesieniu skakanki.

– Ależ proszę – powiedział chłopiec i wyciągnął rękę.

Dee podała mu skakankę.

– Jak masz na imię? – zapytała, kiedy ruszyli za resztą uczniów.

– Osei.

– O... – Imię brzmiało tak obco i tak gładko, że Dee nie znalazła w nim żadnego punktu zaczepienia. Próba wymówienia go przypominała wspinanie się po idealnie równej ścianie. Zaczęło się więc i skończyło na pierwszej literze.

Chłopiec najwyraźniej przywykł do takiej reakcji, bo z uśmiechem zaproponował:

– Łatwiej będzie ci mówić: O, tak zwyczajnie. Mnie to nie przeszkadza. Nawet moja siostra czasami tak mnie nazywa.

– Nie, będę je wymawiać w całości. O-se-i. Pochodzi z twojego języka?

– Tak. Oznacza: „szlachetny”. A jak ty masz na imię?

– Dee. To skrót od Danieli. Ale wszyscy mówią na mnie Dee.

– Dee? Tak jak litera D?

Potaknęła skinieniem głowy. Popatrzyli na siebie nawzajem i wybuchnęli śmiechem. Połączyła ich więź liter, które zastępowały ich imiona. Osei miał piękne proste zęby, które lśniły bielą w jego ciemnej twarzy, rozniecając coś we wnętrzu Dee.

Ian wypatrzył nowego bez trudu, mimo że pochłaniało go rozpędzanie karuzeli i doprowadzanie czwartoklasistów do pisku. Zawsze miał czujne oko, a boisko szkolne traktował jak własne terytorium, odkąd rozpoczął szóstą klasę i był jednym z najstarszych chłopców w szkole. Miesiącami cieszył się swoją władzą, upatrując

w każdym intruzie zagrożenia. A ten konkretny intruz... cóż...

Ian nie był ani najwyższym, ani najszybszym szóstoklasistą. Nie kopał piłki najdalej, nie rzucał najcelniej do kosza ani nie potrafił się podciągnąć najwięcej razy na drabinkach. Na lekcjach nie odzywał się wiele, nie dostawał piątek za swoje prace ani nie zdobywał nagród przedmiotowych na koniec roku szkolnego. Jego ocena ze sprawowania pozostawiała wiele do życzenia. Nie cieszył się też specjalną popularnością wśród dziewczynek – ten zaszczyt przypadł w udziale Casperowi.

Jednakże Ian był najsprytniejszy. I najbardziej wyrachowany. Potrafił błyskawicznie zareagować na sytuację, tak by obrócić ją na swoją korzyść. Gdy szykowałą się bójka, zbierał zakłady i pilnował, żeby przeciwnicy nie stchórzyli przed samą walką. Zazwyczaj dobrze typował zwycięzcę. Zdarzało się też, że przewidywał długość bójki, a nawet to, który nauczyciel ją przerwie. Po wszystkim odbierał zapłatę w cukierkach, które następnie sprzedawał, sam bowiem nie lubił słodczy. Czasem rekwirował kolegom kieszonkowe, kiedy indziej znów bronił młodszych od siebie przed wymuszeniem, zostawiając sobie część pieniędzy. Lubił mieszać, utrzymywać kolegów w gotowości. Ostatnio poprosił rodziców, żeby mu otworzyli konto w banku. Rodzice nie pytali go, skąd wzięł środki. Jego bracia, będąc w tym wieku co on teraz, zachowywali się tak samo.

Gdy na wuefie wszyscy truchtali dookoła szkoły, Ian oferował, że zawróci i ponagli ślamazary, dzięki czemu mógł sprawdzić, co się dzieje w okolicy: kto dostarcza pocztę, kto myje samochód, kto przycinając róże, zostawił otwarte drzwi do domu. Ian wiecznie zbierał informacje i wypatrywał okazji.

Nie zawsze jednak z dobrym skutkiem.

Na przykład kilka dni wcześniej znikąd pojawiła się burza. Pani Lode właśnie próbowała wytłumaczyć klasie, czym jest trójkąt

równoramienny. Miała zakurzoną kredą pomarańczową garsonkę i zdziwioną minę, jakby geometria przerastała także jej możliwości. Ian nagle podniósł rękę. Pani Lode zamilkła zdumiona, ponieważ Ian rzadko kiedy się zgłaszał.

– Słucham?

– Proszę pani, zaczyna padać, a flaga wisi. Mogę pójść ją zdjąć?

Pani Lode wyjrzała przez okno na zbierające się czarne chmury i na flagę powiewającą od rana na szkolnym boisku.

– Przecież wiesz, że flagą opiekują się dziewczynki z szóstej „a”

– One zawsze się spóźniają. A poza tym dzisiaj nie ma pana Brabanta, żeby im przypomnieć o obowiązkach. Jeśli pójdę teraz, flaga nawet nie zamoknie.

Pani Lode zawahała się, ale w końcu skinęła głową.

– No dobrze. Tylko uwiń się szybko. I weź kogoś do pomocy, razem będzie wam łatwiej złożyć flagę.

W związku z flagą USA istniało wiele zakazów i nakazów. Nie wywieszano jej nocą ani podczas deszczu, nie rzucało się jej na ziemię i generalnie traktowało się ją z szacunkiem. Ian codziennie obserwował z zazdrością przez okno, jak Dee i Blanca ostentacyjnie podchodzą do masztu przed lekcjami i po lekcjach. Zazwyczaj obchodziły się z flagą ostrożnie, ale widział też parę razy, jak składają ją niestaranie czy nawet pozwalają, aby jej róg dotknął ziemi. Śpiewały przy tym – czasami pieśni patriotyczne, częściej jednak przeboje z radia. Guzdrały się, gadały, podśmiechiwały.

Do pomocy wybrał sobie Mimi – ku zdumieniu wszystkich: pani Lode, Roda i większości chłopców, a także wszystkich dziewczynek, które chichotały, zasłaniając dłońmi usta. Mimi wydawała się nie tylko zaskoczona, ale też podekscytowana i przestraszona. Aż do czwartej klasy dziewczynki i chłopcy bawili się razem, nawiązując przyjaźnie. Jednakże w dwóch ostatnich latach szkoły doszło do rozdziału między nimi;

każdy trzymał się własnej płci, jeśli nie liczyć ukradkowych chwil spędzanych poza polem widzenia dyżurujących nauczycieli – za rogiem sali gimnastycznej albo wśród drzew, które dawały nieco cienia. W zeszłym tygodniu za rogiem sali gimnastycznej Ian objął Mimi od tyłu, tak że dłońmi dotknął jej pączkujących piersi, lecz nie posunął się dalej, bo Rod mu przerwał, proponując, że opuści spodnie i majtki, by pokazać dziewczynkom, co ma między nogami. Mimi pisnęła razem z innymi i oswobodziła się z ramion Iana – niechętnie, jak wyczuł.

Gdy teraz szła za nim do masztu, padało na całego, choć burza nie zdążyła się jeszcze rozpętać na dobre. Ian pilnował się, aby nie poświęcać jej za dużo uwagi. Zamiast tego skupił się na odwijaniu linki przymocowanej do masztu na wysokości jego pasa. Kiedy opuścił flagę, rozkazał:

– Złap za koniec!

Mimi usłuchała go, chwytając dwa rogi, zanim dotknęły ziemi. Ian odpiął dwa pozostałe rogi od linki i następnie oboje rozpostarli flagę między sobą, jakby to było prześcieradło. W pewnym momencie Ian posłał jej o sekundę za długie spojrzenie, na co Mimi zamarła, szeroko otwierając oczy. Były przejrzyste błękitne, z ciemniejszymi plamkami, które skrzyły się przy każdym ruchu, wywołując w nim niepokój. Mimi miała typową dla rudzielców piegową cerę, odziedziczoną zapewne po irlandzkich przodkach, i szerokie usta, które nie zasłaniały do końca aparatu ortodontycznego na zębach. Jej rysy były zbyt nieregularne – miała za bardzo rozstawione oczy, za duże usta, za szerokie czoło – aby uznać ją za piękność, jednakże coś w niej przykuwało uwagę. Znali się od siedmiu lat, odkąd poszli do szkoły. Ian przewrócił Mimi w trzeciej klasie, ale od tamtej pory głównie ją ignorował. Aż do niedawna. Wybrał ją, ponieważ pod pewnymi względami przypominała jego: zdawała się zdystansowana od innych dzieci. Chociaż miała dwie siostry, jedną starszą i jedną młodszą, przy czym obydwie sprawiały

wrażenie całkowicie normalnych, oraz najlepszą koleżankę w osobie cieszącej się popularnością Dee, Mimi często zdawała się wycofana w głąb siebie, nawet gdy grała w klasy czy skakała na skakance. Na ogół była trochę oderwana od otoczenia, często mdlała w najmniej odpowiednim momencie i choć wszystko bacznie obserwowała, mówiła mało. Może to właśnie Ian cenił w niej najbardziej, tę małomówność.

Teraz machnął prawą ręką, dając znak, że powinni zacząć składać flagę. Najpierw w jednej trzeciej, a następnie jeszcze raz, tak że z dużego prostokąta powstał mniejszy. Ian ponownie obdarzył Mimi przeciągłym spojrzeniem, sprawiając, że się zarumieniła.

– Składaj dalej – polecił jej. – Wiesz jak?

Mimi skinęła głową i zabrała się do pracy. Złożyła flagę po przekątnej, dzięki czemu powstał trójkąt. Powtarzała tę czynność raz po raz, coraz bardziej zbliżając się do Iana. Kiedy była niecałe pół metra od niego, gotowa wykonać ostatni ruch, Ian pociągnął flagę w swoją stronę, tak że Mimi na niego wpadła. Mnąc złożoną flagę, Ian sięgnął do jej ust. Zderzyli się zębami. Mimi się wzdrygnęła, lecz nie odstępowała, ponieważ wtedy flaga mogłaby upaść na ziemię.

Aparat ortodontyczny gniótł go w wargi, ale Ian się tym nie przejmował. Nie odsuwając ust od jej twarzy, zaczął ssać. Mimi po chwili odpowiedziała tym samym, tak że wytworzyła się próżnia i powstało mnóstwo śliny, niestety Mimi trzymała wargi zbyt zaciśnięte, żeby Ian mógł wsunąć między nie język. *Robiła to już wcześniej*, pomyślał niezadowolony. Przestał ją całować, chociaż mu się podobało i zareagował tam, na dole, co musiała zauważyć. Odebrał od niej flagę, złożył materiał jeszcze raz i zatknął luźny koniec, tak że całość teraz już trzymała się sama, zupełnie jak kartka papieru złożona w figurę do zabawy w piekło – niebo.

– Nie powinnaś robić tego z innymi – powiedział Ian.

Mimi wydawała się oszołomiona, może nawet lekko przestraszona.

– Nie robię.

– Do tego nie umiesz kłamać. Całowałaś się z innymi. Z Philipem, Charliem, Duncanem, nawet z Casperem.

Choć Ian strzelał w ciemno, najwyraźniej za którymś razem trafił, mimo że nie wiedział, za którym. Mimi zwiesiła głowę. Do tej pory zdążyło się bardziej rozpadać, krople deszczu spływały jej po twarzy, co wyglądało tak, jakby płakała.

– Jeśli masz ze mną chodzić, lepiej nawet nie patrz na tamtych. Będziesz ze mną chodziła?

Mimi potaknęła.

– W takim razie rozchył wargi w czasie całowania, żebym mógł włożyć język do środka.

– Zaraz przyjdą dziewczynki z szóstej „a”, zobaczą nas...

– Nie. Obserwowałem je, wiecznie schodzi im dłużej, niż powinno. Flaga moknie i potem Dee musi ją zabierać do domu, żeby wysuszyć w suszarce. No chodź.

Z powrotem zakrył jej usta swoimi. Gdy rozchyliła wargi, wepchnął głęboko język, równocześnie napierając na nią ciałem, żeby oparła się plecami o maszt i tym razem zdecydowanie zauważyła jego reakcję tam, na dole. Jeździł czubkiem języka po jej zębach, dziąsłach, podniebieniu, ani na chwilę nie przestając ssać.

Kiedy w końcu się rozłączyli, brakowało im tchu. Ian miał poczucie lekkości i wolności. Linka zwieszała się smętnie z masztu, moknąc w deszczu. Ian ją złapał, przekazał złożoną w trójkąt flagę Mimi i powiedział:

– Odsuń się, coś ci pokażę.

Owinął sobie koniec linki na dłoni, po czym rozpędził się dookoła masztu, odchylając się w bok, żeby linka była napięta. W pewnym momencie podskoczył, odbijając się od ziemi, i zaczął szybować wokół masztu, po chwili opadł na ziemię. Natychmiast jednak odbił się

ponownie i powtarzał to raz za razem. Zapomniał o deszczu, zapomniał o Mimi, zapomniał o szkole. Rozkoszował się uczuciem szybowania w powietrzu.

Wreszcie wypadł z rytmu i zatrzymał się. Zobaczył, że Mimi, przyciskając flagę do piersi, nie spuszcza z niego oka. Był w tak dobrym nastroju, że postanowił okazać wspaniałomyślność.

– Chcesz też spróbować? No dalej, to świetna zabawa. – Odebrał od niej flagę i przekazał jej koniec linki. – Rozpędź się, a potem podskocz.

Mimi się zawahała.

– Jeszcze mnie zobaczy pani dyrektor. Albo ktoś z nauczycieli. Czeka nas kara...

Ian prychnął.

– Nikt na nas nie patrzy. Wszyscy uczą się o trójkątach. Naprawdę nie chcesz pofrunąć?

Mimi wreszcie podjęła decyzję, ruszyła biegiem, odchylając się od masztu, a potem się odbiła i roześmiała, gdy jej stopy oderwały się od ziemi. Ian nigdy nie widział jej radośniejszej. Uśmiechnął się, co było w jego wypadku rzadkie. Kiedy Mimi się zatrzymała, pocałował ją ponownie, tym razem delikatniej. Oderwali się od siebie w tym samym momencie, gdy Dee i Blanca pokazały się w drzwiach budynku. Dee posłała im dziwne spojrzenie, najwyraźniej zaskoczona, że widzi ich razem; Ian nie był pewien, czy zauważyła, że się całowali. Zresztą nie miało to znaczenia.

– Strasznie się guzdrzecie – oznajmił, mijając je z flagą pod pachą.

Mimi ruszyła jego śladem z zarumienioną twarzą.

Niestety Ian okazał się nie dość szybki. Flaga zdążyła zamoknąć, mimo że przecież wyszedł z klasy, aby temu zapobiec. Pani Lode wyjęła materiał, który położył na jej biurku, i zmarszczyła brwi.

– Czy to trójkąt równoramienny, proszę pani? – zapytał w nadziei,

że ją rozkojarzy.

– Och! – Nauczycielka zerknęła na flagę. – Sama nie wiem... Jennifer! Zanieś flagę panu Brabantowi!

– Ja mogę się nią zająć – zaofiarował się Ian. – Zawieszę ją z powrotem po deszczu i zdejmę na koniec dnia.

– Wolę, żeby pozostało to obowiązkiem dziewczynek z szóstej „a”. Wracaj na swoje miejsce, Ian. Dostyc tego dobrego.

Ian zaczął sobie wyrzucać, że niepotrzebnie zmarnował czas, wirując wokół masztu. Zabawa kosztowała go utratę okazji, aby zdobyć przywilej. Pocieszało go tylko to, że pani Lode i tak nigdy by się nie sprzeciwiła panu Brabantowi.

Na dźwięk pierwszego dzwonka Ian złapał się wewnętrznego kółka karuzeli, aby zwolnić jej bieg. Jeden z czwartoklasistów wyglądał, jakby miał zaraz zwymiotować. Ian rozciągnął wargi w szerokim uśmiechu i znów przyśpieszył.

– Dziesięć centów, to zatrzymam! – zawołał do zielonego na twarzy czwartoklasisty, który z nieszczęśliwą miną skinął potakująco głową.

Ian zarył stopami w ziemię, dzięki czemu karuzela zatrzymała się natychmiast. Dwaj chłopcy zeskoczyli z niej i pobiegli do drzwi szkoły, aby zająć swoje miejsca w szeregu. Cieszyli się, że tym razem nie padło na nich. Pechowy czwartoklasista stał ze zwieszonymi ramionami i opuszczoną głową.

– Płać – powiedział do niego Ian.

Chłopiec zaszurał nogami, nie odrywając spojrzenia od ziemi.

– Nie mam przy sobie pieniędzy.

– Trzeba było o tym pomyśleć wcześniej. – Ian podszedł do niego. – Włóż na karuzelę. Będę cię kręcił tak długo, aż się porzygasz.

– Zapłacę... zapłacę ci jutro. Obiecuję.

– Jutro będzie futro. Lepiej zapłać mi teraz. Masz cukierki?

Chłopiec potrząsnął głową.

– Karty z bejsbolistami?

Wzruszenie ramion.

– W ogóle coś masz?

Kolejny przeczący gest.

Ian się zastanowił. Sięgnął do zasobów wiedzy zbieranej dzięki uważnej obserwacji.

– W takim razie daj mi swojego matchboxa. Tego czerwonego chevroleta.

Trafił w dziesiątkę, bo czwartoklasista zaczął przetrząsać kieszenie.

– Mam pięć centów. Resztę zapłacę ci jutro albo po obiedzie. Na dużej przerwie skoczę do domu po drugie pięć centów.

Jednakże Ian już sięgał do płóciennego worka na książki, który czwartoklasista niewinnie zawiesił na słupku ogrodzenia przed paroma minutami, kiedy jeszcze mu się wydawało, że przejażdżka na karuzeli to dobry pomysł. Moment później Ian trzymał w dłoni sportowy samochodek o grubych oponach. Autko lśniło, musiało być więc nowym nabytkiem. Wkładając je do kieszeni, usłyszał:

– Palant.

Wyjął matchboxa z kieszeni, upuścił na ziemię i nadepnął. Kółka odpadły, drzwiczki się otworzyły, dach wgiął do środka, a czerwony lakier odprysnął z maski.

– Ups – powiedział Ian i zostawił autko na ziemi.

Zaledwie moment później pożałował, że pozwolił, aby gniew wziął nad nim górę. Zmarnował taki fajny samochodek! A przecież słyszał już gorsze wyzwiska niż „palant”. Mimo wszystko przyjemnie było patrzeć, jak zmienia się mina czwartoklasisty, który zrobił się jeszcze bardziej zielony niż na karuzeli.

Przez cały ten czas Ian kątem oka obserwował nowego, który czaił się na skraju boiska. Straciwszy zainteresowanie czwartoklasistą, ruszył teraz w stronę czarnego chłopca. Nowy był czarny jak smoła. Podczas

jednej ze swych misji polegających na zbieraniu informacji Ian dowiedział się, że w szóstej „a” pojawi się nowy uczeń, ale umknął mu kompletnie kolor jego skóry. Kiedy znalazł się bliżej, wzdrygnął się wewnątrz na widok ciemnej skóry, czarnych oczu i potu lśniącego na zbyt krótko ostrzyżonej głowie. „Zawsze przejmuj kontrolę nad sytuacją. Trzymaj blisko z przyjaciółmi, a z wrogami jeszcze bliżej” – lubił powtarzać jego ojciec.

– Jak zadzwoni dzwonek, musisz się ustawić o, tam – wskazał. – Będiesz chodził do szóstej „a”. Twoim wychowawcą będzie pan Brabant.

Nowy skinął głową.

– Dziękuję.

To jedno słowo, wypowiedziane wprost, z pewnością siebie, chociaż trochę z cudzoziemska – a do tego pozbawiony wahania krok przez boisko, co mogło sugerować, że nowy nie tylko zna otoczenie, ale nad nim panuje – wzbudziło w Ianie wściekłość.

– Cholera! – Rod zbliżył się do Iana z miną zbitego psa. Był niski i chudy, miał ciemne rozczochrane włosy aż do ramion i policzki, które łatwo mu się rumieniły przy najłżejszym zdenerwowaniu. W tej akurat chwili były buraczkowe. – Co tu się wyprawia, do kurwy?

Adiutant Iana klął na lewo i prawo, najwyraźniej przekonany, że dzięki temu wyda się twardzielem. Ian przeciwnie, nie używał przekleństw w ogóle. Ojciec wybił mu to pasem z głowy na wczesnym etapie życia, pokazując, że przeklinanie to jego domena, nie syna.

Ian znosił towarzystwo Roda od dłuższego czasu, ale nie nazwałby go swoim przyjacielem, chociaż nieraz słyszał, jak Rod mówi o nim per „najlepszy kolega”. Tylko dziewczyny miały „najlepsze koleżanki”. W oczach Iana Rod był tylko pomocnikiem, który umożliwiał mu zachowanie pozycji na szkolnym boisku: wypatrywał nauczycieli, gdy Ian przyjmował zakłady, odbierał dzieciom kieszonkowe albo dręczył

jakiegoś malca dla zabawy. Taki już los adiutanta, że jest niemal tak samo znienawidzony przez swojego przełożonego, jak i przez resztę. Rod był słabeuszem, wiecznie marudził i na każdym kroku okazywał, jak bardzo jest zdesperowany. W tym akurat momencie skamlał:

– No popatrz tylko, gada z nim! Nigdy nie będzie ze mną chodziła!

Do tej pory Dee, koleżanka Mimi, zdążyła zająć swoje miejsce w szeregu za nowym i właśnie wdała się z nim w rozmowę. Ian przyglądał się temu, będąc pod wrażeniem śmiałości Dee. Kiedy jednak przekazała nowemu skakankę i moment później oboje wybuchnęli śmiechem, Ian zmarszczył brwi.

– Nie podoba mi się to – mruknął.

Postanowił, że będzie musiał coś z tym zrobić.

Mimi kręciła miarowo jednym końcem długiej skakanki, która przy każdym obrocie mlaskała o asfalt. Dziewczynka czuła, jak wokół niej wibruje aktywność innych dzieci. Nieopodal dwie jej koleżanki wykłócały się nad krzywo wyrysowanym grzybkiem. Trzech chłopców ścigało się wzdłuż boiska, przy czym jeden na końcu zawrócił raptownie i wymijając kolegów, pognął w przeciwną stronę. Jakaś dziewczynka siedziała na murku i czytała książkę. Ustawieni w rzędzie chłopcy, tyłem do okien i nauczycieli, urządzili sobie konkurs, kto dalej sika, zalewając chodnik za siatkowym ogrodzeniem. Trzy dziewczynki chichotały nad komiksem. Samotny chłopiec, kopiąc nogą, wyrzucał piasek z piaskownicy pod drzewem.

Dwie rzeczy zwracały szczególnie uwagę Mimi – różne od siebie tak, że nawzajem się niwelowały. Ian dręczył czwartoklasistów na karuzeli. Mimi domyślała się, jaki będzie tego finał. Ona też znalazła się na swego rodzaju karuzeli z Ianem, ale jak to się skończy, nie miała pojęcia. Kiedy trzy dni wcześniej wirowała wokół masztu, czuła uniesienie i strach; zupełnie jak przy huśtaniu się na huśtawce, gdy człowiek rozkołysze się mocno i poszybuje hen wysoko w górę,

a potem z szeroko otwartymi oczami odchyła się do tyłu i opada z powrotem w dół, aż żołądek podjeżdża do gardła. Od tamtej pory czuła się z lanem związana i nie była pewna, czy chce się od niego wyzwolić.

Przeciwnością kręcącej się szybko karuzeli, której pasażerom w każdej chwili groziło wyrzucenie z siedzeń, był nowy chłopiec. Nowy czarny chłopiec – nie dało się bowiem zignorować koloru jego skóry. Stał całkowicie nieruchomo i tym bezruchem ściągał na siebie uwagę. Na jego miejscu Mimi krążyłaby po boisku i starała się wmieszać w tłum, dzięki czemu nie byłaby tak wystawiona na strzał. Wprawdzie nigdy nie była nową uczennicą, ale ona też zawsze czuła się wyobcowana. Można by pomyśleć, że jako najlepsza koleżanka Dee, a od niedawna też sympatia lana, powinna jakoś się zakotwiczyć w grupie – tymczasem tak się nie stało. Przez większość czasu miała wrażenie, że to jej duch znajduje się na boisku.

Ruch i bezruch. Spokój i niepokój. Biel i czerń. Szkolne boisko, zazwyczaj chaotyczne, osiągnęło nagle stan niepokojącej równowagi. Mimi potrząsnęła głową, aby pozbierać myśli.

Ruch ten spowodował drgnięcie ręki, przez co skakanka podskoczyła i zaplątała się w nogi skaczącej piątoklasistki. Dziewczynka zaczęła narzekać, ale Mimi uciszyła ją jednym spojrzeniem. Choć wiedziała, że zawiniła, nie pokazała nic po sobie, nie przeprosiła ani nic nie wyjaśniła, gdyż wtedy ucierpiałyby jej reputacja najpewniejszej ręki. A Mimi była uważana za osobę, która potrafi perfekcyjnie kręcić skakanką i której nic nie umyka. Czepiała się tych swoich dwóch darów, bo nic innego jej nie pozostało. Nie licząc lana, którego jednak trudno było uznać za dar.

Piątoklasistka odkuśtykała, a jej miejsce ku wielkiemu żalowi Mimi zajęła Blanca. Blanca była najładniejszą dziewczynką w obu szóstych klasach, ale ubierała się trochę wulgarnie – w obcisłą różową bluzeczkę,

która podkreślała każdy szew i każdy pasek jej biustonosza, w krótką dzinsową spódniczkę i beżowe sandały na koturnie. W czarne włosy miała wpięte czerwone kokardki z błyszczącymi różowymi kamykami, a na przegubie nosiła gruby pęk pozłacanych bransolet, które zderzały się ze sobą z brzękiem, ilekroć podskoczyła. A skakała jak nikt inny. Była w tym równie perfekcyjna jak Mimi w kręceniu skakanką. Doprowadzały się nawzajem do szaleństwa.

Mimi pozwoliła Blance skakać, wpadła w swego rodzaju trans i przy wtórze regularnych uderzeń skakanki o ziemię obserwowała nowego. Nikt tak naprawdę nie przerwał tego, co robił – przynajmniej nie dłużej niż na jeden pełen zdziwienia moment. Ot, krótka chwila zawahania podczas berka, biegania z piłką, rozmowy. I zaraz wszyscy znów bawili się w ganianego, grali w piłkę i rozmawiali, chociaż jednym okiem popatrywali wciąż na czarnego chłopca. Mimi zaczęła postrzegać kolegów i koleżanki jako punkty połączone niewidzialnymi sznurkami, które nagle wszystkie prowadzą w jedno miejsce. *Jakim cudem on znosi tyle zainteresowania?* zastanowiła się.

Znienacka Dee poruszyła tymi niewidzialnymi sznurkami, kierując się w stronę Mimi, aby jej powiedzieć, że koniec ze skakaniem przed lekcjami. Dee miała jasne włosy zaplecione w ciasne warkocze przez mamę, która była zdania, że dziewczynki należy trzymać w ryzach tak długo, jak długo się da. Mimi z góry wiedziała, że Dee odbierze jej skakankę i ustawi się za nowym uczniem, po czym poświęci mu całą uwagę. Często domyślała się takich rzeczy.

Nie pomyliła się: Dee ledwie spojrzała na Mimi i Blancę i od razu zajęła miejsce za czarnym chłopcem. Mimi stanęła w swoim szeregu, skąd jednak dalej obserwowała Dee i nowego ucznia. Wszyscy im się przyglądali. Przez tę nieustępliwą ciekawość ci dwoje zdawali się otoczeni połyskliwą mgiełką zupełnie jak ta, którą Mimi czasami widywała, gdy zbliżał się kolejny ból głowy. W gruncie rzeczy teraz

także miała w głowie to dziwne, specyficzne uczucie, które przypominało napięcie panujące w powietrzu tuż przed burzą.

W pewnym momencie Dee przekazała czarnemu chłopcu cenną klasową skakankę i oboje zaczęli się śmiać, odrzucając głowy do tyłu, jakby byli sami i nie musieli się nikim przejmować. Było to tak niespodziewane – kto potrafi się śmiać w pierwszy dzień w nowej szkole? – że Mimi również wybuchnęła śmiechem. Ze zdziwienia, ze współczucia, z chęci dopasowania się do nich. Zresztą nie tylko ona – pozostałe dzieci też zaraziły się śmiechem, którego nie potrafiły powstrzymać.

Śmiali się wszyscy z wyjątkiem Iana. Jej sympatia – tak bowiem się teraz o nich mówiło: sympatia Iana, sympatia Mimi – stał na uboczu, gapiąc się na Dee i nowego ucznia z grymasem przyklejonym do twarzy. Widok ten sprawił, że radość Mimi prysnęła jak bańka mydlana.

Nie mogę z nim dłużej chodzić, pomyślała. Nie mogę chodzić z chłopcem, który w ten sposób reaguje na radość innych. Przypomniała sobie tamto uczucie, gdy szybowała wokół masztu, i to, jak Ian wpijał się w nią ustami i biodrami. Myślała, że jej się to nie spodoba, ale zareagowała całym ciałem zupełnie jak włączona pstryknięciem żarówka. Nie chciała jednak, aby zapalającym światło był ktoś taki jak Ian.

Zastanowiła się, kiedy mu powiedzieć, że z nim zrywa. Może po ostatniej lekcji, bo wtedy będzie mogła uciec od razu do domu, a nazajutrz skłamać rodzicom, że ma znowu ten swój ból głowy, i w ogóle nie pójdzie do szkoły. Był czwartek, później piątek i weekend – mogła liczyć, że z Iana gniew wyparuje w ciągu tych trzech dni. Potem czeka ją tylko miesiąc do końca szóstej klasy, całe wakacje, a po nich gimnazjum, w którym będzie się mogła zatracić.

Mając obmyślony plan, poczuła się lepiej. Zaraz jednak humor

zwarzyło jej to, że Dee i nowy uczeń wchodzi do budynku razem, zupełnie jakby kolegowali się od dawna. Szli równym, wyważonym krokiem, jak dobrzy przyjaciele albo para.

Tak, czuła się lepiej. Choć ból czał się za oczami, a na skroniach powoli zaciskało się imadło. Wiedziała, że to nie minie; przeciwnie, ból rozpanoszy się w jej głowie, a ona będzie mu się musiała poddać – niczym egzaminowi, po którym znów poczuje się lekka i wolna.

Osei obrzucił boisko wytrawnym spojrzeniem. Było ono czwarte z kolei, wiedział więc, czego szukać. Każde boisko miało te same elementy: huśtawki, ślizgawkę, karuzelę, małpi gaj, drabinki. Linie wymalowane na asfalcie do różnych gier w piłkę. Tablicę z koszem na jednym końcu. Kawałek przestrzeni do gry w klasy i skakania na skakance. To jednak było wyposażone w coś jeszcze: w okręt piracki z masztami i ożaglowaniem, po którym dało się wspinać, i w piaskownicę ukrytą w cieniu drzew.

No i były dzieci, które zawsze widział przy tych samych czynnościach. Chłopcy spalający energię, która nie pozwoliłaby im usiedzieć w klasie na jednym miejscu, bieganiem lub graniem w piłkę, nieodmiennie w piłkę. Dziewczynki grające w klasy, skaczące na skakance albo bawiące się w kamyki. Samotnicy, którzy woleli czytać albo przesiadywać na szczycie małpiego gaju, albo sterczeć w pobliżu nauczycieli, gdzie było bezpiecznie. Osiłki siejące postrach samym swoim wyglądem. I on, nowy uczeń pośród tej całej rutyny, także odgrywający swoją rolę.

Przyglądając się innym dzieciom, miał nadzieję wytropić coś jeszcze: sojusznika. A konkretnie kogoś, kto by się wyróżniał tak jak on. Najlepiej czarnego, a jeśli to niemożliwe – śniadego albo żółtego. Portorykańczyka. Chińczyka. Araba. Kogokolwiek, byle nie typowego Amerykanina z przedmieść epatującego bielą skóry. Nikogo takiego jednak nie zobaczył. Rzadko miał tyle szczęścia. A jeśli nawet mu się

poszcęściło, pobratymiec często okazywał się niezbyt pomocny. W londyńskiej szkole oprócz niego była jeszcze jedna czarna uczennica – dziewczynka jamajskiego pochodzenia, która ani razu nie spojrzała mu prosto w oczy i unikała go jak tylko mogła, zupełnie jakby byli magnesami o tym samym biegunie. Odnalazła swoje miejsce i nie zamierzała ryzykować jego utraty, dając się wciągnąć w czyjaś walkę o to samo. W Nowym Jorku w szkole byli dwaj chińscy bracia bliźniacy, którzy podjudzeni zaczęli stosować kung-fu, dokuczając przeciwnikom i zachwycając gapiów. Oni także trzymali się od niego z daleka.

Z czasem Osei nauczył się zatajać swoje myśli. Co prawda w jego rodzinie to tata był dyplomatą, ale i on posługiwał się swego rodzaju dyplomacją, uciekając się do swoich umiejętności w każdej kolejnej nowej szkole. Ilekroć tata wracał z nowego miejsca pracy i przy kolacji opowiadał żonie i dzieciom o tym, z iloma nieznanymi ludźmi miał okazję pracować, jak długo szukał parkingu czy toalety, Osei miał ochotę mu przerwać, mówiąc: „Mój dzień wyglądał dokładnie tak samo”. Kiedy tata się przyznawał, że znów zapomniał imię swojej nowej sekretarki, Osei miał ochotę wtrącić, że w wiktoriańskiej Anglii wszyscy wołali na swoje służące „Abigail” bez względu na to, jak miały naprawdę na imię, dzięki czemu nikt nie musiał sobie zaprzętać głowy imionami nowych pracowników. I że on też, mówiąc o nauczycielu, musi sobie usilnie przypominać nowe nazwisko, nie chcąc używać oficjalnego „pan” czy „pani”, bo to tylko bardziej wyalienowałoby go z grupy i wzbudziło śmiech koleżanek i kolegów. Mógł spokojnie powiedzieć bliskim, że również ma nową pracę, która polega na dopasowaniu się – bądź nie. Oczywiście milczał. Wpojono mu szacunek do starszych, co wiązało się z posłuszeństwem. Gdyby jego tata chciał usłyszeć, jak minął mu dzień, toby zapytał. A skoro nigdy nie pytał, Osei się nie odzywał.

Tego dnia znów stał na szkolnym boisku pełnym gapiących się na niego białych dzieci, znów stawiał czoło grupie szacujących go

wzrokiem chłopców, znów krzywił się na przenikliwy odgłos dzwonka i znów znosił niespokojne spojrzenia nauczyciela stojącego na czele szeregu. Nic z tego nie było dla niego nowe. Oprócz niej.

Osei wyczuł jej obecność za sobą, jak gdyby za jego plecami rozgorzał ogień. Odwrócił się, a ona drgnęła, natychmiast spuszczać oczy. Przedtem wbijała wzrok w jego kark. Osei już wcześniej przytapywał na tym dzieci. Najwyraźniej jego największą zaletą była idealnie wypukła symetryczna czaszka pozbawiona jakichkolwiek niedoskonałości. Mama lubiła mu przypominać, że urodził się w wyniku cesarskiego cięcia, dzięki czemu jego delikatna główka nie ucierpiała przy przeciskaniu się przez kanał rodny.

– Przestań! – krzyczał wtedy zawsze O, nie chcąc sobie tego wyobrazić.

Kiedy Dee – czy to nie cudowne, że jej imię również pochodzi od litery alfabetu? – ponownie uniosła spojrzenie, Osei poczuł, jak zalewa go ogień. Oczy miała brązowe; przejrzyste brązowe niczym syrop klonowy. Nie niebieskie, jak potomkowie Anglików, Szkotów i Irlandczyków. Nie niebieskie, jak potomkowie Niemców i Skandynawów. Nie niebieskie, jak potomkowie Europejczyków z północy kontynentu, którzy przybyli do Ameryki Północnej i zawojowali brązowe oczy Indian, a następnie sprowadzili Afrykanów z ich czarnymi oczami, aby robili swoje. Osei patrzył na Dee czarnymi oczami, a ona na niego brązowymi – jak u śródziemnomorskich, hiszpańskich, włoskich albo greckich, przodków.

Była piękna – co nieczęsto się mówi o jedenastoletniej dziewczynce. Na ogół używa się określeń takich, jak „urocza” czy „ładna”. Słowo „piękna” dotyka czegoś głębszego; czegoś, czemu nie każda jedenastolatka jest w stanie sprostać. Niemniej Dee była piękna. Miała kocią twarz obramowaną kośćmi – policzków, skroni i żuchwy – kanciastą niczym origami w przeciwieństwie do zaokrąglonych twarzy

większości dziewczynek. Jasne włosy nosiła splecione we francuskie warkocze sięgające jej talii niczym dwie liny. Osei poczuł woń jej szamponu, kwiatowego z nutą rozmarynu. Był to ten sam szampon, który uwielbiała jego siostra, lecz nie mogła go używać, ponieważ nie był wystarczająco oleisty dla włosów Afrykanów. Skarżyła się na to, podobnie jak na etykietę, która przedstawiała białą kobietę z długimi jasnymi włosami, otoczoną przez różowe kwiatki i zielone listki. Mimo to kupiła dla siebie butelkę, żeby chociaż móc go wąchać.

Piękno stojącej za nim dziewczynki nie było wyłącznie pięknem zewnętrznym. Osei odnosił wrażenie, że Dee rozświetla od środka coś, czego brakuje większości dzieci lub co jest przez nie dobrze skrywane, mianowicie dusza. Pomyślał nawet, że nikt nie jest w stanie znienawidzić Dee, co w tym świecie było rzadkie. Dzięki Dee wszystko wydawało się lepsze niż w istocie. W jego wypadku także, ponieważ zaczęła z nim rozmawiać i śmiać się; wzięła go pod swoje skrzydła. Nie miało znaczenia, że inni uczniowie gapią się na nich i chichoczą. Osei wbijał wzrok w Dee i ignorował całą resztę.

Zmierzając do swojej nowej klasy, Osei wiedział, że może poprosić Dee o pomoc w pewnej drobnej sprawie, która go męczyła – drobnej i konkretnej w przeciwieństwie do sprawy poważnej i niedającej się naprawić, a polegającej na tym, że był jedynym czarnym uczniem w szkole dla białych.

– Przepraszam, czy masz może piórnik? – zapytał.

Dee zrobiła zaskoczoną minę.

– Tak, w ławce. Dlaczego pytasz? Zapomniałeś swojego?

– Nie, ja tylko...

Włożył sobie skakankę pod pachę i otworzył torbę na podręczniki, litościwie niewyróżniający się niczym ciemnozielony worek, który pozwolił mu przetrwać trzy szkoły bez zwracania na siebie większej uwagi. Nie dało się powiedzieć tego samego o piórniku, który pokazał

Dee, wysuwając zaledwie jego kawałek, aby nikt inny go nie zobaczył. Był to różowy plastikowy prostopadłościan z czerwonymi guzowatymi truskawkami, które wystawały z gładkiej powierzchni niczym gigantyczne litery alfabetu Braille'a. Osei nie zdołał znaleźć własnego piórnika wśród licznych pudeł nierozpakowanych jeszcze po przeprowadzce, w związku z czym jego mama uparła się, żeby zabrał do szkoły piórnik siostry, z którego Sisi zdążyła wyrosnąć. Gdy Osei zapytał mamę, czemu jej zdaniem powinien używać dziewczynskiego piórnika, ona tylko zamrugała i odparła:

– Uczeń musi mieć piórnika. Nie wyślę swojego syna do szkoły bez piórnika.

Nie mógł się z nią sprzeczać ani zabronić jej zapakować piórnika do torby na podręczniki razem z chusteczką do nosa, której nigdy nie użyje, kanapką, której być może wcale nie potrzebował, i puszką coca-coli, której i tak pewnie nie będzie mógł wypić w szkole. Choć w torbie nie było nic przydatnego, zarzucił ją sobie na ramię i powlókł się do szkoły. Nie udało mu się pozbyć gdzieś piórnika – na co miał nadzieję – ponieważ mama odprowadziła go pod samą bramę szkoły, mimo że próbował ją przed tym powstrzymać. Tyle dobrego, że nie weszła razem z nim na boisko – zatrzymała się przy ogrodzeniu, skąd nie ruszyła się, dopóki nie zniknął w budynku. Poza nią nie było żadnych innych rodziców – przynajmniej rodziców szóstoklasistów.

Na widok różowego piórnika Dee otworzyła szerzej oczy. Nie wyciągnęła go jednak i nie uniosła wysoko, żeby zawstydzić O przed resztą uczniów. Sięgnęła tylko ręką i dotknęła jednej z truskawek, muskając palcem wypukłą powierzchnię i śledząc jej obrys, zupełnie jak zwykła robić Sisi przy odrabianiu zadania domowego w kuchni. Było to, zanim zaczęła odrabiać zadania w swoim pokoju, za zamkniętymi drzwiami i przy włączonej muzyce. Obecnie Osei nie umiałby powiedzieć, gdzie jego siostra uczy się po szkole – ani czy w ogóle to

robi.

– Należy do mojej siostry – wyjaśnił. – Z tym że Sisi przestała go używać. Chodzi do liceum. Do pierwszej klasy. Oni tam nie mają piórników. Ja nie mogłem znaleźć swojego, więc musiałem wziąć jej.

Umilkł, zamyśliwszy się o siostrze. Sisi zawsze brała jego stronę, kiedy byli młodszy. Broniła go, dopóki chodzili do tej samej szkoły, wysłuchiwała jego skarg na kolegów i zapewniała, że z każdym rokiem będzie mu łatwiej. Zawarli milczącą umowę, że nie będą w nic wciągać rodziców, i podpierali się wzajemnie kłamstwami, ilekroć któremuś zginęła torba czy zaplamiła się koszula lub bluzka. Dotyczyło to także sytuacji, gdy Osei wrócił do domu ze spuchniętą wargą, a Sisi z wyrwaną garścią włosów. Za to ostatnie Osei wziął winę na siebie i dostał od ojca lanie. Nie skarżył się jednak.

Ale kiedy Sisi przeszła do gimnazjum, zaczęła się odsuwać od brata i od rodziców. Zamiast włączyć się z O po lekcjach, zamykała się w swoim pokoju i wisiła godzinami na telefonie, prowadząc jałowe rozmowy z koleżankami, z którymi dopiero co spędziła cały dzień. Osei wiedział, że rozmowy są jałowe, bo czasem podsłuchiwał przez drugą słuchawkę, to znaczy dopóki nie znudziła go gadka o programach telewizyjnych, upragnionych ciuchach i chłopcach, w których się podkochiwały. Przy kolacji Sisi pyskowała rodzicom bądź – co było bezpieczniejszą opcją w obecności ojca – milczała jak zaklęta.

Brata traktowała z oziębłą pogardą, do jakiej jest zdolna tylko nastolatka. Osei cierpiał. Przestał jej opowiadać, co mu się przydarzyło w szkole, zatajając podarte koszule w Rzymie i starte kolana w Nowym Jorku od ciągłego podkładania mu nóg. Nie dzielił się z nią nawet małymi triumfami: obronioną bramką, rozmową z koleżanką czy niespodziewaną pochwałą nauczyciela za wypracowanie. Uznał bowiem, że przestał interesować Sisi. Jego siostra nie czytała już „O czym szumią wierzby” ani „Fałdki czasu”, tylko dorosłe książki, takie jak „Idź, zapytaj

Alice” czy powieści o czarnych: „Niewidzialny człowiek” Ralpa Ellisona, „Wszystko rozpada się” Chinuy Achebe, „Wiem, dlaczego ptak w klatce śpiewa” Mayi Angelou.

Ich matka podchodziła spokojnie do przemiany Sisi.

– Osei – mówiła – twoja siostra dojrzeła. Nie chce już, żebyś wszędzie jej towarzyszył. Ale wciąż cię kocha, wiesz o tym, prawda? Będzie jej to łatwiej okazywać, gdy dorośnie. Musisz być cierpliwy, a sam się przekonasz.

W drugim roku spędzonym w Nowym Jorku, skończywszy piętnaście lat, Sisi nabrała jeszcze większego dystansu do otoczenia, tak że chwilami przestawała przypominać jego siostrę. Na początek pozbyła się białych koleżanek ze szkoły, przez co została praktycznie sama, jako że chodziła do szkoły dla białych. Później zaczęła się szwendać z czarnymi dziećmi, które poznała Bóg wie gdzie. Przybrała amerykański akcent i odtąd wtrącała do rozmów slangowe słowa. „Spoko”, mówiła. Albo „twoja mamuśka”, kiedy chciała kogoś obrazić. W dniu, w którym wyraziła się o białych per „białasy”, chociaż nie w obecności rodziców, Osei zrozumiał, że ich drogi naprawdę się rozeszły.

Ten bunt czarnej nastolatki trwał tylko miesiąc czy dwa, po czym przeszedł w coś znacznie bardziej wyrafinowanego, choć równie szokującego dla O. Sisi porzuciła amerykański akcent i wróciła do śpiewnego sposobu mówienia, którym oboje posługiwali się jeszcze w Ghanie jako małe dzieci. Zaczęła nosić barwne tuniki uszyte z tkaniny kente – ku zachwytowi matki, która jednak nie była już tak zachwycona, gdy jej córka wyhodowała sobie afro tak imponujące, że zapadało się pod własnym ciężarem. Gdy ją za to upominała, Sisi kładła jej dłonie na ramionach i ze śmiechem mówiła:

– Ależ maame, powinnaś się cieszyć, że pozwalałam swoim włosom rosnać tak, jak powinny rosnać na głowie Afrykanina.

Coraz częściej znikła po szkole i w weekendy. Podśłuchując pod jej drzwiami, Osei odkrył, że Sisi okłamuje rodziców na temat tego, gdzie bywa i z kim. Pewnego dnia poszedł za nią w tajemnicę aż do Central Parku, gdzie Sisi rozsiadła się razem z innymi czarnymi nastolatkami, których Osei nie znał. Wszyscy byli ubrani podobnie jak jego siostra, w daszki, i mieli na głowie wielkie afro. Wprawdzie z tej odległości nie słyszał, o czym rozmawiają, ale domyślał się tego na podstawie podsłuchanych rozmów telefonicznych: byli Amerykanami, woleli jednak nosić afrykańskie imiona, takie jak Wakuna, Malaika i Aszanti. W co drugim zdaniu pojawiała się odniesienie do Malcolma X, Marcusa Garveya, Czarnych Panter i co rusz padały slogany w rodzaju „Czarna siła” czy „Czarne jest piękne”. Do tego zdarzały się wyrażenia, których Osei nie rozumiał: „biała supremacja”, „panafrykanizm” czy „rasizm internacjonalistyczny”. Osei przyglądał się, jak Sisi unosi pięść w geście pozdrowienia Czarnej Siły, tym samym, który widział na zawieszonym w jej pokoju plakacie przedstawiającym Tommiego Smitha i Johna Carlosa z pamiętnej olimpiady w Meksyku w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku. Poczuł się przez to niezręcznie. Sisi miała tylko piętnaście lat – czy nie była za młoda na to, aby zostać radykałem? Tęsknił za czasami, gdy grali razem w remika i próbowali naśladować tancerzy z telewizji. Brakowało mu nawet jej naburmuszonego milczenia. Nie chciał słuchać, jak gada o ciemnycach i ciemnionych.

Osei opuścił Central Park tamtego dnia, nie ujawniając, że tam był. Później także nie powiedział nic Sisi. Ani nie doniósł rodzicom, co porabia ich córka po szkole, dzięki czemu mogli żyć dalej w nieświadomości.

Tymczasem zanim przeprowadzili się do Waszyngtonu, mama kazała mu iść do fryzjera i pozbyć się wyhodowanego afro. A taki był z niego dumny. Zawsze nosił w tylnej kieszeni spodni grzebień, żeby przyczesywać włosy i utrzymywać je w porządku i schludności. Osei

na ogół nie sprzeciwiał się rodzicom, lecz tym razem zawzięcie orędownał na rzecz afro.

– Dlaczego? – powtarzał bez końca.

– W tym domu za dużą wagę przykładła się do włosów – stwierdziła niejasno jego matka. – Zresztą krótka fryzura ułatwi ci nowy początek.

Gdy Osei chciał dalej protestować, do rozmowy włączył się jego ojciec:

– Synu, zrobisz, co każe matka, i nie będziesz kwestionował jej decyzji. Ona wie, co mówi.

To był koniec rozmowy i koniec afro.

– Przykro mi, braciszku – powiedziała Sisi na jego widok po wizycie u fryzjera. I zaśmiała się. – Wyglądasz jak świeżo ostrzyżona owca.

Osei zauważył, że jej afro pozostało nietknięte.

Teraz, gdy Osei wkroczył do klasy u boku Dee, nauczyciel poprosił jednego z uczniów, aby się przesiadł, dzięki czemu Osei i Dee usiądą razem przy zestawionych dwóch parach ławek tworzących kwadrat. Najwyraźniej polecenie było niesłuchane, ponieważ Osei usłyszał, jak przez klasę przechodzi szmer. Nauczyciel uciął go, chrząkając. Następnie zwrócił się do nowego ucznia.

– Masz ołówek, pióro, linijkę i gumkę? – zapytał.

Osei zamarł, nie chcąc wyciągać różowego piórnika, potrafił bowiem przewidzieć docinki, które się rozlegną pod jego adresem. Nie wiedział jednak, jakie ma inne wyjście. Dee wpadła na pewien pomysł. Sięgnąwszy do ławki, wyjęła własny piórnik na kolana, po czym przesunęła go w stronę O.

– Tak. – Osei podniósł rękę z białym piórnikiem.

– Tak, proszę pana – szepnęła Dee.

– Tak, proszę pana – powtórzył Osei.

Osobiście nie wybrałby dla siebie tego koloru, ale biel i tak była lepsza niż róż. Piórnik był ozdobiony wizerunkiem Snoopy'ego, psa

z „Fistaszków”, który siedział na czerwonej budzie zgarbiony nad maszyną do pisania. Osei wolał Snoopy’ego zarówno od nieszczęsnego Charliego Browna, jak i od Lucy. Tolerował jeszcze rozsądnego Linusa i pianistę Schroedera. Ale Snoopy miał nad nimi wszystkimi przewagę: zamiast białej skóry – czarno-białe futro.

Do uszu O doleciało sapnięcie z drugiego końca klasy, gdzie siedziała niebrzydka dziewczynka, która jednak przedobrzyła, gdy idzie o sposób ubierania się, i teraz najwyraźniej rozpoznała piórnik Dee.

Ale pan Brabant nie należał do nauczycieli, którzy by wiedzieli, jaki piórnik ma każdy uczeń. Kiwnął więc tylko głową i przeszedł do sprawdzania listy obecności. Dee miała na nazwisko Benedetti. Zatem Osei nie pomylił się co do jej pochodzenia – była Włoszką. Większość dzieci nosiła zwyczajne amerykańskie nazwiska: Cooper, Brown, Smith, Taylor, lecz były też dzieci imigrantów: Fernandez, Korewski, Hansen, O’Connor. Pomimo różnorodności panującej w dzienniku nazwisko O – Kokote – wyróżniało się z tłumu.

Gdy pan Brabant nie patrzył, Osei oddał Dee jej piórnik. Następnie wyjął wszystko ze swojego.

– Możesz go sobie wziąć – szepnął i położył różowy piórnik na kolanach dziewczynki.

– Oooch – westchnęła Dee. – Naprawdę mogę?

– Tak.

– Dziękuję! – Uśmiechnęła się i zaczęła przekładać swoje przybory piśmienne. Na koniec podała O pusty piórnik ze Snoopym. – Zamieńmy się.

– Nie musimy... – odszepnął Osei.

– Ale ja chcę się zamienić. Twój bardzo mi się podoba. – Dotknęła palcem piórnika siostry O, nie cofając wyciągniętej ręki. – Ty możesz używać mojego.

Osei wziął od niej biały piórnik. Dziewczynka siedząca naprzeciwko

Dee – z prostymi myszowatymi włosami, które opadały jej równą grzywką na czoło, i w kraciastym bezrękawniku – przyglądała się tej transakcji z fascynacją podszytą niesmakiem. Ponieważ Osei nie spuszczał z niej spojrzenia rozszerzonych oczu, po chwili uciekła wzrokiem i zaczerwieniła się.

– To Patty – poinformowała go Dee. – A tam siedzi Duncan...

Skinęła głową w stronę krępego chłopca, który siedział naprzeciwko O i próbując opanować śmiech, przechwytywał spojrzenia kolegów. Osei utkwiał w nim oczy, po czym gdy nawiązali kontakt wzrokowy, Duncan nagle przestał się uśmiechać.

Osei włożył przybory do piórnika Dee, w głębi ducha żałując po fakcie, że oddał coś, co należało do jego siostry. Różowy piórnik przeprowadzał się tyle razy wspólnie z nimi i stanowił znajomy widok, gdziekolwiek Sisi odrabiała zadanie domowe. W letnie wakacje zabierała go nawet do Ghany, gdzie był przedmiotem pożądania córek kucharki. Osei pomyślał, że piórnik powinien trafić w ich ręce, chociaż może były już teraz na niego za duże. Tak czy owak, O miał takie uczucie, jakby pozbył się fragmentu historii rodzinnej.

Dee wodziła palcami po wypukłych truskawkach, zupełnie jak przed nią Sisi. Osei cieszył się, że dziewczynka to robi. A kiedy uśmiechnęła się do niego przyjaźnie, ogień, który poczuł przy pierwszym spotkaniu z nią, rozgorzał w nim na nowo.

Część druga
DUŻA PRZERWA

*Na górze róże, na dole fiołki,
Kochają się wzajem jak dwa aniołki.*



Blanca skierowała się w stronę Mimi, ledwie ta wyszła na boisko w czasie przerwy. Mimi wciąż miała głowę zaprzątniętą niewiadomymi x i y , o których mówiła na lekcji pani Lode.

– Technicznie biorąc, algebra zaczyna się w drugiej klasie gimnazjum – oświadczyła nauczycielka. – Chociaż już w pierwszej klasie matematyka obejmuje elementy algebry. A ja nie chcę, żeby moi uczniowie patrzyli tępo w tablicę, gdy będzie o niej mowa. Poza tym szósta „a” uczy się już o równaniach. Nie możecie być od nich gorsi.

Pani Lode miała kompleksy, że równoległa szósta klasa, z bardziej doświadczonym nauczycielem w osobie pana Brabanta i z uzdolnionymi uczniami, takimi jak Patty, Casper i Dee, jest bardziej zaawansowana w nauce od szóstej „b”. Zapytana o zdanie Mimi mogłaby jej powiedzieć, że na każdą Patty przypada co najmniej jedna Blanca – w obcisłej bluzce i z wargami czerwonymi od landrynek, które podjada na lekcjach. Teraz złapała Mimi za rękę i zionąc sztucznym aromatem wiśni, zawołała:

- Dee dała nowemu swój piórniki! Widziałam na własne oczy!
- Oddała mu Snoopy’ego?

Jak większość dziewczynek, Mimi była dobrze zorientowana w stanie posiadania koleżanek – szczególnie gdy czegoś im potajemnie zazdrościła. Jak na przykład Blance trzewików w kropki, Dee wisiora w kształcie sowy czy jej starszej siostrze błyszczącego czerwonego płaszcza przeciwdeszczowego. Wiedziała, kto może się poszczycić fotosem z ulubionego serialu, ołówkiem z gumowym trollem na końcu

czy przypinką z uśmiechniętą buzią. Zrozumiały więc, że miała doskonałe pojęcie, jak wygląda piórnik Dee, tak samo jak dla Dee nie było tajemnicą, że jej, Mimi, piórnik jest uszyty z dżinsu i ma na wierzchu kieszeń, w której właścicielka trzyma awaryjnego dropsa.

– Sama nie mogłam w to uwierzyć! – Blanca objęła Mimi ramieniem, jakby były najlepszymi koleżankami. Bardzo często okazywała zażyłość, której inne dziewczynki nie czuły.

Mimi oswobodziła się z jej uścisku.

– Czego Dee będzie używać zamiast piórnika?

Blanca wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Do tego siedzieli razem i przez cały czas rozmawiali! Założę się, że pod ławką trzymali się za ręce.

– Przyniosłaś skakankę?

– Dee przyniesie. Chodź, zaczekamy na nią na okręcie.

Okręt piracki był zrobiony z drewna, miał małą kajutę, do której dało się wcisnąć, i stał przechylony pod kątem, jakby płynął po wzburzonym morzu. Z pokładu sterczał wysoki maszt, na którego szczycie znajdowało się bocianie gniazdo. Można było się na nie wspiąć po olinowaniu albo po sznurowej drabince. Powstał w hołdzie dla pani Hunter, która była dyrektorką szkoły przez dwadzieścia pięć lat i odeszła na emeryturę przed kilku laty. Dziewczynki lubiły leżeć na pokładzie ze stopami wspartymi o kajutę i patrzeć, której uda się zrobić z gumy największego balona. Ponieważ na lekcjach nie wolno im było żuć gumy, wyczekiwały chwili, kiedy znajdą się na okręcie i będą mogły sobie napchać buzie różową, czerwoną albo purpurową balonówką. Jedynie Mimi nie żuła gumy, gdyż wchodziła jej pod aparat ortodontyczny.

Dwaj czwartoklasiści właśnie wspinali się po olinowaniu, ale na widok Mimi i Blanki szybko zeskoczyli na pokład, a potem na ziemię. Mimi z westchnieniem klapnęła na deski.

– Za rok będziemy najmłodsze w szkole – stwierdziła, przymykając

oczy i zwracając twarz do słońca. – A w gimnazjum nie ma nawet boiska z prawdziwego zdarzenia. Ani huśtawek, ani ślizgawki, ani okrętu. Założę się, że nikt tam nie skacze na skakance...

– Racja – zgodziła się z nią Blanca. Nadmuchała balona, przebiła go i załomotała długimi nagimi nogami o pokład. – Ale ja jestem gotowa. Mam dość tej szkoły. Chcę poznać nowych ludzi.

Mimi się uśmiechnęła, nie otwierając oczu.

– Masz na myśli nowych chłopców.

– Dee zadaje się z nowym. Nie jestem pewna, czybym go chciała... – Powiedziała to takim tonem, jakby wszystko zależało tylko od niej.

– Czemu? Nawet nie wiesz, jaki on jest.

– Wiem, ale... To by było dziwne.

Mimi otworzyła oczy i spojrzała na Blancę.

– Co byłoby dziwne?

Z przyjemnością patrzyła, jak Blanca wiję się pod jej spojrzeniem.

– No... na przykład dotknąć jego włosów. Wydają się takie... tłuste.

Mimi wzruszyła ramionami.

– A jakie to ma znaczenie? Dotykasz włosów Caspera?

Chociaż Blanca z przerwami chodziła z Casperem od roku, Mimi nie była pewna, czy obecnie są razem czy nie. To zazwyczaj zależało od tego, na ile Casper był w stanie znieść względy Blanki. Chociaż kiedy byli razem, sprawiali wrażenie „prawdziwszej” pary niż pozostali. A już na pewno niż Mimi i Ian.

– Mimo wszystko byłoby to dziwne. – Blanca nadmuchała balona i pozwoliła, żeby sam strzelił i okleił jej wydatne usta.

– Może on uważa cię za dziwną.

– Nie jestem dziwna! Sama jesteś dziwna!

Byłyby się pokłóciły na całego, gdyby nie dołączyła do nich Dee. Obydwie przeniosły na nią uwagę.

– Gdzie skakanka? – zapytała Blanca.

– Och. Zapomniałam. – Dee sprawiała wrażenie oszołomionej, jakby dopiero co się obudziła.

Blanca wybuchnęła śmiechem.

– Zapomniałaś? No, no, ktoś tu jest zakochany!

Mimi zerknęła na część boiska, gdzie zawsze skakały na skakance, ponieważ asfalt tam był równy. Miejsce było zajęte przez dwie dziewczynki skaczące na krótkiej skakance i trójkę innych, które skakały na długiej. Wszystkie chodziły do piątej klasy, więc bez problemu można by je przegonić, ale Dee właśnie umościła się obok nich, a ani Blance, ani Mimi nie chciało się wracać do budynku po klasową skakanę.

– Przepraszam, że się spóźniłam – powiedziała Dee. – Pokazywałam O, gdzie jest łazienka dla chłopców.

– O?

– Nowemu uczniowi. Pozwolił mi mówić na siebie O. Zajmuję się nim od pierwszego dzwonka. Chociaż on wcale tego nie potrzebuje, jest przyzwyczajony do nowych szkół. W ostatnich sześciu latach chodził do trzech.

– Jaki on jest?

– Bardzo miły. Naprawdę. I bystry. Nawiasem mówiąc, pochodzi z Ghany. Wcześniej się pomyliłam. Słyszałyście, jak mówi? Ma taki słodki akcent. Mogłabym go słuchać przez cały dzień.

Wpadła po uszy, pomyślała Mimi. Na głos zaś zapytała:

– Co robi w Waszyngtonie?

– Jego tata jest dyplomatą. Dostał posadę w ambasadzie.

– Właśnie teraz? Do końca roku szkolnego został tylko miesiąc. Kto by chciał być nowym uczniem pod sam koniec roku szkolnego, skoro od września znów będzie musiał pójść do nowej szkoły?

– Jego rodzice uznali, że powinien poznać kogoś w mniejszej szkole, choćby na parę tygodni, żeby miał jakichś kolegów, jak pójdzie

do gimnazjum.

– Wariactwo – skwitowała Blanca. – Kto by chciał być nowym uczniem dwa razy z rzędu? – Bardzo szybko jednak straciła zainteresowanie tematem i skupiła uwagę na Casperze, który mijał właśnie okręt, niosąc dużą gumową czerwoną piłkę. – Przyłączysz się do nas? – zagadnęła go.

Casper uśmiechnął się do nich. Dzięki swemu uśmiechowi i falistym jasnym włosom do ramion był najurodziwszym chłopcem na boisku.

– Nie mam czasu – odparł. – Idę pograć w piłkę. Później się widzimy.

– Mam nadzieję, że wygra twoja drużyna!

Mimi zerknęła na Dee, aby obie mogły przewrócić oczami na głupie zachowanie Blanki. Jednakże Dee miała spojrzenie utkwione w wejściu do budynku.

– Mam nadzieję, że O się nie zgubił. Bo jeśli tak, nie zdąży pograć w piłkę.

Mimi się skrzywiła. Odtąd wszystko, co Dee powie i zrobi, będzie miało związek z nowym uczniem; Dee będzie go wspominać przy każdej okazji, używając skrótu jego imienia i rozkoszując się poczuciem wyższości zdobytym dzięki swojemu wtajemniczeniu. Na tym głównie polegała zabawa: że połączył ich sekret. Mimi także temu uległa, wymieniając imię Iana częściej, niżby wypadało po tych kilku chwilach spędzonych przy maszcie.

Tymczasem Osei wyłonił się z budynku i mijając okręt w zwolnionym tempie, uśmiechnął się do Dee, jakby była jedyną dziewczynką na boisku. Mimi poczuła się wykluczona, tak jak wtedy, gdy od pięknego ogrodu oddzielał ją wysoki mur. Zapragnęła przez to parsknąć jak rozzłoszczony kot. *Powinnam być dla niego miła, pomyślała. Dee to moja koleżanka, nawet jeśli od tej pory będzie spędzać większość czasu z nowym.*

Przeniosła wzrok na chłopców, którzy roili się niczym pszczoły wokół

Iana i Caspera stojących w rogu boiska. Gra w piłkę była jedyną zabawą, w której uczestniczyli zarówno chłopcy, jak i dziewczynki, chociaż obowiązywały w niej niepisane reguły. Na pierwszej przerwie grali wyłącznie chłopcy; później dziewczynki miały prawo się dołączyć.

– Założę się, że Ian wybierze O do swojej drużyny – odezwała się.

I stwierdziła, że rzucenie imienia „Ian” wcale nie sprawiło, że zaczęła jaśnieć od środka, tak jak Dee, gdy mówiła o nowym uczniu. Bo chociaż chodziła z Ianem zaledwie od trzech dni, wiedziała już, że powinna się z tego wypłatać. Tylko że brzuch bolał ją na samą myśl, że ma z nim zerwać po lekcjach. Ian nigdy nie zapominał afrontu i był w stanie czekać bardzo długo na możliwość zemsty. Mimi przestała czuć pewność, że powinna z nim zerwać. Może bardziej by jej się opłacało zaczekać, aż Ian się znudzi – tyle że nie miała pojęcia, jak długo to potrwa.

Z całej tej znajomości wyniosła tylko jedną dobrą rzecz. Aż dotąd nie zapomniwała wspaniałego uczucia, które towarzyszyło jej szybowaniu dookoła masztu. Cokolwiek czuła w związku z Ianem obecnie, przynajmniej dał jej tamten moment wolności.

– Równie dobrze może go wybrać Casper – skontrowała Dee.

– Nie będziemy tu chyba siedzieć i przyglądać się grze chłopaków? – zaczęła marudzić Blanca. – To takie nudne! Już wolę popatrzeć, jak inne dziewczynki skaczą na skakance.

Zeskoczyła z okrętu na ziemię i skierowała się do fragmentu boiska z równym asfaltem. Miała wyjątkową zdolność przekonywania. Zawsze jej się udawało wkręcić do zabawy. Mimi podążyła za nią wzrokiem, czując pokusę.

– Osei ma najcudniejszy kształt głowy – obwieściła Dee. – A jego oczy... Kiedy na ciebie patrzy, masz wrażenie, że nie widzi poza tobą świata, wiesz?

– Nie wiem – odparła Mimi, chociaż tak naprawdę też to zauważyła. –

Blanca powiedziała mi, że oddałaś mu swój piórnik.

– Tak, zamieniliśmy się. On dał mi swój, różowy. Jest taki uroczy, że na pewno ci się spodoba. To było bardzo miłe ze strony O. Naprawdę wspaniałomyślne.

Mimi chciała odpowiedzieć, że wspaniałomyślność nie polega na przyjęciu jednej rzeczy w zamian za drugą, ale po namyśle ugryzła się w język. Zaczęła powoli wstawać. Też wolała obserwować zabawę innych dziewczynek, niż siedzieć tu i wysłuchiwać, jak Dee opowiada o nowym uczniu.

– Nie idź. – Dee złapała Mimi za rękę. – Na pewno polubisz O. Dzisiaj na geografii uzupełnialiśmy mapę świata o stolice. Pracowałam w parze z O. Uporał się szybko z zadaniem i ani razu się nie pomylił. Wiesz, że mieszkał w Rzymie? I w Londynie. I przez jakiś czas w Akrze w Ghanie. Teraz mieszka w Waszyngtonie. To daje w sumie cztery stolice! Nie licząc Nowego Jorku.

– Potrafi mówić po włosku? – zainteresowała się wbrew sobie Mimi.

– Nie pytałam, ale mogę zapytać, jeśli chcesz. Bardzo się cieszę, że chodzi do naszej szkoły. Lubię go. Dotąd żadnego chłopca tak nie lubiłam.

– Dee, on jest czarny.

Poirytowana Mimi była bardziej bezpośrednia, niżby chciała, ale tak czy inaczej zamierzała wstrząsnąć koleżanką – a także ukarać ją za to, że jakiś chłopiec zajął jej miejsce.

Dee prychnęła.

– I co z tego?

– To, że... Naprawdę nie przejmujesz się tym?

– Czemu miałabym się przejmować?

– Jest inny. Wyróżnia się. – Mimi nie była pewna, dlaczego to wszystko mówi; właściwie chyba nie wierzyła we własne słowa. I zdawała sobie sprawę, że zachowuje się jak Blanca przed paroma

minutami. Mimo to parła przed siebie z uporem, chcąc przestrzec koleżankę przed tym, co ją czeka. – Wszyscy zaczną się z ciebie wyśmiewać. Będą mówili, że chodzisz z małą. Oczywiście nie ja, ale inni...

Dee wpatrywała się w nią z napięciem.

– Żartujesz? Tylko tyle w nim widzisz? Twierdzisz, że zbytnio się ode mnie różni, abym mogła z nim chodzić?

– Nie, ja... Zapomnij, że w ogóle coś mówiłam. Jesteś moją najlepszą koleżanką, nie chcę, aby ktoś cię skrzywdził... to znaczy nie on, tylko...

– On ma na imię Osei. Dlaczego nie mówisz o nim po imieniu?

– No dobrze. Osei. Wydaje się całkiem miły. Ale narobisz sobie kłopotów, jeśli zaczniesz z nim chodzić. I co powie twoja mama? Może dostać ataku!

Dee pobladła na wzmiankę o swojej mamie, po czym pokryła zmieszanie wybuchem:

– Nie obchodzi mnie, co myślą sobie inni. Albo moja mama. Mnie Osei się podoba, dlatego że jest taki inny.

Do tego czasu chłopcy zdążyli podzielić się na drużyny i zaczęli grać w piłkę. Dee nie spuszczała oczu z O, który stał w tyle boiska.

– Wiesz – dodała – mogłam skomentować to, że chodzisz z Ianem, ale tego nie zrobiłam.

Chyba sobie na to zasłużyłam, pomyślała Mimi.

– Przepraszam – powiedziała. – Chciałam tylko pomóc. Nie gniewaj się na mnie.

– Nie gniewam się. Chociaż mogłabym, bo twoje słowa były obraźliwe, i dla O, i dla mnie. Ale nic się nie stało, wiem, że tak nie myślisz. I nie przejmuj się, potrafię o siebie zadbać.

Mimi pomyślała, że Dee mówi zupełnie jak dorosła, i poczuła, że jest traktowana z góry. Nie odezwała się jednak. Skinęła tylko głową zadowolona, że koleżanka się na nią nie gniewa. Najwyraźniej Dee

zakochała się po uszy, skoro nic nie jest w stanie jej rozgniewać.

Odwracając się w stronę Iana, który przymierzał się do wybicia piłki, Mimi poczuła, jak w głowie narasta jej ciśnienie. Wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała je uwolnić.

Osei ucieszył się, słysząc dzwonek na pierwszą przerwę. Wprawdzie w klasie był bezpieczny – miał swoją ławkę, przypisane mu miejsce, miał zadania do wykonania, a przede wszystkim miał Dee, która poświęcała mu uwagę – ale po półtorej godzinie zaczęło mu być duszno i pragnął zaczerpnąć świeżego powietrza, nawet jeśli wiązało się to z zagrożeniami typowymi dla szkolnego boiska.

Klasa była podobna do wszystkich poprzednich, w których się uczył, chociaż wydawała się trochę swobodniejsza niż w Anglii i we Włoszech. Na ścianach wisiały przeróżne uczniowskie prace: autoportrety, plakaty o fotosyntezie, pandach, Australii i Martinie Lutherze Kingu. Na parapetach leżały odłamki skał: kwarc, marmur, granit, zastygnięty kawałek lawy. Cała jedna ściana była poświęcona misjom Apollo, a w rogu znajdował się kącik z poduchami, gdzie można było poczytać książkę, gdy skończyło się zadanie wcześniej od innych. W jednym miejscu wisiała nawet pacyfa, a obok niej okładka albumu The Beatles „Żółta łódź podwodna”. Dee wyjaśniła O szeptem, że kącik został stworzony przez panią, która przyszła na zastępstwo i była entuzjastką „wolności w klasie”, i że pan Brabant się z nią nie zgadzał, uważając ją za radykalną hippiskę, jak mówił o niej za plecami, i pozwalając uczniom korzystać z kącika wyłącznie podczas zastępstw.

Pan Brabant siedział za ustawionym z przodu klasy biurkiem wyprostowany sztywno, jakby kij połknął, co sprawiało, że wszyscy uczniowie również przybierali wyprostowaną i nieruchomą pozycję. Wychowawca nosił garnitur i krawat i był bardzo poważny. Osei lubił, kiedy nauczyciel zachowywał się poważnie – dzięki temu przynajmniej wiedział, na czym stoi. Nieporozumienia zaczynały się wtedy, gdy

nauczyciele chcieli się zaprzyjaźniać. Z drugiej strony spojrzenie pana Brabanta nie było ani trochę przyjazne, a raczej nieufne, jakby w każdej chwili się spodziewał, że Osei może zrobić coś, za co trzeba go będzie ukarać. Osei był do tego przyzwyczajony i wiedział, że musi się pilnować.

Po tym, jak pan Brabant ustalił z O kwestię piórnika i sprawdził listę obecności, rzucił:

– A teraz...!

Na to wszyscy uczniowie wstali i zwrócili się w stronę rogu, w którym stała amerykańska flaga. Przyłożyli prawe dłonie do lewej piersi, tuż nad sercem, i zaczęli recytować:

– Ślubuję wierność fladze Stanów Zjednoczonych Ameryki...

Dee zerknęła na O i wyraźnie się odprężyła, widząc, że nowy uczeń wypowiada słowa razem ze wszystkimi. Osei zdołał stłumić uśmiech, który mógłby podważyć powagę chwili. W innych krajach nie musiał posuwać się do aż tak patriotycznych czynów, chociaż raz odśpiewał „Boże, chroń królową” w Londynie, gdy ojciec zabrał go na mecz krykieta. Nikt nigdy w jego obecności nie kwestionował treści ślubowania, jeśli nie liczyć grupki uczniów w nowojorskiej szkole, którym nie podobało się słowo „Bóg”, ponieważ gwałciło ich prawa obywatelskie jako ateistów. Osei nie brał udziału w dyskusji – wolał nie ściągać na siebie dodatkowej uwagi. Poza tym jego mama chyba by się popłakała, gdyby nazwał się ateistą (sprawdziwszy wcześniej, co to znaczy). Osei nie miał wyrobionej opinii na temat Boga. W kościele Jego istnienie wydawało się sensowne, ale gdzie On był, gdy Osei po lekcjach obrywał od kolegów, ledwie opuścił teren szkoły?

Gdy w końcu wyznał siostrze, co mówią ateści z jego klasy, Sisi odburknęła:

– Chcą posłuchać o prawach obywatelskich? Niech zapytają ciebie!

W tamtym okresie Sisi, Afrykanka, udawała czarną Amerykankę:

mówiła piskliwszym głosem, nie zwracała sobie głowy gramatyką i przeciągała samogłoski. Osei jeszcze nie był gotowy pójść w jej ślady, mimo że jeśli chciał, potrafił mówić z amerykańską. Ponieważ oboje tylko pierwsze lata życia spędzili w Ghanie, nie licząc późniejszych wakacji, w przeciwieństwie do rodziców potrafili zmieniać akcent w zależności od potrzeb, co czasami okazywało się przydatne.

Osei postanowił, że w Waszyngtonie postawi na akcent afrykański. Wydawało mu się, że tutaj biali nie boją się aż tak bardzo Afrykanów. Oczywiście nie w każdej sytuacji. Niemniej Osei wyczuwał ich strach przed czarnymi Amerykanami, którzy z kolei umieli to wykorzystywać. Wszystko wskazywało na to, że to ich jedyna przewaga.

Po ślubowaniu wierności pan Brabant wręczył Dee czerwono-biało-granatowy materiał złożony w trójkąt, z którym zniknęła razem z inną dziewczynką, wcześniej szepnąwszy do O:

– Muszę zawiesić flagę. Zaraz wracam.

Osei nie miał pojęcia, o co chodzi. Z chwilą odejścia Dee poczuł się bezbronny. Zewsząd dolatywały go szepty i chichoty, które starał się ignorować. Siedząca naprzeciwko Patty spoglądała na niego spod długiej grzywki. Kiedy ją na tym przyłapał, zaczerwieniła się i uciekła wzrokiem. Duncan, zajmujący miejsce obok niej, gapił się na O bardziej otwarcie, ze zmarszczonym czołem, jakby usiłował wymyślić jakiś dowcip na temat nowego ucznia – bezskutecznie, ponieważ nie był wystarczająco bystry, z czego zdawał sobie sprawę.

Choć Osei nie chciał tego przyznać nawet przed sobą samym, poczuł ulgę, gdy Dee wślizgnęła się znów na swoje miejsce.

Pan Brabant, pomimo swej surowości, pozwolił, aby Dee tłumaczyła O różne rzeczy szeptem. Najwyraźniej była ulubienicą pana Brabanta – czy też lizuską, jak mówili na nią inni uczniowie. Osei nigdy nie był ulubieńcem żadnego nauczyciela, a to dlatego, że nie mieli pojęcia, co o nim myśleć. Był niewątpliwie pilnym uczniem: uważał na lekcjach,

odrabiał prace domowe, zachowywał się wzorowo. Ale też nie zgłaszał się zbyt często do odpowiedzi, nie pisał interesujących wypracowań, nie malował szczególnie ładnie ani nie czytał lektur nadobowiązkowych. Z powodu częstych przeprowadzek miał braki w wiedzy, o co wiecznie się potykał. Zaliczał się do uczniów czwórkowych.

Zdaniem O nauczyciele byli mu wdzięczni, że się nie wyróżnia z tłumu: nie był ani dwójkowy, ani piątkowy i nie sprawiał większych problemów. A większość grona pedagogicznego najwyraźniej spodziewała się po nim złego zachowania. Jedni się obawiali, że czarny chłopiec będzie im się dawał we znaki, drudzy z kolei żałowali, że tego nie robi, gdyż wtedy mogliby go ukarać. Nierzadko dziwili się, że Osei dostał piątkę z klasówki z matematyki albo że wie, z czego robi się brąz, czy że w Berlinie stoi mur dzielący to miasto na dwie części. Patrzyli na niego tak, jakby podejrzewali go o oszukiwanie, mimo że większość faktów poznał, podsłuchując uczącą się w domu starszą siostrę.

Zdarzało się jednak, że nie znał odpowiedzi na najprostsze pytania. Jak nazywali się dwaj główni dowódcy w czasach wojny secesyjnej? Kto zamordował Abrahama Lincolna? Jakiego rodzaju podpis miał John Hancock? Osei dzielił na kartce metodą brytyjską, nie amerykańską, ale i tak otrzymywał ten sam wynik. Ilekroć popełnił błąd, nauczyciele kiwali do siebie głową, skrycie zadowoleni. Tego właśnie się spodziewali: że czarny chłopiec nie da rady.

Po pierwszej godzinie lekcyjnej wszyscy uczniowie nagle zerwali się na nogi, Osei razem z nimi. W drzwiach pojawiła się kobieta w średnim wieku; miała siwe włosy zaczesane gładko, tak że przypominały hełm, ciemnozieloną garsonkę i sznur wielkich sztucznych pereł. Emanowała autorytetem, więc Osei od razu się domyślił, że to dyrektorka szkoły przyszła rzucić na niego okiem.

– To pani Duke – szepnęła mu Dee.

– Dzień dobry – przywitała się pani Duke.

– Dzień dobry, pani dyrektor! – odpowiedziała śpiewnie klasa, tak jak w każdej szkole na świecie.

– Możecie usiąść. Przyszłam przywitać się z naszym nowym uczniem. Osei Kokote... – Potoczyła wzrokiem.

Nazwisko wypowiedziała poprawnie, ale przy imieniu się zająknęła – Osi – wymawiając je błędnie celowo, jakby dla pokazania, że wymaga to od niej wysiłku. Osei nie zamierzał jej poprawiać.

– Osi pochodzi z Ghany, prawda, Osi? – Utkwiła spojrzenie tuż nad jego głową.

– Tak – odparł odruchowo Osei.

– Może zechcesz wstać i opowiedzieć nam coś o Ghanie? – Choć użyła intonacji pytającej, było to wyraźnie polecenie, nie pytanie.

– Dobrze.

Osei wstał. Nie przejmował się tak bardzo, jak można by pomyśleć. Przerabiał to już wcześniej.

– Ghana to kraj w Afryce Zachodniej – zaczął. – Leży pomiędzy Togo i Wybrzeżem Kości Słoniowej, graniczy z Oceanem Atlantyckim. Populacja Ghany wynosi dziewięć milionów osób. Stolicą jest Akra. Tam się urodziłem. Aż do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku Ghana była kolonią brytyjską; wtedy ogłosiła niepodległość, tak samo jak Stany Zjednoczone w tysiąc siedemset siedemdziesiątym szóstym roku – dodał, ponieważ zauważył, że niektórzy uczniowie wydają się zdziwieni. – W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku generał Acheampong przeprowadził zamach stanu i stanął na czele państwa.

Osei wciąż pamiętał napięcie panujące w Ghanie tamtego lata, gdy wrócili do ojczyzny – na lotnisku powitały ich czołgi i karabiny maszynowe. Nie zatrzymali się wtedy w Akrze, lecz udali się prosto do dziadka na wieś, gdzie wszystko było po staremu.

Zdziwienie uczniów jeszcze wzrosło. W Stanach Zjednoczonych nigdy

nie było zamachu stanu. Osei wrócił więc na bezpieczne tory.

– W Ghanie panuje klimat tropikalny. Ciepło jest przez cały rok, a wiosną i jesienią trwa pora deszczowa. Główne bogactwa naturalne to kakao, złoto i ropa naftowa.

Przerwał i zerknął na dyrektorkę, aby ocenić, czy pani Duke chce, żeby kontynuował. Nie cierpiał sprowadzać swej pełnej życia i skomplikowanej ojczyzny do kilku nudnych zdań. Wiedział jednak, że wszyscy właśnie tego od niego oczekują.

W klasie było cicho jak makiem zasiał. Pan Brabant wyglądał przez okno ze zmarszczonym czołem. Ale dyrektorka skinęła głową zadowolona.

– Świetnie, Osi. Umiesz się wystawiać. Lubię, gdy nowy uczeń poszerza horyzonty kolegów i koleżanek. – Zwróciła się do klasy. – Mam nadzieję, że przyjmiecie Osiego z otwartymi ramionami, dzięki czemu będzie się czuł u nas jak w domu do końca roku szkolnego.

Wielka szkoda, że na tym nie poprzestała.

– Być może nie miał tylu możliwości co wy, pozwólcie mu więc czerpać pełną garścią z tego, co mamy do zaoferowania mniej fortunnym uczniom.

Przy ostatnich trzech słowach Osei zazgrzytał zębami. Uwaga pani Duke przypomniała mu o opowiadaniu Shirley Jackson, w którym matka głównego bohatera przejawia uprzedzenia względem czarnego kolegi syna. Wcześniej tego samego roku pełna dobrych intencji nauczycielka w Nowym Jorku zleciła lekturę tego tekstu całej klasie, w nadziei że dzieci okażą się wystarczająco dojrzałe, aby zrozumieć przesłanie i zastosować je w stosunkach z czarnoskórym kolegą. Zamiast tego jednak O spotkał ostracyzm.

Teraz pani Duke skinęła głową w stronę pana Brabanta.

– Dziękuję. Możecie kontynuować lekcję.

Po tym, jak wyszła, w powietrzu jeszcze przez chwilę unosił się

zapach jej perfum: kwiatowy, przesłodzony.

Kiedy w końcu zadzwonił dzwonek i Dee szepnęła, że to na przerwę, Osei wypuścił wstrzymywane mimowolnie powietrze. Mimo to nie pognał od razu na boisko, tylko najpierw udał się do łazienki, gdzie zaprowadziła go Dee – niechętna zostawić go samego, chociaż zarzekała się, że zna drogę na zewnątrz.

– Koleżanki na ciebie czekają – powiedział.

– Niech czekają. – Dee wzruszyła ramionami.

– Zaczną o tobie plotkować.

Dee się roześmiała.

– Naprawdę nic mi nie będzie – zapewnił ją w końcu. – Poradzę sobie. Proszę, idź sobie.

Zarumieniła się na to, ale usłuchała i odeszła. Ledwie zniknęła mu z oczu, Osei pożałował, że nie ma jej przy sobie. Nie przeszkadzała mu natrętność Dee.

Ku jego uldze łazienka była pusta, ale i tak skorzystał z kabiny zamiast z pisuaru, na wypadek gdyby ktoś jednak się pojawił. Chciał uniknąć znaczących spojrzeń oraz prób oceny wielkości i koloru swojego przyrodzenia.

Powtórne wkroczenie na boisko było trudniejsze niż za pierwszym razem, a to dlatego, że z samego rana miał po swojej stronie przewagę zaskoczenia, która pozwoliła mu bezpiecznie dobrać się do ławki w klasie. Obecnie, wychodząc z budynku i przecinając boisko, wiedział, że wszyscy na niego patrzą, chcąc zobaczyć, jak się zachowa, i dając mu odczuć, że jest inny.

Było to odczucie kompletnie odmienne od tego, którego doświadczał każdego lata, gdy razem z rodziną lądował w Akrze i wyłaniał się z samolotu na upał tak wielki, że pot występował mu na całej skórze. Pomijając panujący wokół chaos, gwar ludzi i szum silników, wycie klaksonów i nawoływania taksówkarzy próbujących zwrócić uwagę

potencjalnych klientów, jak również podniesione głosy miejscowych, którzy w żaden sposób nie powściągali emocji, Osei zawsze czuł się tam jak ryba w wodzie, a to dlatego, że znajdował się pomiędzy swoimi. Nikt się na niego nie gapił, nie wytykał go palcami ani nie oceniał koloru jego skóry. Naturalnie nie dało się wykluczyć, że lada moment ktoś zacznie go oceniać pod innym względem. Ludzie uwielbiają porównania. A zwracają uwagę na takie rzeczy, jak ubranie, pieniądze, stopnie w szkole, zawód ojca, akcent, a nawet na to, gdzie spędza się wakacje i jak długie włosy się nosi. Niemniej co roku latem Osei witał z radością poczucie przynależności i anonimowości pośród osób o podobnym odcieniu skóry – i tęsknił za nim przez resztę czasu.

Stojąc teraz na szkolnym boisku, widział, jak zwracają się na niego niebieskie oczy, słyszał, jak zamierają rozmowy, nieomal czuł, jak rzednieje powietrze, ułatwiając koncentrację wszystkich na jednym. Na nim.

Ale nie na długo. Jak zwykle uratował go sport. Osei radził sobie z piłką znacznie lepiej niż z gramatyką, algebrą i historią. Sport był dla niego łaciną, która nie zmieniała się wraz z każdą zmianą miejsca zamieszkania. Krykiet i bejsbol miały różne zasady, lecz odbijanie piłki i jej łapanie było uniwersalne.

Tymczasem szóstoklasiści zgromadzili się na jednym końcu boiska, żeby pokopać w piłkę. Osei wiedział, że powinien do nich dołączyć: udział w grze był lepszym rozwiązaniem niż trzymanie się na uboczu. We Włoszech nauczył się grać w futbol, w Londynie poznał zasady krykieta, a w Nowym Jorku ćwiczył bejsbol i koszykówkę. Tutejsi chłopcy bawili się w kopanie piłki według zasad przypominających obowiązujące w bejsbolu. Zatem były bazy, pola zewnętrzne i rozgrywający, którzy toczyli wielką gumową czerwoną piłkę w stronę gracza, a on kopał ją i biegł wzdłuż linii. Kopiąc czerwoną piłkę, każdy wygląda pociesznie, ale to nic – zabawa była przednia, nawet gdy mało

komu udawało się kopnąć piłkę albo ją złapać. W Ameryce w tę grę grały nawet dziewczynki, a przecież Osei nie widział małych Włoszek ani Angielek grających w futbol.

Osei nie martwił się grą jako taką, wiedział jednak, że najpierw będzie musiał przejść przez proces dobierania zawodników do drużyn, co mogło być równie nieprzyjemne jak zimny prysznic przed dostaniem się do ciepłego basenu. Jako nowy mógł się spodziewać, że zostanie wybrany na szarym końcu, ponieważ nikt nie znał jego możliwości, a on nie miał żadnych sojuszników. Nieodmiennie czuł się upokorzony, gdy szereg stojących obok niego chłopców topniał, aż zostawał tylko on, czarny, z jednym czy dwoma nieudacznikami: słabeuszem, cherlakiem i grubasem. Zazwyczaj zawieszał wzrok na jakimś punkcie hen daleko, żeby nie widzieć złośliwych uśmiechów ani co gorsza, politowania w oczach graczy. Jeśli kapitanowie byli miłośnierni, prędko rozdzielali niedobitków między obie drużyny. Czasami jednak któryś kapitan długo przyglądał się niedobitkom, śmiał się i rzucał kąśliwe uwagi do graczy, podczas gdy Osei stał tam i zaciskał w złości pięści, pamiętając, że mama zabroniła mu się bić. Nie zawsze jej słuchał.

Dzisiaj stał z boku, przekonany, że razem z ofermami będzie mógł tylko przyglądać się meczowi. Tyle dobrego, że miał na co patrzeć w oddali: Dee siedziała na okręcie piratów i uśmiechała się do niego.

Odpowiedział jej uśmiechem, gdy nagle stojący obok niego chłopiec trącił go w bok.

– Ej! – rzucił grubas. – Ian cię wybrał.

Osei rozejrzał się zdumiony. Dwaj kapitanowie, Casper i Ian, wybrali po jednym graczu i właśnie zaczęli drugą kolejkę. Osei rozpoznał w Ianie tego chłopca, który pokazał mu przed lekcjami, gdzie ma stanąć. Ian miał oczy szare jak łupek i kamienny wyraz twarzy, który niczego nie zdradzał. Osei z miejsca zrozumiał, co znaczą na w pół opuszczone powieki Iana. Sam tak robił, ilekroć nie czuł się pewnie. Tak jak teraz.

– Ty tam... jak ci na imię? – zapytał go Ian.

Osei się zawahał. *Noszę imię po władcach imperium Aszantów*, chciał powiedzieć. *Osei* znaczy „szlachetny”. Nie powiedział jednak nic takiego, mimo że był dumny ze swego imienia. Właśnie dlatego chciał uchronić je przed atakami żartownisiów i łobuzów.

– Możesz mówić do mnie O – rzucił.

– O, grałeś kiedyś w tę grę?

– Tak, w Nowym Jorku.

Zapadło milczenie. Osei przekonał się już wcześniej, że wzmianka o Nowym Jorku często wzbudza w mieszkańcach innych miast zachwyty. Najwyraźniej uważają, że Nowy Jork jest niebezpieczny. Osei nie zamierzał wyjawiać, że chodził do spokojnej prywatnej szkoły – również tylko dla białych – a nie do szkoły publicznej, jednej z tych, w których dzieją się niestworzone rzeczy. Casper, drugi z kapitanów, skinął głową na znak szacunku. Osei znał ten typ. Chłopiec przypominał mu bohatera jednego z seriali, którego plakat wisiał w pokoju Sisi, zanim zastąpiła go zdjęciem Malcolma X.

– Dobra – powiedział Ian i skinął głową na O.

– Co on szykuje? – półgłosem zapytał grubas swego sąsiada, podczas gdy Osei podszedł niepewnym krokiem do drużyny Iana, czując na sobie wzrok piętnastu par oczu.

Kiedy stanął w szeregu, Ian dorzucił:

– Czarni są dobrzy w sporcie, no nie?

Pozostali chłopcy gwizdnęli przez zęby i wybuchnęli śmiechem.

Osei nie skrzywił się, nie uderzył Iana ani nie odszedł. Miał przed sobą kogoś, kto wali prosto z mostu. Nieomal mu ulżyło, że uprzedzenia nareszcie wylazły na wierzch. Skoro tak, też mógł mówić bez owijania w bawełnę.

– Cóż, ten czarny na pewno jest dobry.

Zamierzał dać pokaz mistrzowskiej gry.

Rzut monetą wypadł na ich niekorzyść, więc drużyna Iana zajęła miejsca na boisku. Ian nie przydzielił graczom pozycji, lecz Osei bez wahania ruszył na pole zewnętrzne, gdzie mniej się działo, bo nie chciał się popisywać w centrum boiska. Odpowiadało mu, że przeczeka akcję w wysokiej trawie razem z innymi ofermami.

Podobnie jak w bejsbolu na boisku były trzy bazy i trzeba było je wszystkie obieć, żeby zaliczyć rundę. Wypadało się z gry, jeśli przed dobiegnięciem do bazy któryś z zawodników przeciwnej drużyny posłał do niej piłkę albo jeśli zostało się nią trafionym, albo jeśli zawodnik złapał kopniętą piłkę, zanim dotknęła ziemi. Kiedy jedna drużyna wypadła z gry trzy razy z rzędu, role się odwracały. Wygrywała ta drużyna, która zaliczyła więcej rund.

Pierwszy był chłopiec imieniem Rod. Kopnął piłkę nisko i mocno, tak że wystrzeliła spomiędzy pierwszej i drugiej bazy i dosięgnęła zawodnika stojącego obok O. Patałach złapał ją i rzucił tak niezdarnie, że potoczyła się w stronę O zamiast na pole wewnętrzne. Zanim Osei zdążył ją chwycić i posłać we właściwym kierunku, Rod dobiegł do drugiej bazy. Wśród członków drużyny Iana rozległy się jęki, a kapitan rzucił głośno: „No nie!”, chociaż nie pod adresem O, który i tak nie mógł się zachować lepiej w tej sytuacji.

Osei cieszył się, że w ogóle dotknął piłki. Po pierwszym rzucie zawsze nabierał większej pewności siebie.

Następny chłopiec kopnął piłkę wysoko, ale niedaleko, dzięki czemu Ian złapał ją bez trudu. Jeden z głowy. Później przeciwnicy się pokapowali i zaczęli wykorzystywać swoją przewagę w stosunku do najslabszego ogniwa w drużynie Iana. Za pierwszym razem piłka spadła po drugiej stronie patałacha, przez co Osei nie mógł interweniować. Zareagował zawodnik pierwszobazowy, który podbiegł i złapał piłkę. W tej rundzie Rod dobiegł do trzeciej bazy, a miotacz do pierwszej. Następna piłka, mocno wybita, poszybowała wysoko,

a wtedy patałach wyciągnął ręce w górę, w nadziei że jakimś cudem nabędzie zdolności sportowych i sprawnie otoczy lecący i kręcący się przedmiot chudymi ramionami. Osei mógł go odepchnąć i przejąć piłkę – miał na to wystarczająco dużo czasu. Nie zrobił tego jednak; nie chciał być brutalny wobec patałacha, a poza tym coś takiego mogłoby się obrócić przeciwko nim dwóm. Podbiegł więc tylko i zatrzymał się, patrząc, jak piłka przelatuje przez ręce szczupłego chłopca. Następnie złapał ją i rzucił mocno do drugobazowego, dzięki czemu chłopak zdążył ubiec miotacza. Drugi z głowy, chociaż Rod zdążył dobiec do bazy domowej.

W efekcie pozostał tylko jeden zawodnik. Do wybicia piłki właśnie szykował się Casper, gdy Osei pomyślał, że w wypadku niektórych od razu wiadomo, że im się uda, nawet jeśli nie widziało się ich w grze nigdy wcześniej. Zarówno Osei, jak i pozostali zawodnicy na polu zewnętrznym cofnęli się z respektu dla umiejętności Caspera, wiedząc, że piłka poleci bardzo daleko. Casper był nie tylko uzdolniony, ale też honorowy: nie zamierzał rzucać w stronę patałacha. Osei zerknął na okręt i zauważył, że dziewczynki obserwują wszystkie ruchy Caspera. Ogarnęła go zazdrość, że ktoś inny skupia na sobie uwagę. Ian podał piłkę Casperowi, który kopnął ją z całych sił, tak że poszybowała wysoko i wirując, zaczęła opadać ku O. Osei właściwie nie musiał się ruszać; wystarczyło, że zrobił krok do przodu, a piłka wpadła mu prosto w ręce. Otarła się przy tym o policzki i zadudniła o pierś, mimo to jej nie wypuścił. Casper także wypadł z gry.

Wśród drużyny O zerwały się okrzyki.

– Brawo, O! – zawołał ktoś.

Osei niósł już piłkę Ianowi, który kiwał aprobująco głową, podczas gdy dziewczynki wiwatowały z pokładu okrętu. Na krótką chwilę Osei zapomniał, że jest czarnym chłopcem w nowej szkole, i czuł się tylko bohaterem boiska.

Kiedy mijał Caspera, usłyszał:

– Świetne zagranie.

W głosie Caspera nie było zazdrości ani sarkazmu, mówił całkowicie szczerze. O spodobała się jego bezpośredniość i swobodna pewność siebie, choć nie znaczy to, że nie miał ochoty podłożyć mu nogi.

Osei nie liczył na to, że dzięki jednemu udanemu zagraniu zostanie gwiazdą drużyny ani że Ian wyznaczy mu jedną z lepszych pozycji, czwartą albo piątą, kiedy to większość baz jest już zajęta i przy jednym wybiciu piłki można zaliczyć bazę domową.

Faktycznie tak się nie stało.

– Ewidentnie potrafisz rzucać i łapać – stwierdził Ian, gdy drużyna zebrała się przy bazie domowej. – Ale czy umiesz wybijać?

Posłał O przeciągłe spojrzenie brudnoszarych oczu, które były osadzone tak blisko siebie, że człowiekowi kręciło się w głowie od samego patrzenia w nie. I wskazał ręką, dając do zrozumienia, że Osei będzie pierwszy.

Nie było w tym nic dziwnego. Gdy nie znało się możliwości zawodnika, spisywało się go w ten sposób na straty, dzięki czemu drużyna nie traciła szansy na wygraną. Ale oczywiście gdy taki zawodnik stanął na wysokości zadania i wybił piłkę daleko, podobna taktyka była wielkim marnotrawstwem, bo miał szansę zdobyć tylko jeden punkt.

I to właśnie zamierzał zrobić Osei. Ba, musiał to zrobić. Skoro dobrze rzuca i łapie, powinien udowodnić, że potrafi też kopać. Takie sobie kopnięcie nie wchodziło w grę. Zdobycie pierwszej bazy to za mało. Osei musiał wybić piłkę za boisko.

Zajmując pozycję, usłyszał, jak wśród zawodników przeciwnika przechodzi szmer, i zobaczył, że ci, którzy stoją na polu zewnętrznym, cofają się o dobre kilka kroków. Wszyscy spodziewali się po nim wspaniałych czynów. Dee i Mimi wstały, żeby lepiej widzieć.

W gruncie rzeczy Osei miał wrażenie, że czas się zatrzymał.

We Włoszech często stał w bramce, kiedy grali w futbol. Koledzy nie lubili mieć kontaktu z jego czarną skórą, co było do uniknięcia, gdy był bramkarzem. Dzięki temu nauczył się wybijać piłkę wysoko i daleko. Bramkarz zazwyczaj wybija nieruchomą piłkę. W tym wypadku jednak Casper podał mu ją nadszpodziejanie szybko. Moment trwał, zanim Osei się zorientował, co się dzieje, po czym wybiegł toczącej się piłce na spotkanie, przyłożył do niej palce prawej stopy i kopnął z całych sił. Tak wybita powinna polecieć daleko.

I zaleciała. Przemknęła nad głowami zawodników zapolowych, przeleciała nad siatkowym ogrodzeniem oddzielającym boisko od ulicy i odbiła się od dachu niebieskiego oldsmobila. Zawodnicy zapolowi wydali z siebie okrzyk zachwyty, tak samo jak dziewczynki i wszyscy widzowie – ale nie można było powiedzieć tego samego o członkach drużyny O, którzy tylko jęknęli.

Osei rozejrzał się zdumiony.

– Nie zdobyłem punktu?

– Nie. Piłka opuściła boisko – wyjaśnił Ian.

– Właśnie – poparł kapitana Duncan. – W dodatku nie możemy grać dalej. Wychowawca nam zabrania. Nie znosi chodzić po piłkę. A popatrz, jak daleko poleciała.

Odbijając się od kół zaparkowanych samochodów, piłka potoczyła się ulicą aż na skrzyżowanie, gdzie omijali ją trąbiący wniebogłosy kierowcy.

– Przepraszam. Nie wiedziałem.

– Wiesz, że trafiłeś w samochód rodziców Caspera? – zapytał Ian. – Casper mieszka po drugiej stronie ulicy.

– Och! Przepraszę ich.

Ian wzruszył ramionami. Był raczej rozbawiony upokorzeniem O niż zmartwiony, że gra dobiegła końca.

Ale to się szybko zmieniło. Dee nadbiegła od strony okrętu, zatrzymała się przed O i zarzuciła mu ręce na szyję.

– To było wspaniałe!

Osei zamarł, podobnie jak wszyscy pozostali na boisku. Wiwaty umilkły, szmery ucichły. Ian przestał się uśmiechać.

– Ona go dotknęła! – szepnęła Patty głosem, z którego przebijała mieszanina zachwyty i przerażenia.

Dołączył do niej chór głosów:

– Nie tylko dotknęła. Uściskała go.

– A niech to!

– Ja bym tak nie zrobiła. A ty?

– Myślisz, że chodzą ze sobą?

– Na pewno.

– Mogłaby chodzić z każdym chłopakiem, a wybrała jego?

– Zwariowała czy co?

– No nie wiem. Wydaje się milutki.

– Żartujesz? On jest... no wiesz...

– I to nie wszystko. Jest też nowy. Dee nawet go nie zna.

– Właśnie. Może mordować ludzi siekierą albo dusić dziewczynki, tak jak ten facet przebrany za Świętego Mikołaja w „Opowieściach z krypty”.

– Oglądałaś to? Mnie rodzice nigdy by nie pozwolili.

– Widziałam też „Egzorcystę”. Zakradłam się do kina ze starszym bratem. Najadłam się strachu, zwłaszcza jak bohaterka mówiła tym dziwnym głosem.

Osei nie słyszał nic z tego, ale to się nie liczyło. Miał całe grono świadków, którzy widzieli, jak przekracza nieprzekraczalną linię.

Dee zauważyła, że objęty Osei zeszywniał, a gdy oswobodziła się z jego gładkiego uścisku, zorientowała się, że atmosfera wokół nich jakby się zagęściła. Mimi miała oczy wbite w ziemię; chłopcy – Ian, Casper, Rod i pozostali – prężyli się nieomal na baczność, z rękami

spuszczonymi wzdłuż boków. Patty delikatnie kręciła głową. Dee dotknęła O, i to na oczach wszystkich. Dezaprobatą otoczenia, a nawet samego O, jak się zdawało, była tak silna, że dziewczynka musiała przymknąć oczy.

– Chodźmy pod drzewa – zaproponowała ucieczkę do sanktuarium.

Cyprysy stanowiły najdziwaczniejszy element boiska. Architekt najwyraźniej miał słabość do drzew, gdyż zamiast je usunąć z działki pod budowę szkoły, zachował wszystkie w projekcie w ten sposób, że stanowiły istotną część szkolnego terenu. Być może w celu usprawiedliwienia ich obecności zaprojektował pod nimi piaskownicę, która nigdy nie była wykorzystywana do zabawy, jako że boisko, w przeciwieństwie do placu zabaw, przeznaczono dla starszych uczniów, a oni nie bawili się w piasku. Niepisana umowa zakładała, że piaskownica to ziemia niczyja, gdzie mogą przesiadywać zarówno chłopcy, jak i dziewczęta.

Dee zaprowadziła O pod drzewa i przysiadła w piasku. Osei zawahał się, ale po chwili do niej dołączył. Gdy tak siedzieli obok siebie, życie na boisku powoli wracało do normy. Chłopcy odzyskali piłkę i zaczęli grać w dwa ognie – przy czym Ian i Rod miotali szczególnie silne ciosy, zostawiając czerwone ślady na nogach chłopców, którzy mieli na sobie szorty. Dziewczynki w większości grały w klasy, a Mimi bawiła się w kamyki z koleżanką z klasy, Jennifer, nieopodal piaskownicy. Blanca zaczęła skakać na skakance.

– To było wspaniałe wybicie – stwierdziła Dee.

Osei wzruszył ramionami.

– Trafiłem w samochód rodziców Caspera. I przerwałem grę.

– Nie wiedziałeś, że tak będzie. Ian powinien był ci przedstawić zasady, zanim zaczęliście grać. – Nabrała garść piasku, wciąż mokrego od rosy, i zaczęła go przesiewać przez palce, szukając igieł i szyszek cyprysowych. – Grałeś w piłkę w Nowym Jorku?

– Trochę. – Osei przejechał dłonią po piasku, wygładzając jego powierzchnię.

– Jaki jest Nowy Jork? Nasłuchałam się o nim przerażających rzeczy. Bez przerwy są tam napady i morderstwa. A poza tym jest brudny.

– Nie, nie jest wcale tak źle. My mieszkaliśmy w przyjemnej dzielnicy.
– Osei zamilkł, jakby temat Nowego Jorku przypomniał mu o czymś.

– Co się stało?

Dee czuła, że Osei bada ją wzrokiem, zastanawiając się, ile może jej powiedzieć.

– No powiedz – dodała. – Możesz mi powiedzieć wszystko.

Jej głos zabrzmiał lekko błagalnie, dając wyraz pragnieniu poznania O lepiej.

– Mieszkaliśmy na Upper East Side, gdzie większość budynków ma odźwiernych. – Uśmiechnął się, widząc nierozumiejące spojrzenie mieszkanki przedmieść. – Odźwierny to człowiek, który stoi przed budynkiem, trochę jak strażnik, z tym że głównie pomaga z pakunkami, zakupami i takimi tam, a także wzywa taksówki. W okolicy nie było wielu... osób takich jak my. Dlatego kiedy szedłem ulicą, jeden odźwierny zaczynał pogwizdywać, tak żeby usłyszał go drugi, i kolejno mi się przyglądali. Normalnie robili tak, kiedy przechodziła koło nich ładna dziewczyna. Chociaż mieszkaliśmy tam miesiącami, a ja mijałem ich dzień w dzień, nie przestali pogwizdywać na mój widok. Twierdzili, że to taki żart, i może faktycznie po jakimś czasie był to żart. Dla nich, nie dla mnie. Zupełnie jakby oczekiwali, że nagle coś zrobię.

– Ale co?

– Ukradnę coś albo kogoś napadnę, albo rzucę kamieniem.

– To... – Dee nie wiedziała, co powiedzieć. W dalszym ciągu usiłowała sobie wyobrazić, jak to jest żyć w mieszkaniu, a nie w domu jak ona i wszystkie jej koleżanki. Na przedmieściach nie było mieszkań, tylko same domy jednorodzinne. – A twój odźwierny?

– Koniec końców okazał się w porządku. Koledzy się z niego wyśmiewali, ale tata dał mu suty napiwek z okazji świąt, co znacznie pomogło. Ale nigdy nie wezwał nam taksówki, nawet gdy obok przejeżdżały puste. Twierdził, że żadnej nie widzi albo że te, które widzi, są zajęte. Przez cały czas, jak tam mieszkaliśmy, tylko dwa razy jechałem taksówką.

Dee nie jechała taksówką ani razu – nie miała takiej potrzeby. Ktoś, kto rozbijał się taksówkami, wydawał jej się bardzo egzotyczny.

– Opowiedz mi coś więcej o Ghanie – poprosiła, byle mówił dalej.

Osei się wyprostował.

– Co chciałabyś wiedzieć o mojej ojczyźnie?

Wzmianka o Ghanie sprawiła, że stał się bardziej oficjalny.

– No... – Dee zamilkła, zastanawiając się, czy powinna poruszyć temat, który ją zaprzątnął, ledwie usłyszała o Ghanie. Lubiła O, naprawdę go lubiła, chciała więc być z nim maksymalnie szczerą. – Czy tam... czy tam się jada ludzi?

Osei się uśmiechnął.

– Mylisz Ghanę z Papuą Nową Gwineą. Papua Nowa Gwinea leży obok Australii.

– Och. Przepraszam.

– Nic się nie stało. Moja siostra Sisi miała w Rzymie nauczyciela, który popełnił ten sam błąd i zadał jej do domu przygotowanie referatu na temat kanibalizmu. Sisi wykorzystała mnie jako próbną widownię, dzięki czemu wszystkiego się dowiedziałem.

To było nawet bardziej zdumiewające niż odźwierni i taksówki.

– Jak jest po włosku „kanibalizm”?

– *Cannibalismo*.

Dee zachichotała, zaraz jednak spoważniała.

– Może w takim razie mi wyjaśnisz, czemu ludzie zjadają się nawzajem. Nie potrafię tego zrozumieć. Mnie wydaje się to obrzydliwe.

– Czasami po prostu jest za mało jedzenia. Kiedy na przykład panuje głód albo jakaś grupa ludzi utknie gdzieś bez żywności. Słyszałaś o tej katastrofie samolotowej w Andach dwa lata temu? Ludzie musieli jeść zwłoki innych, żeby przeżyć.

Dee wzdygnęła się, niepewna, czemu skierowała rozmowę na ten temat, ale też nieprzekonana, czy chciałaby go zmienić. Nigdy nie rozmawiała o czymś tak poważnym z żadnym kolegą – ani z koleżanką.

– Głównie jednak wcale nie chodzi o głód – podjął Osei. – Ludzie zjadają tych, których pokonali w walce, bo traktują ich jak trofea wojenne. Albo spożywają kawałek ciała ukochanej osoby, która umarła. W ten sposób przywracają ją społeczności poprzez własne ciała.

– Fui!

Osei się zaśmiał.

– W Ghanie tańczymy i śpiewamy, kiedy ktoś umrze, ale nie jemy zmarłych!

Dee przypomniała sobie dziadka, który leżał w otwartej trumnie w kościele w Karolinie Południowej. Atmosfera była uroczysta i niezręczna, a ją nowe buty piły w stopy.

– Tańczycie?

– Tak. Odbywa się wielkie przyjęcie, które trwa całą noc, z mnóstwem gości, jedzenia i muzyki. Rodzina zmarłego rozwiesza ogłoszenia w okolicy, sprasza kogo się da. Na pogrzeb wydaje się mnóstwo pieniędzy, tyle samo co na wesele.

Gdy mówił o Ghanie, jego akcent stawał się coraz bardziej afrykański, samogłoski wyraźniejsze, a głos dobitniejszy.

– Dziwne... Często jeździsz do Ghany?

– W każde wakacje. Odwiedzamy wtedy dziadków.

– Podoba ci się to?

– Jasne.

– Kiedy tam jesteś, mieszkasz w mieście czy na wsi?

– I tu, i tu. Mamy dom w stolicy i w wiosce, w której mieszka mój dziadek.

Dee chciała zapytać, czy ten dom ma ściany z gliny i dach ze słomy, tak jak afrykańskie budynki, które widziała w czasopiśmie geograficznym ojca. Wciąż jednak miała w pamięci swoje pomyłki dotyczące kanibalizmu i dasziki, dlatego wolała nie pytać o coś, co mogłoby ujawnić cały zakres jej ignorancji.

Zastanowiła się, o co by mogła zapytać. W ciszy, która nastąpiła, uświadomiła sobie, że siedzi z O ramię w ramię, podczas gdy dzieci na boisku zajmują się swoimi sprawami, ukradkiem zerkając co rusz w ich stronę. Pożałowała, że razem z O nie spaceruje ani nie wspina się w małym gaju, ani nie huśta się na huśtawkach, zamiast siedzieć nieruchomo.

– Macie tam dużo dzikich zwierząt?

Dee najchętniej pacnęłaby się w czoło za pytanie o takie oczywistości, tyle że rozmowa w każdej chwili mogła się urwać, jak to często bywało, gdy chłopiec i dziewczynka poczuli się niezręcznie w swojej obecności.

– Tak. Mamy bawoły, pawiany, guźce, małpy. I wiele innych.

– A słonie?

– Słonie też.

Choć nie przeszkadzało mu udzielanie odpowiedzi na jej pytania, sam o nic nie pytał. Chłopcy rzadko to robili – woleli mówić, niż słuchać, a jeszcze bardziej działać, niż mówić. Dee nigdy dotąd nie rozmawiała z chłopcem tak długo.

Skoro Osei nie pytał jej o nic, nie mogła mu o sobie opowiedzieć. A co by powiedziała zapytana? Jej rodzice byli bardzo surowi. Lubiła matematykę, choć udawała, że jej nie lubi. Dziwiła się, że jest popularna wśród innych uczniów przy tylu ograniczeniach narzuconych jej przez mamę: Dee nie mogła chodzić do centrum handlowego z koleżankami,

nie urządziła przyjęć urodzinowych, nie jeździła na łyżwach ani nie oglądała filmów w kinie. Od czasu do czasu czuła przygnębienie całkiem bez powodu. Mimi wywróżyła jej niedawno z kart, że jej życie wkrótce się zmieni. Dee założyła, że chodzi o przenosiny do gimnazjum jesienią, ale teraz, przyglądając się, jak Osei czarną dłonią na przemian wygładza, wzburza i znów wygładza jasny piasek, zastanowiła się, czy przypadkiem „wkrótce” nie nadeszło szybciej, niż myślała.

Gdy O zniemacka podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się z twarzą lekko odwróconą, przez co jego uśmiech wydał się łobuzerski, wszystkie słowa, te, które padły, i te, które nie padły, wszystkie pytania, zadane i niezadane, przepędziło rozlewające się w jej wnętrzu ciepło. Dee tym różniła się od Blanki i od innych dziewczynek, że nigdy nie obnosiła się ze sobą, nigdy nie uganiała się za chłopcami ani nie zachęcała ich w żaden sposób, aby się nią zainteresowali. Ubierała się w luźne, stonowane w kolorze stroje. Nie wypinała pączkujących piersi, lecz garbiła się, aby je ukryć. Nie eksperymentowała z chłopcami za salą gimnastyczną, a całowała się z nimi wyłącznie podczas gry w butelkę – dotąd słownie dwa razy, ponieważ nauczyciele domyślili się, co się dzieje, i zabronili im tam chodzić. Jej reakcja na O nie miała nic wspólnego z eksperymentowaniem. *Na to czekałam*, pomyślała. *Właśnie na to.*

Ta myśl sprawiła, że Dee uczyniła to, na co miała ochotę od tamtej chwili, gdy ustawiła się za plecami O przed szkołą: wyciągnęła rękę i dotknęła jego głowy, rozkoszując się wrażeniem meszku na idealnie kształtnej czaszce.

Osei nie wzdrygnął się ani nie przestał się uśmiechać. W odpowiedzi także wyciągnął rękę i dotknął policzka Dee, która przechyliła głowę, aby wpasować się w zagłębienie jego dłoni niczym poddający się pieszczocie kot.

– Masz śliczną głowę – powiedziała.

– A ty masz śliczną twarz.

Przetoczyła się przez nią fala zdziwienia i ulgi. Osei traktował ją podobnie jak ona jego; mogli się oboje odprężyć w swoim towarzystwie. W tym momencie Dee zrozumiała, że prawdziwe pary nie proponują sobie chodzenia razem – one są razem od początku. Pytanie o coś takiego było dziecinne. Ona i Osei dawno przekroczyli ten etap.

Pozostali w tej samej pozycji niczym nowoczesna rzeźba kochanków: z odchylonymi głowami, wyciągniętymi rękami, z uśmiechem na ustach – zapominając o bożym świecie. Dee usłyszała, jak stojąca nieopodal Mimi syczy:

– Dee, co ty wyprawiasz?

Stojąca nieco dalej Blanca zaczęła skandować:

*Na górze róże, na dole fiołki,
Kochają się wzajem jak dwa aniołki.*

Chociaż rozległ się dźwięk gwizdka, Dee i Osei nie przestali się dotykać. Dyżurujący nauczyciel używał gwizdka wtedy, gdy dzieci robiły coś, czego nie powinny robić: gdy wdawały się w przepychanki, zwieszały się głową w dół z drabinek, obrzucały się piaskiem, wdrapywały na ogrodzenie. Ilekroć rozlegał się sygnał, wszyscy na boisku zamierali i rozglądali się, aby sprawdzić, kto będzie miał kłopoty.

Osei nie miał o tym pojęcia, ale musiał się domyślić znaczenia odgłosu, bo kiedy pan Brabant zmierzał energicznie w ich stronę, nie przestając gwizdać, cofnął rękę od zaczerwienionego policzka Dee. Oszołomiona dziewczynka jeszcze przez moment trzymała dłoń na jego głowie.

– Przestańcie natychmiast! I wstawajcie! – Głos wychowawcy smagnął ich niczym bicz.

Osei podniósł się niezdarnie na nogi. Dee, choć miała ochotę się postawić, poczuła się niezręcznie, siedząc, skoro wszyscy zebrali się dookoła i patrzyli na nią z góry. Mimo to wstała nieśpiesznie, strzepując piasek z dżinsów i unikając spojrzenia rozwścieczonego pana Brabanta.

– Nie wolno się nawzajem dotykać! Może tam, skąd pochodzisz, takie rzeczy są dozwolone – dodał, zwracając się do O – ale w tej szkole chłopcy i dziewczynki nie dotykają się w ten sposób.

Ten dotyk wywarł na nauczycielu większe wrażenie niż wszystkie pocałunki, na których przyłapał szóstoklasistów w ciągu całego roku szkolnego. Być może pan Brabant wyczuł, że jest to dotyk bardziej znaczący, bardziej czuły i bardziej intymny – zbyt intymny jak na realia szkolnego boiska.

Oderwał wzrok od O i spojrzał na Dee.

– Zdumiewasz mnie, Dee. Powinnaś być mądrzejsza. Idź już do środka i zacznij rozkładać na ławkach zeszyty ćwiczeń z matematyki.

Dee nigdy nie została zawieszona w prawach ucznia, zatrzymana po lekcjach ani ukarana w żaden inny sposób, ponieważ nigdy nie robiła nic, co by zasługiwało na karę. Tym razem także jej się upiekło. Każdy inny trafiłby do gabinetu dyrektorki, a może nawet jego rodzice zostaliby wezwani do szkoły. Tymczasem Dee otrzymała zadanie, które by chętnie wypełniła niezależnie od okoliczności. Wyglądało na to, że pan Brabant nie potrafi surowiej ukarać swojej ulubienicy.

W innej sytuacji jego ton i słowa ubodłyby Dee, która ceniła go najbardziej ze wszystkich nauczycieli. Tego dnia jednak było inaczej – Dee znalazła kogoś, z którym zdaniem liczyła się nawet bardziej niż z opinią wychowawcy. Kogoś, kogo wychowawca starał się zasufladkować. Dee nie podobał się ton głosu pana Brabanta. Nie mogła go jednak nie usłuchać. Uznała, że najlepiej będzie grać na zwłokę, zamiast pośpieszyć, by wykonać jego polecenie. Gdy

wyminawszy nauczyciela, zaczęła wolno sunąć w stronę wejścia do budynku, poczuła na sobie spojrzenie pana Brabanta, najwyraźniej zaszokowanego jej nowym podejściem.

To sprawiło, że zyskała moc.

Wszyscy czekali, aż pan Brabant ukarze nowego chłopca. Ian chętnie by wyznaczył karę sam: łomot linijką po czarnej dłoni, która śmiała dotknąć policzka Dee. Kiedy zobaczył, jak się obejmują, poczuł taką złość, że do tej pory nie udało mu się nad nią zapanować. Tymczasem pan Brabant wydawał się zagubiony – i stary, z workami pod oczami, które nagle stały się bardziej widoczne. Ulubienica wychowawcy w końcu się zbuntowała, a on nie wiedział, co z tym fantem począć.

Ian zakasłał, aby przerwać czar. Ktoś musiał to zrobić. Pan Brabant potrząsnął głową, po czym wyraźnie spróbował wziąć się w garść. Utkwił wzrok w O, zacisnął szczęki.

– Lepiej uważaj, chłopcze – powiedział.

Osei odpowiedział spojrzeniem, lecz nie odezwał się. Milczenie zdawało się ciągnąć w nieskończoność, a przerwało je dopiero pojawienie się zdyszanej pani Lode.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała wysokim podenerwowanym głosem.

– Mam taką nadzieję – odparł pan Brabant ostro. – Jeśli tylko pewien uczeń zrozumie, jakie zasady obowiązują w naszej szkole. Zgadza się, Osei?

– Tak.

– Osei, uczniowie zwracają się do nauczycieli per „proszę pana” i „proszę pani” – wtrąciła pani Lode znacznie łagodniejszym tonem. – Rozumiesz?

– Tak, proszę pani.

– Diane, poradzę sobie z nim.

– Oczywiście. Nie chciałam... – Panią Lode uratował dzwonek

na lekcję.

– No dobrze. Ustawcie się wszyscy w szeregu – powiedział pan Brabant, podnosząc głos.

Osei ruszył przed siebie wolnym krokiem – tak samo jak Dee przed chwilą – pokazując, że bynajmniej nie wypełnia polecenia, lecz tylko przypadkiem zmierza we wskazaną stronę.

– Przegapiłam coś? – zapytała półgłosem pani Lode.

– Zachował się nieodpowiednio – odmruknął pan Brabant. – Dotknął Dee. To typowe.

Pani Lode zrobiła zdziwioną minę.

– Ojej. Czy ty... czy miałeś do czynienia z wieloma czarnymi?

– Z całym oddziałem.

– Och. Wybacz. Nie chciałam wracać do tamtych czasów.

– Kiedy zobaczyłem, jak jej dotyka, zrobiło mi się niedobrze.

Pani Lode zauważyła, że Ian im się przysłuchuje, i trąciła lekko pana Brabanta.

– Ian, ustaw się w szeregu – ostro polecił chłopcu nauczyciel.

– Zaraz, proszę pana. Muszę tylko wziąć piłkę.

Pan Brabant chrząknął i ruszył w stronę ustawiających się dzieci. Pani Lode podążyła za nim.

Mniej więcej w połowie boiska Mimi zrównała się z idącym wciąż wolno O. Ian przyglądał się, jak idą obok siebie, rozmawiając. W którymś momencie Osei pochylił się ku sympatii Iana, jakby chciał lepiej słyszeć, następnie skinął głową i powiedział coś, a wtedy Mimi wybuchła śmiechem.

Ian zmarszczył czoło.

– Mnie też chciało się rzygać! – rzucił Rod, podchodząc do Iana z piłką.

Ian nie spuszczał wzroku ze swojej sympatii.

– Nic nie widziałem. Czy on jej tylko dotknął?

– Nie Mimi. Dee. Dotknął Dee pod drzewami. A ona dotknęła jego. – Rod wyraźnie się nakręcał, czerwieniejąc z każdym słowem.

– Wszystkie je dotyka – wymamrotał Ian. – Niedługo pójdzie z nimi na całość. Tacy jak on już tak mają. Musimy go powstrzymać.

– Tak. – Rod zaczął kozłować, jakby trzymał piłkę do koszykówki. – Jak się do tego zabierzemy?

– Nastawimy ją przeciwko niemu. – Ian zastanawiał się nad czymś przez chwilę. – Nie, to by było zbyt oczywiste... zresztą Dee na to nie pójdzie, jest za bystra. Może... może nastawimy jego przeciwko niej. Tak, tak będzie lepiej. I zabawniej.

– Chyba nie chcesz skrzywdzić Dee, co? Bo to by nie było w porządku. Ja tylko chcę mieć u niej szansę, to wszystko.

– Nie zamierzam jej skrzywdzić. Chcę tylko... chcę, żeby ze sobą zerwali.

– Świetnie. Słuchaj, Ian...

– Co?

– Dlaczego nie wybrałeś mnie do swojej drużyny?

Ian westchnął w duchu. Zrozumiał, że będzie musiał pozbyć się Roda. Zamierzał to zrobić w gimnazjum – przy okazji zmiany szkoły często następowało przetasowanie wśród przyjaciół. Teraz jednak nie był pewien, czy wytrzyma jeszcze tak długo. Rod miał coraz większe wymagania i sprawiał coraz więcej kłopotów, nieporównywalnie dużo w stosunku do tego, co sam oferował.

– Musiałem dać nowemu szansę – wyjaśnił. – Teraz żałuję, że to zrobiłem, zwłaszcza że przerwał grę swoim wybiciem.

– Ale mogłeś wybrać i jego, i mnie.

– Mogłem, ale wtedy siły nie byłyby wyrównane. To znaczy jesteś oczywiście dobrym zawodnikiem. Wszyscy to widzieli, jak wybiłeś piłkę. Ty jeden zaliczyłeś bazę domową, prawda?

Rod się rozpromienił.

– Gdyby nowy okazał się dobry, nasza drużyna byłaby za silna z nim i z tobą i gra przestałaby być emocjonująca. Próbowałem zachować jakąś równowagę.

Rod zmarszczył brwi stropiony dwuznaczną komplementu, ale też zadowolony z pochwały.

– Idź do szeregu – rozkazał mu Ian. – Ja zaraz przyjdę.

Rod skinął głową, pokozłował piłkę przez chwilę, po czym kopnął ją w kierunku swojego szeregu i zaraz pobiegł za nią radośnie niczym pies. *Gdyby tylko to było takie proste*, pomyślał Ian. Stał nieruchomo pod drzewami, obserwując ustawiających się uczniów. Potrzebował czasu do namysłu.

Kiedy rano na boisku pojawił się nowy chłopiec, Ian poczuł tąpnięcie w swoim świecie. Tak samo musieli czuć się ludzie, którzy przeżyli trzęsienie ziemi, gdy grunt drżał im pod nogami i tracił solidność. Uczniowie mieli cały rok – a właściwie nawet pełne siedem lat szkoły podstawowej – aby nawiązać przyjaźnie i ustalić hierarchię, z przywódcami i zwolennikami. Wszystko toczyło się gładko, dopóki nie pojawił się nowy i nie zdestabilizował tego układu. Jedno potężne wybicie piłki, jedno dotknięcie dziewczęcego policzka i życie Iana się zmieniło. Wpatrywał się w O, który zajmował już swoje miejsce w szeregu, i widział zachodzące na jego oczach zmiany w szkolnym przywództwie. Część uczniów odwracała się do nowego, jakby był światłem, za którym należy podążać, zupełnie jak rośliny, które wyginają się do słońca. W pewnym momencie Casper stanął za O i zaczął z nim rozmawiać. Wskazał ręką ogrodzenie, najwyraźniej omawiając wybicie piłki przez O, po czym pokiwał głową. Oto, jakby nigdy nic, nowy zyskał szacunek najpopularniejszego chłopca w całej szkole, zdobył najpopularniejszą dziewczynkę i rozśmieszył sympatię Iana – a wszystko to przed obiadem!

Ian wiedział, że nie cieszy się w szkole sympatią. Nikt go nie

zagadywał ani nie opowiadał mu kawałów. Wszyscy się go bali, ale nikt go nie szanował – i Ian nie miał pojęcia, jak do tego doszło. Niczego podobnego nie planował. Po prostu gdy przeszedł do czwartej klasy i zaczął wychodzić na boisko zamiast na plac zabaw, a jego brat rozpoczął naukę w gimnazjum, odziedziczył po nim władzę, której prawie nikt nie kwestionował. Miało to swoje dobre strony: mógł odbierać młodszym dzieciom kieszonkowe i czać się za rogiem sali gimnastycznej, kiedy tylko chciał, automatycznie został kapitanem wszystkich drużyn sportowych i miał do pomocy Roda, chociaż akurat bez tego bufona by sobie doskonale poradził. Nie potrzebował takiego adiutanta i obrońcy.

Gdy rozległ się gwizdek, Ian poderwał głowę, wiedząc, że sygnał dotyczy jego. Oba szeregi uczniów zniknęły w wejściu do szkoły, a pani Lode machała na niego ręką. Nawet nauczyciele bali się trochę Iana. Mógł więc mieć pewność, że wychowawczynie nie ukarze go, chociaż później w pokoju nauczycielskim będzie się na niego skarżyć. Pewnego razu podsłuchiwał pod drzwiami i oto, co usłyszał:

– Ian to ostatni Murphy, co? Nie ma jakiejś siostry, która mogłaby pójść w jego ślady? Nie sądzę, żebym zdzierzył jeszcze jednego Murphy'ego po nim i po jego braciach. Oddałem tej rodzinie najlepsze lata swojego życia.

– Och, przytną mu pazurki w gimnazjum. Na głębokiej wodzie nie będzie już taki ważny.

Obydwaj nauczyciele wybuchnęli śmiechem. Ian porysował im za to drzwi samochodów.

Z tego, co mu było wiadomo, jego bracia nadal byli ważniakami. Najmłodszy już palił i chwalił się, że poszedł na całość ze swoją dziewczyną.

Zanim Ian ruszył w stronę wejścia do szkoły, aby dogonić znikający wewnątrz szereg uczniów ze swojej klasy, musiał świadomie rozluźnić

szczęki i pięści.

Mijając drzwi szóstej „a”, zajrzał do środka. Osei siedział w ławce, wpatrując się w kartkę przed sobą. Stojąca za nim Dee wręczała taką samą kartkę Casperowi, który uśmiechał się do niej świadom swej uprzywilejowanej pozycji. Ktoś z zewnątrz mógłby ich wziąć za parę. A nowy niczego nawet nie zauważył.

Ian sarknął pod nosem i przyśpieszył kroku, żeby nie spóźnić się do swojej klasy. Wiedział już, co robi.

Przy umywalce obok drzwi szóstej „b” jakaś czwartoklasistka gasiła pragnienie. Jakże łatwo byłoby ją pchnąć na kran i rozkwasić jej wargę. Ian zrobił to niejedną raz innym uczniom. Ale dziś, układając plan w głowie, okazał dziewczynce wspaniałomyślność i minął ją bez słowa. Uczennica mimowolnie się wzdrygnęła.

Część trzecia

OBIAD

*Ta Dorotka, ta malusia, ta malusia,
Tańcowała dokolusia, dokolusia.
Tańcowała ranną rosą, ranną rosą
I tupała nóżką bosą, nóżką bosą!*

*Ta Dorotka, ta malusia, ta malusia,
Tańcowała dokolusia, dokolusia.
Tańcowała i w południe, i w południe,
Kiedy słońce stało cudnie, stało cudnie.*

*Ta Dorotka, ta malusia, ta malusia,
Tańcowała dokolusia, dokolusia.
Tańcowała wieczorami, wieczorami,
Kiedy słońko za górami, za górami.*

*A teraz śpi w kolebusi, w kolebusi,
Na różowej swej podusi, swej podusi.
Chodzi senek koło płotka, koło płotka:
Cicho, bo już śpi Dorotka, śpi Dorotka.*



Zanim zadzwonił dzwonek na przerwę obiadową, czające się przez całe przedpołudnie napięcie wzięło górę. Podczas dyktanda Mimi zaczęło pulsować w głowie, a błyski, które zaczęły się na obrzeżach, stopniowo objęły w posiadanie całe pole widzenia. Później ledwie była w stanie przepisać z tablicy słowa, których mieli się nauczyć na następną lekcję. Pani Lode wyszukała je specjalnie w dziełach Szekspira, żeby powiązać je z innymi lekcjami:

<i>wstręt</i>	<i>małpa</i>
<i>gryźć</i>	<i>subtelny</i>
<i>chaos</i>	<i>nóż</i>
<i>rzetelny</i>	<i>język</i>
<i>szubrawiec</i>	<i>nędznik</i>

– Pani Lode musi być w dobrym humorze! – szepnęła Jennifer siedząca obok Mimi. – Przecież to nic trudnego! Tylko że niektórych się nie używa. Co na przykład znaczy „szubrawiec”?

– „Niegrzeczny chłopiec” – odparła Mimi.

Razem z Dee oglądała w minionym tygodniu „Romea i Julię” w telewizji i zasłyszała to słowo. Zobaczywszy Romea, wpadła po uszy.

– A ten cały Szekspir kim jest? – drażnyła Jennifer.

– No wiesz, to on napisał „Sen nocy letniej” – Obie szóste klasy miały wystawić wspólnie tę sztukę na akademii z okazji zakończenia roku szkolnego. Mimi grała wróżkę. Teraz potrząsnęła głową, chociaż

wiedziała, że to nie poprawi jej widzenia. – Mogłabyś mi przeczytać słowa z tablicy? – poprosiła.

Jennifer posłała jej współczujące spojrzenie.

– Znowu boli cię głowa?

– Tak.

Mimi mało komu powiedziała o bólach głowy, które dopadły ją przed półroczem, gdyż nie chciała powodować wokół siebie zamieszania, jednakże trudno je było ukryć przed Jennifer, siedzącą tuż obok niej i najwyraźniej wyczuloną na jej cierpienie. Jennifer kryła ją, ilekroć Mimi musiała opuścić nagle klasę.

– Okres – szeptała do wychowawczynie, która nerwowo kiwała głową.

Menstruacja była poważną sprawą w szóstej klasie, chociaż sporo dziewczynek wciąż czekało na pierwszy okres. Natomiast te, które mogły, bezwstydnie wykorzystywały swoją przewagę względem zażenowanych nauczycieli. Kłamstwo Jennifer nie było takie wielkie, ponieważ Mimi zaczęła miewać bóle głowy mniej więcej w tym samym czasie, kiedy pojawiła się u niej menstruacja. Zapewnienia matki, że jest to związane z dojrzewaniem, jakoś jej nie przekonywały.

Dziś nie wybiegła z klasy, uznawszy, że dotrwa do przerwy obiadowej. Przepisując mozolnie słowa z tablicy pod dyktando Jennifer, starała się ignorować imadło zaciskające się jej na skroniach i gwiazdki tańczące przed oczami. Gdy wreszcie rozległ się dzwonek, Mimi nie wypadła pierwsza z klasy, tylko wyszła spokojnie razem z innymi dziećmi. Właśnie miała zamiar skierować się do łazienki w podziemiu, gdy ktoś złapał ją za rękę. Ian. Natychmiast poczuła się gorzej, i to znacznie.

– Zaczekaj chwilę – powiedział. – Ktoś może pomyśleć, że mnie unikasz. Nie unikasz mnie, prawda?

Miał dziwną minę: uśmiechał się, jakby żartował, choć Mimi wiedziała, że tak nie jest. Za tym uśmiechem krył się nieustępliwy,

hardy wyraz twarzy.

– Nie – odparła. – Po prostu boli mnie głowa. – Chciała się uśmiechnąć w odpowiedzi, lecz mdłości przybrały na sile. – Muszę pójść do...

– Musisz coś dla mnie zrobić.

– Co?

– Czy Casper kiedykolwiek dał coś Dee? Zeszyt do przepisania albo bransoletkę?

– Nie... nie wiem. Może. Ale między nimi nic tak naprawdę nie ma.

Mimi potrafiła myśleć wyłącznie o tym, że musi dotrzeć jak najszybciej do łazienki.

– Dowiedz się i cokolwiek to będzie, zdobądź to dla mnie.

– Dobrze. Ale teraz naprawdę muszę już iść...

Mimi wyrwała się z uścisku Iana i popędziła po schodach do łazienki dla dziewcząt. Wbiegła do kabiny, padła na kolana i zwymiotowała do muszli klozetowej. Po wszystkim spuściła wodę, a następnie ukucnęła, opierając się o przegrodę, i zamknęła oczy. Na szczęście w łazience nie było nikogo innego, kto by się dopytywał, czy dobrze się czuje, albo co gorsza, poszedł zawołać nauczyciela.

Zdumiewające, że wymioty oczyszczały jej nie tylko żołądek. Sprzed oczu zniknęły gwiazdki, głowa przestała boleć. W łazience panowała cisza, jeśli nie liczyć wolnego ciurkania wody w spłuczce. Powietrze śmierdziało środkiem dezynfekującym i szorstkim szarym papierem toaletowym, jaki można znaleźć tylko w szkolnych ubikacjach. Ścianki były pomalowane na stalowy kolor, co w połączeniu ze światłem lamp jarzeniowych sprawiało, że wszystko wydawało się brzydkie, a nawet chore – nie wyłączając Blanki i Dee. Pomimo brzydoty tego miejsca i ohydnej woni uczniowie lubili spędzać czas w toalecie, gdyż było to jedyne miejsce, gdzie nauczyciele nie zaglądali, chyba że robili obchód całej szkoły. Mieli własne łazienki tuż przy pokoju nauczycielskim.

Najbardziej ze wszystkiego Mimi pragnęła wyciągnąć się na wykafelkowanej podłodze, przyłożyć policzek do zimnej posadzki i pozwolić, aby wydarzenia dnia ją opływały.

Nie mogła tego jednak zrobić. Podłoga za bardzo śmierdziała środkiem dezynfekującym, a poza tym w każdej chwili ktoś mógł wejść. Zresztą koleżanki czekały na nią w stołówce i na pewno zaczynały się już martwić. Mimi przepłukała usta, spryskała twarz chłodną wodą, po czym zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Wyglądała okropnie. Wyjęła z kieszeni zwędzoną starszej siostrze szminkę, zrobiła sobie na policzkach małe kolorowe kółka i roztarła je opuszkami palców. Dziewczynkom nie było wolno się malować w czasie lekcji, ale Mimi miała nadzieję, że nikt nie zauważy. Spojrzała na siebie jeszcze raz, spróbowała się uśmiechnąć i powiedziała głośno:

– Daj mu, czego chce, to się odczepi.

Taką strategię przyjęła.

Zdziwiła się na widok Dee i O stojących przed stołówką, szczególnie że byli pochyleni ku sobie, tak że niemal stykali się czołami. Dee należała do wąskiej grupy dzieci, które obiad jadły w domu, ponieważ miały bardzo blisko. Jej mama z pewnością na nią czekała. Na przestrzeni lat Mimi kilkakrotnie odwiedziła koleżankę w domu i zauważyła ponuractwo jej matki, znaczące spojrzenia rzucone na zegarek, brak przekąski, wątróbkę podawaną na obiad i wzmożone napięcie, gdy z pracy wracał ojciec Dee, który marszczył czoło na widok niespodziewanego gościa. Dzięki temu bardziej doceniała własnych rodziców. W miarę upływu czasu coraz częściej spotykały się w domu Mimi, gdzie jej mama częstowała je markizami i pozwalała im oglądać telewizję.

Teraz Dee zerknęła na zegar wiszący w korytarzu, włożyła coś do piórnika – tego różowego, o którym opowiadała Mimi wcześniej – po czym umieściła piórnika w plecaku. Powiedziała coś do O, rozejrzała

się i zanim odbiegła, pocałowała go przelotnie. Mimi powinna być tym wstrząśnięta, szczególnie że mogli mieć przez to kłopoty, gdyby przytapał ich ktoś z grona pedagogicznego, jednakże po wcześniejszym dotykaniu się na boisku pocałunek wydawał się jakoś mało bulwersujący. Mimi wciąż miała przed oczami scenę, gdy wyciągali do siebie wzajemnie białą i czarną rękę. Była to najbardziej podniecająca rzecz, jaką w życiu widziała, nawet bardziej intensywna niż macanki Romea i Julii na balkonie.

Gdy Dee biegła, piórnik wypadł jej z plecaka, ponieważ w pośpiechu go nie zapięła. Mimi zawołała za nią, lecz Dee nie usłyszała głosu koleżanki. Jako że Osei zdążył już wejść na stołówkę, Mimi podeszła do piórnika, aby go podnieść. Muskając wypukłe truskawki, pomyślała, że piórnik faktycznie jest uroczy, jak ujęła to Dee, chociaż nie w jej guście. Postanowiła oddać go koleżance po obiedzie. Włożyła piórnik do własnego plecaka i skierowała się na stołówkę.

Blanca pomachała do niej od stolika i wskazała zarezerwowane z myślą o niej miejsce, co nie było łatwe w tak zatłoczonym pomieszczeniu.

– Gdzie się podziewałaś? – zapytała. – Musiałam bronić twojego miejsca jak lwica!

– Już idę! – odkrzyknęła Mimi. – Mam ci coś przynieść?

– Więcej pieczonych ziemniaków!

Blanca kochała jeść, tak samo jak lubiła wszelkie zmysłowe doznania, dlatego Mimi często oddawała jej swoją porcję frytek albo wiśnie z koktajlu owocowego czy też kartoniki mleka czekoladowego. W tej chwili, choć miała pusty żołądek, nie czuła w ogóle głodu i pragnęła jedynie napić się czegoś orzeźwiającego. Mimo to zmusiła się do sięgnięcia po tacę, na którą kuchenne nałożyły jej kotlet mielony, pieczone ziemniaki i drżący niczym galareta kawałek cytrynowego ciasta. Blanca i pozostałe koleżanki z miłą chęcią pochłonęły to, czego ona

nie zje.

Stojąc w kolejce, obserwowała O, który stał dwie osoby przed nią. Wszystkie kuchenne były czarne, Mimi sądziła więc, że potraktują O w jakiś szczególny sposób, dając mu do zrozumienia, że jest jednym z nich. Tymczasem gdy przyszła kolej O, kuchenna serwująca kotlety mielone zamiast uśmiechnąć się szeroko, zamarła w bezruchu z uniesioną łyżką, z której na tacę O kapał tylko tłusty sos. Kuchenna obok trąciła ją łokciem i powiedziała wesoło:

– No dalej, daj temu chłopcu kotleta.

I sama nałożyła mu dwie kopiaste łyżki pieczonych ziemniaków.

Kiedy kolejka się przesunęła, Mimi usłyszała, jak kuchenna od kotletów mówi do pozostałych:

– Biedaczek.

– Jak to: biedaczek? – zapytała kuchenna od ziemniaków. – To dobra szkoła. Ma szczęście, że tu chodzi.

– Nie mów, że nie wiesz, co mam na myśli. Chciałabyś, żeby twój syn bawił się na boisku, gdzie odróżnia się od wszystkich?

– Gdyby miał dzięki temu zdobyć wykształcenie, to tak, chciałabym. Poza tym ten tutaj jest nowy, a nowi zawsze mają ciężko na początku. Przywyknie.

– Głupia jesteś czy jak? To nie on musi przywyknąć, tylko biali! A jak myślisz, co go czeka? Piekło na boisku i piekło w klasie. Założę się, że tak. Nauczyciele są równie źli jak dzieci. Gorszi nawet, bo przecież powinni być mądrzejsi od swoich uczniów.

Mimi stała w bezruchu, przysłuchując się. Chociaż kuchenne obsługiwały ją od siedmiu lat, rzadko kiedy się odzywały, a jeśli już, to tylko po to, żeby zapytać: „Ile ziemniaków?”. Z całą pewnością nigdy nie wymieniały uwag o żadnym z uczniów, zwłaszcza w taki sposób.

Kuchenna serwująca pieczone ziemniaki zauważyła podsłuchującą Mimi i szturchnęła obie koleżanki.

– Chciałabyś więcej ziemniaczków, kochanie? Mamy ich mnóstwo. – I nałożyła na tacę Mimi trzy kopiaste łyżki, zanim dziewczynka zdążyła zareagować. – No dalej – zwróciła się do koleżanki od ciasta – daj jej solidny kawałek, coś marnie mi wygląda.

Mimi nie była w stanie ich powstrzymać przed napełnieniem jej tacy po brzegi.

– Proszę – skwitowała kuchenna od ziemniaków. – Masz już wszystko? Nic więcej nie chcesz?

Przyspiliła Mimi wzrokiem na sekundę dłużej, niżby wypadało w tej sytuacji.

Mimi kiwnęła głową i odeszła od lady zmieszana.

Tuż przed nią stał Osei, który z tacą w rękach rozglądał się po zajętych stołach. Mimi zastanowiła się, czy słyszał cokolwiek z tego, o czym rozmawiały kuchenne, i zrobiło jej się go żal, że nie wie, gdzie usiąść. Tyle dobrego, że nikt się na niego nie gapił i nie zrobiło się cicho jak makiem zasiał, tak jak przed lekcjami. Dzieci nie potrafiły się powstrzymać od gadania przy obiedzie.

Przez moment chciała go zaprosić do swojego stolika – ona, Blanca i pozostałe dziewczynki mogłyby się ścieśnić, robiąc mu miejsce. Domyślała się, że Dee tak by postąpiła, gdyby tu była. Mimi jednak nie zamierzała tego zrobić, była bardziej praktyczna niż Dee. Niepisana zasada głosiła, że chłopcy i dziewczynki siedzą na stołówce osobno. Pojawienie się O przy dziewczęcym stoliku spowodowałoby nie mniejsze zamieszanie niż kolor jego skóry.

Przy dalszym stoliku Ian zaczął się podnosić, lecz uprzedził go siedzący bliżej Casper, który zachęcił O gestem i kazał się przesiąść jednemu z chłopców. Osei wślizgnął się na zwolnione miejsce i z mety się wpasował, sprawiając wrażenie jednego z wielu pionków na szachownicy. Ian, pół siedząc, pół stojąc, rozglądał się na wszystkie strony, żeby sprawdzić, czy ktoś zauważył jego klęskę podobną do tych,

gdy ktoś się odezwie, ale nikt go nie usłyszy i rozmowa toczy się dalej, a niedoszły mówca może tylko patrzeć i słuchać. Chłopcy, którzy siedzieli przy jednym stoliku z Ianem, chyba mieli włączony szósty zmysł w jego obecności, ponieważ zajmowali się jedzeniem albo spoglądaniem w inną stronę. Jedynie Mimi została przyłapana na patrzeniu na Iana. Zmiażdżył ją spojrzeniem, a ona pośpiesznie odwróciła się do swojego stolika.

– O, ty szczęściaro! – zapiąta Blanca, wkładając do ust pieczonego ziemniaka. – Aleś dużo dostała! Będziesz jadła ciasto?

Mimi pokręciła głową i przesunęła tacę na środek stołu, zatrzymując tylko zimny napój. Blanca i pozostałe dziewczynki rzuciły się na przyniesione jedzenie, kotleta nie wyłączając. Ponieważ Mimi wciąż miała lekkie mdłości i nie chciała patrzeć ani na jedzące dziewczynki, ani na Iana, którego zaczęła się obawiać, wbiła wzrok w plecak u swoich stóp. W środku znajdował się różowy piórnik. Nie był dopięty, ze środka wystawała karteczka. Mimi wiedziała, że nie powinna jej ruszać. Wiadomość nie była przeznaczona dla niej. Jednakże nie potrafiła się powstrzymać – wciąż miała w pamięci Dee i O pochylonych ku sobie i niemal stykających się głowami nad piórnikiem. Naszła ją chęć, aby też uczestniczyć w tym, co mają ci dwoje, nawet jeśli oznaczało to myszkowanie w rzeczach najlepszej koleżanki. Mimi podniosła wzrok. Koleżanki przy stole kłóciły się o to, jak podzielić porcję ciasta. Mimi wyszarpnęła karteczkę.

Wypisane na niej było imię, nazwisko, adres i numer telefonu:

Osei Kokote
Nicosia Boulevard 4501/511
652-3970

Mimi zastanawiała się przez dłuższą chwilę. Szkoła była położona na przedmieściach, większość ludzi mieszkała tutaj w domach

jednorodzinnych. Mimi знаła jedną dziewczynkę z bloku, ale ona miała tylko mamę, bo ojciec zostawił je obie, gdy była malutka. Blok stał w biedniejszej części miasta. A tymczasem Nicosia Boulevard to była jedna z głównych ulic, z biurami i eleganckimi sklepami oraz nowymi apartamentowcami, które miały marmurowe elewacje i parkingowych, zupełnie jak hotele. Mimi słyszała, że do części mieszkań winda dojeżdża bezpośrednio, otwierając się wprost na apartament. Skoro Osei tam mieszka, jego rodzina nie jest biedna jak tej dziewczynki, która ma tylko mamę. Przeciwnie: musi być bardzo bogata.

Była pewna, że Dee zapisała sobie adres, aby spotkać się z O po szkole. Nie mogła go zaprosić do siebie – mama by ją zabiła, gdyby przyprowadziła do domu jakiegokolwiek chłopca, o czarnym nie wspominając. Mimi nie przypuszczała, aby rodzice O byli równie surowi. Westchnęła. Będzie musiała zapewnić Dee alibi, i to pierwsze z wielu.

– Poskaczemy na skakance – oznajmiła Blanca, wstając i przeciągając się, aż różowa bluzka podjechała jej do góry, ukazując spory kawałek brzucha, co nie było bynajmniej przypadkowe. – Idziesz z nami?

– Tak.

Mimi wepchnęła karteczkę z powrotem do piórnika, po czym zastanowiła się, czy go domknąć czy nie. Może Dee pozna, że coś się zmieniło. Nie, lepiej zostawić tak, jak jest.

– Co robisz? – Blanca nieoczekiwanie zainteresowała się kimś innym poza sobą.

– Nic. Obląłam się sokiem. – Mimi potarła energicznie materiał, równocześnie wsuwając piórnik drugą ręką głębiej do plecaka.

Blanca zdążyła już podbiec do stolika, przy którym siedział Casper, położyła mu dłonie na ramionach i oparła brodę na głowie, tak że jej loki przesłoniły jego twarz.

– Casperku – zaintonowała śpiewnie. – Idziesz?
– Ehm. – Casper poruszył głową, aby przejrzeć na oczy. Był wyraźnie zawstydzony. – Gdzie?
– Nie pamiętasz? Obiecałeś, że popatrzysz, jak skaczę na skakance!
– Naprawdę?
– Casper! – Blanca wyprostowała się i trzepnęła go w ramię. – Oczywiście, że obiecałeś. Dzisiaj rano. Powiedziałeś, że lubisz patrzeć, jak tańczę.
Zaczęła nucić, pstrykając palcami do rytmu i udając, że skacze na niewidzialnej skakance.

*Ta Dorotka, ta malusia, ta malusia,
Tańcowała dokolusia, dokolusia.
Tańcowała ranną rosą, ranną rosą
I tupąła nóżką bosą, nóżką bosą!*

– O Boże – mruknęła Mimi. Przechwyciła spojrzenie O, który robił, co mógł, żeby się nie roześmiać. – Blanca, przestań!
Ale Blanca nie przestała. Odwróciwszy się do Caspera plecami, obejrzała się przez ramię i zaczęła kołysać biodrami, śpiewając:

*Ta Dorotka, ta malusia, ta malusia,
Tańcowała dokolusia, dokolusia.
Tańcowała i w południe, i w południe,
Kiedy słońce stało cudnie, stało cudnie.*

– Dobrze, już dobrze! – poddał się Casper.
Zerwał się na nogi i oszczędzając wszystkim jeszcze większego wstydu, pozwolił, żeby Blanca go odciągnęła. Uśmiechał się przy tym jednak. Cokolwiek mu się w Blance podobało – czy jej żywiołowa energia, czy jej uwaga, czy pączkująca seksowność – zdecydowanie

na nią leciał.

Ruszając za tą parą, Mimi czuła obecność Iana przy sąsiednim stoliku. Miała takie wrażenie, jakby wzrokiem przewiercał jej czaszkę, próbując się dostać do myśli. To uczucie sprawiło, że zapragnęła jak najszybciej znaleźć się na boisku.

Dla nowego ucznia jednym z najtrudniejszych momentów podczas pierwszego dnia jest pora obiadu i próba znalezienia miejsca na stołówce. Wszystko tam dzieje się w pośpiechu, bez ustalonego porządku, a że nie ma przypisanych miejsc, wszyscy siadają w gronie kolegów. Tymczasem nowy uczeń nie ma jeszcze żadnych kolegów, a tym samym nie ma gdzie usiąść. Osei przerabiał to już wcześniej, wiedział więc, że istnieją dwa wyjścia. Można się pośpieszyć i zająć miejsce przy wolnym stoliku, tak że to inni muszą się dosiąść. Tym sposobem unika się kontaktu z największymi wrogami czy podejrzenia o próbę wepchnięcia się do jakiejś grupy na siłę. Wybór leży po stronie tamtych, co jest korzystniejszym rozwiązaniem także z ich punktu widzenia. Ale grozi to tym, że nikt się nie dosiadzie, że będzie się siedziało samemu wśród pustych krzeseł, które będą przypominały ziemię niczyją wokół składowiska odpadów radioaktywnych.

Można też nie śpieszyć się i stojąc w kolejce na szarym końcu, zastanawiać się, gdzie by tu się przysiąść. Na zatłoczonej stołówce jest zazwyczaj tylko kilka miejsc wolnych, a ci, którzy obok nich siedzą, nie mają innego wyjścia, jak przesunąć się i chcąc nie chcąc, przyjąć nowego do swego grona. Bardzo często jednak wolne miejsca są dostępne wyłącznie obok najmniej popularnych dzieci: słabeuszy, głuptaków, śmierdziuchów czy też tych, którzy nie są lubiani z nieznanym nikomu tajemniczym powodów. Przyłączenie się do nich nie jest najlepszym pomysłem, gdyż wiszące nad nimi odium może również spaść na nowego.

Osei wypróbował obie strategie i na ogół trzymał się tej drugiej.

Wolał mieć pewną kontrolę nad wydarzeniami, a przynajmniej być w stanie przewidzieć wypadki. Skoro miał skończyć wśród wyrzutków, chciał mieć wpływ na swój los.

Tym razem i tak nie miał wyboru, gdyż Dee przetrzymała go na korytarzu, pytając o adres i numer telefonu, aby móc do niego zadzwonić w jakiejś sprawie lub któregoś dnia złożyć mu wizytę w domu po lekcjach. Uwagi O nie uszło, że Dee nie podała mu swojego adresu ani numeru telefonu. Osei nie musiał pytać, czemu nie byłby mile widzianym gościem w jej domu, ponieważ znał na to odpowiedź: nie zaliczał się do dzieci, które by były chętnie witane przez innych rodziców. Ilekroć próbował bawić się po szkole w domu jakiegoś kolegi, wyprawa okazywała się porażką. Biali rodzice robili wstrząśniętą minę na widok koloru jego skóry, milkli, a następnie zachowywali się w stosunku do niego przesadnie uprzejmie. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby został u kolegi na kolacji.

Stał z Dee na korytarzu, rozmawiając, aż się zorientowała, która godzina, i wykrzyknęła:

– Mama zabije mnie za spóźnienie!

Jego mama upomniałaby go, gdyby się spóźnił, ale niewiele więcej – krzyki i łzy zostawiała na poważniejsze sytuacje. Najwyraźniej mama Dee była bardziej zaborcza. Dee porwała plecak i już miała pobiec do domu, lecz zawahała się i w ostatniej chwili pocałowała O. Choć był to tylko przelotny pocałunek, Osei uśmiechnął się szeroko. Nie potrafił uwierzyć we własne szczęście, że dziewczynka taka jak Dee chciała go pocałować.

Ledwie zniknęła, świat wokół niego poszarzał. To dzięki niej pierwsze przedpołudnie w nowej szkole okazało się dla niego znośne. Więcej nawet – Dee przydała jego życiu barw. Pod jej nieobecność wszystko znów stało się czarno-białe.

Osei przyjaźnił się z dziewczynkami wcześniej. Nie w Ameryce, tylko

w Ghanie. Co lato, gdy jechał do dziadka na wakacje, spotykał się z dziewczynkami, które znał od małości. W ich towarzystwie czuł się dobrze – nie był autsajderem, nie musiał niczego wyjaśniać ani nawet w ogóle się odzywać. Łączyła ich zażyłość podobna do tej, która istniała pomiędzy nim i jego siostrą Sisi. Dzięki temu czuli się swobodnie w swoim towarzystwie.

Jeszcze dalej posunął się z dziewczynkami w Nowym Jorku. Na początku szóstej klasy wszyscy zaczęli eksperymentować na boisku; w porze obiadu tworzyły się pary, które zrywały ze sobą przed końcem lekcji. Nie wiązało się z tym nic poważnego. Przypominało to raczej przeciąganie liny. Czasami tylko trzymali się za ręce albo całowali, szybko i niezdarnie. Kiedy jeden chłopiec dotknął klatki piersiowej dziewczynki, mimo że niewiele tam było, dostał w twarz i został zawieszony w prawach ucznia. Mówiło się o tym całym tygodniem.

Osei był zdumiony, że dziewczynki zwracają na niego uwagę, skoro poza tym był ledwie tolerowany. Pewnego dnia, gdy wszyscy w klasie łączyli się w pary – zupełnie jak pod wpływem jakiegoś wirusa, który zapanował na boisku – dziewczynka imieniem Toni podeszła do niego i zapytała, czy ją lubi. Nigdy wcześniej nawet się do niego nie odezwała.

Kiedy odpowiedział, że jego zdaniem jest w porządku – chciał bowiem wyjść na prawdziwego Amerykanina – wydawała się rozczarowana i zawstydzona, co jak Osei wiedział, było niebezpieczną kombinacją. Dlatego zmusił się, aby przyjrzeć się jej uważniej. Miała na sobie kraciaste spodnie dzwony i zielony golf, który opinał jej pączkujący biust.

– Masz fajny sweter – dodał, a ona uśmiechnęła się na to i popatrzyła na niego wyczekująco.

Domyślił się, że powinien powiedzieć coś więcej. Nie musiał się zastanawiać co – najczęściej wypowiedane słowa w minionym tygodniu

brzmiały:

– Będiesz ze mną chodzić?

Toni rozejrzała się wokół, jakby szukała rady koleżanek. Pozostałe dziewczynki stały kawałek dalej, zajęte plotkowaniem. Osei już chciał się wycofać, poprosić, aby zapomniała, że cokolwiek mówił, ale ona w tej samej chwili się zgodziła. No więc zaczęli ze sobą chodzić, co sprowadzało się do tego, że stali razem na boisku, podczas gdy inne dzieci wytykały ich palcami i chichotały.

– Masz rodzeństwo? – zapytał w końcu O, żeby coś powiedzieć.

To jednak sprawiło, że Toni także się rozchichotała. Osei uznał, że ma dość, i odmaszerował.

– Zrywam z tobą! – krzyknęła za nim. – Rzucam cię!

Osei chciał jej pokazać środkowy palec, ale powstrzymała go myśl o tym, co by powiedziała jego mama, widząc, że wykonuje ten ordynarny amerykański gest, i to w stosunku do dziewczynki.

Z następną dziewczynką – Pam – zaszedł nieco dalej. Dowiedział się, że Pam ma dwie siostry i że jej ulubionym kolorem jest żółty. Obeszli boisko i nawet przelotnie trzymali się za ręce. Jednakże kiedy chciał ją pocałować, odepchnęła go i powiedziała:

– Śmierdzisz. Wiedziałam, że będziesz śmierdział.

– Nie ma sprawy – odparł Osei. – I tak nie chciałem z tobą chodzić.

Zrozumiał, że lepiej być pierwszym, który coś takiego mówi – lepiej rzuć, niż być rzucanym.

Pam pobiegła do koleżanek, które stały na przeciwległym krańcu boiska. Moment później doleciały go z tamtej strony okrzyki oburzenia, przez co grupka dziewczynek zaczęła przypominać stadko mew. Przez resztę czasu, który Osei spędził w tamtej szkole, wszystkie go unikały jak ognia. Miażdżyły go spojrzeniem, kiedy tylko mogły, i ostentacyjnie o nim rozmawiały, wybuchając co rusz śmiechem. Ilekroć stawał za nimi w szeregu, odsuwały się na bezpieczną odległość. Dziewczynki potrafiły

być podlejsze niż chłopcy i bardziej pamiętliwe. Długo chowały urazę, zamiast dać upust emocjom, jak robili chłopcy. Sposób, w jaki go traktowały, uwierał go bardziej, niż mógłby przypuszczać, dlatego choćby z tego powodu poczuł ulgę na wieść o przenosinach do Waszyngtonu i zmianie szkoły.

Miał takie wrażenie, jakby Toni i Pam były tylko próbką tego, co go czeka w przyszłości z innymi. Recytował słowa i naśladował gesty beznamiętnie, jedynie z rzadka czując zalewającą go przyjemność na przelotny dotyk czy choćby myśl o nim.

Z Dee było zupełnie inaczej – Osei czuł upojną mieszaninę fizycznego pożądania, ciekawości i akceptacji, jakiej nie zaznał nigdy przedtem. Dee pytała go o różne rzeczy i z zainteresowaniem wysłuchiwała odpowiedzi, wpatrując się w niego tymi oczami koloru syropu klonowego, kiwając głową i nachylając się ku niemu bliżej. Dee nie wyśmiewała się z niego razem z koleżankami, nie twierdziła, że śmierdzi, ani nie patrzyła na niego dziwnie. W jej wypadku ciekawość, spowodowaną przez jego odmienność, równoważyła akceptacja, przez którą Osei pragnął objąć dziewczynkę ramionami i tulić ją mocno, zapominając o szkole, zapominając o całym świecie.

Teraz, bez niej, stał z tacą pełną stygnącego jedzenia, które przyjdzie mu w siebie wmusić, podanego przez kuchenne, które z pewnością obgadywały go za plecami, i wodził wzrokiem po zajętych stolikach. Dzieci przekrzykiwały się przy nich i śmiały, dmuchały przez słomki, żeby zrobić bańki w kartonikach z mlekiem, podrzucały pieczone ziemniaki w powietrze i starały się je łapać ustami. Powietrze było duszne, przesycone hałasem i wonią mięsa. Jedyne wolne miejsca, jakie Osei wypatrzył, były przy stole dla nieudaczników. Pierwszy z nich grał w drużynie O na przerwie, chociaż „grał” to za dużo powiedziane – stał jak kołek i robił dobre wrażenie. Do tego wyglądał tak, jakby to on roztaczał mięsną woń. Drugi miał skośnawe oczy, a trzeci wydawał się

wiecznie przybity. Wszyscy trzej spoglądali na O z przestraczem. Być może przerażała ich myśl o bliskości czarnego chłopca, ale chyba nie tylko o to chodziło. Po namyśle Osei doszedł do wniosku, że przeraża ich myśl o bliskości kogoś, kto nie jest jak oni nieudacznikiem. Kto potrafi wybić piłkę dalej, niż oni mogliby kiedykolwiek pomarzyć. Kto chodzi z Dee i jest rozrywany na stołowce – gdyż właśnie dwóch chłopców zapraszało O do swego stolika. Osei dostrzegł w oczach nieudaczników ulgę, gdy Casper machnął na niego ręką i kazał się przesunąć sąsiadowi. W tym samym czasie Ian zaczął się podnosić na nogi. Osei zrozumiał, że będzie musiał dokonać wyboru pomiędzy tymi dwoma.

Tak naprawdę nie było mowy o wyborze. Bo czy można wybierać między ciemnością i światłem? Człowiek kieruje się raczej ku uśmiechniętej twarzy niż ku marsowi na czole. Osei udał, że nie dostrzegł ruchu Iana, kiwnął głową Casperowi i podszedł, by usiąść obok niego. Przez cały czas zdawał sobie sprawę, że jego decyzja może mieć przykre konsekwencje. Ian nie lubił, kiedy się go ignorowało lub lekceważyło.

– Czołem – powiedział Casper.

– Czołem – powtórzył za nim Osei, świadom, że naśladownictwo pomaga się dopasować do otoczenia.

W Nowym Jorku dzieci witały się, mówiąc „Cześć” albo „Serwus”. Zgarbił się nad tacą, wziął widelec do ręki i zaczął przesuwając smętny kawałek mięsa w kałużę sosu, nie przestając myśleć o puszcze coca-coli i kanapce, którą mama zrobiła mu na drugie śniadanie, zostawionej w ławce w klasie. Ostatecznie zdecydował się skosztować ziemniaków. Przynajmniej teoretycznie wyglądały tak jak powinny, aczkolwiek Osei nie potrafił przestać myśleć o pieczonych ziemniakach mamy.

– Okropne, prawda? – skwitował Casper. – Porządne żarcie jest tylko w piątek, kiedy podają pizzę.

W każdej szkole był ktoś taki jak Casper – lubiany dostatecznie, aby być miłym dla wszystkich. Bardzo możliwe, że traktował przyjaźnie nawet trzech nieudaczników. Bo mógł sobie na to pozwolić. Casper był uprzywilejowanym dzieckiem. Ojciec O często powtarzał, że lepiej zaprzyjaźnić się z kimś pochodzącym z rodziny zamożnej od pokoleń niż z biedakiem, który się dorobił, ponieważ ten ostatni pozostanie niemiły dla dawnych znajomych. Przykładem kogoś takiego był Ian.

– Bardzo mi przykro z powodu auta twoich rodziców – powiedział Osei, aby oczyścić atmosferę.

Casper zrobił zdziwioną minę.

– A co się stało?

– Uderzyłem je piłką.

– Ach... – Casper machnął ręką. – Nie ma sprawy.

– Być może wgniotłem dach.

– Nie. Oldsmobile są niezniszczalne.

Przez jakiś czas Casper rozmawiał z innymi chłopcami siedzącymi przy stole, dzięki czemu Osei mógł jeść w spokoju. Po czym gdy na moment zrobiło się cicho, Casper rzucił mu pytanie, żeby w naturalny sposób wciągnąć go w rozmowę:

– Której drużynie kibicowałeś, jak mieszkałeś w Nowym Jorku? Jetsom czy Giantsom?

Osei nawet się nie zastanawiał nad odpowiedzią.

– Giantsom – odparł natychmiast. – Nigdy bym nie kibicował drużynie, której rozgrywający nosi rajstopy!

Chłopcy przy stoliku wybuchnęli śmiechem. Rozgrywający Jetsów, Joe Namath, niedawno wystąpił w reklamie pończoch. Każdy miał na ten temat coś do powiedzenia.

– Ciota!

– Widziałem tę reklamę razem z mamą. Ale się najadłem wstydu!

– Musiał za to skasować niezłe pieniądze!

– Żeby wystąpić w reklamie, ogolił sobie nogi! Widać, że są gładkie, i to na pewno nie od rajstop!

– W życiu bym sobie nie ogolił nóg, nawet gdyby ktoś dawał mi górę pieniędzy!

– Ciota!

– Wcale nie. Na koniec całuje go dziewczyna.

– Mimo to jest ciotą!

Pośród tej wymiany zdań Casper wyszczerzył się do O.

– Poza tym Namath miał za dużo nieudanych rzutów – stwierdził. – Ja tam wolę Sonny’ego Jurgensena. Mimo wieku nawet w swój najgorszy dzień miota lepiej niż Namath.

Osei pokiwał głową, chociaż nie miał pojęcia, kim jest Sonny Jurgensen. Domyślał się, że mowa o rozgrywającym waszyngtońskich Redskinsów. Osei zrozumiał, że musi się jeszcze wiele nauczyć, aby mieć o czym rozmawiać z nowymi kolegami. Osobiście wolał bejsbol, jednakże w Waszyngtonie nie było żadnej drużyny bejsbolowej.

Od konieczności przyznania się do niewiedzy na temat futbolu amerykańskiego wybawiła go grupa dziewczynek. Najgłośniejsza zaczęła się domagać, żeby Casper przyszedł popatrzeć, jak skacze na skakance. Wyginała się przy tym na wszystkie strony, niby tańcząc, co było zarazem śmieszne i żałosne. Pomiędzy dziewczynkami znalazła się też koleżanka Dee, Mimi, z którą Osei rozmawiał na pierwszej przerwie i która zrobiła na nim przyjemne wrażenie. Policzki miała zaróżowione, jakby je sobie czymś wysmarowała, a jej aparat ortodontyczny błyskał w świetle żarówek. Osei pomyślał, że gdyby pojawiła się w wiosce jego dziadka, zostałaby wzięta na języki z powodu ognistoczerwonych włosów. Biała skóra była wystarczająco dziwna, ale w połączeniu z rudymi włosami zdawała się diabelska.

– Blanca, przestań – powiedziała cicho, pociągając roztańczoną dziewczynkę za rękę. – Bo przegapimy naszą kolej.

Zerknęła na O i skrzywiła się, na co on się do niej uśmiechnął.

– Nie wiń mnie, wiń Caspera – odparowała Blanca. – To on niepotrzebnie zwleka.

Casper westchnął przesadnie, okazując rozdrażnienie, po czym wzruszył ramionami, zanim Blanca odciągnęła go na dobre.

Nie zaprosił O, aby z nim poszedł, zapewne przekonany, że wyświadcza nowemu koledze przysługę: który chłopiec chciałby z własnej woli przyglądać się dziewczynkom skaczącym na skakance? Jednakże z chwilą jego odejścia atmosfera przy stole zmieniła się raptownie. Osei pod skrzydłami Caspera czuł się bezpiecznie i zaczął się nawet rozluźniać, chociaż chyba przedwcześnie. Pozostali chłopcy, mimo że wysportowani i lubiani na tyle, by kolegować się z Casperem, bez niego czuli się niepewnie. Teraz wszyscy – jak wydało się O – odsunęli się dosłownie i metaforycznie, tak że Osei znów poczuł się autsajderem. Żarty z Joego Namatha nie wystarczyły, aby go ocalić. Musiał znowu unieść gardę.

Duncan, naprzeciwko którego siedział w klasie, zaczął mu się uważnie przypatrywać. Gdy Osei spojrzał prosto na niego, chłopiec umknął wzrokiem.

– Mogę cię o coś zapytać? – odezwał się.

– Zależy o co.

– Jak się myje takie włosy jak twoje?

Osei był przyzwyczajony do tego typu pytań. Biali często poruszali temat mycia włosów. Ciekawiło ich także, czy czarnoskórzy w ogóle mogą się opalić i czy zdarzają się u nich poparzenia słoneczne. Czy z natury rzeczy są bardziej wysportowani, a jeśli tak, to dlaczego. Czy lepiej tańczą. Czy mają lepsze wyczucie rytmu. Czemu nie mają zmarszczek. Zanim mama kazała O pójść do fryzjera, to znaczy gdy wciąż miał porządne afro na głowie, stojące za nim w szeregu dziewczynki często wyciągały ręce i dotykały jego włosów, po czym szybko

wycierały dłonie o spódnicę. Nie mógł się odwrócić i zrobić im tego samego, bo zaczęłyby piszczeć i miałby przez to kłopoty. A chętnie by dotknął włosów białej dziewczynki, jasnych, długich i gładkich, które były dla niego taką samą zagadką jak jego afro dla nich. Zdarzyło mu się musnąć głowę Pam, zanim z nią zerwał, lecz dopiero gdy dotknął Dee na przerwie, mógł powiedzieć, że faktycznie poczuł pod palcami dziewczęce włosy. Jednakże Dee nosiła warkocze, co uniemożliwiło pełne doznanie. Postanowił, że kiedy Dee wróci z obiadu, poprosi ją, aby rozplotła warkocze, dzięki czemu będzie mógł się bawić jej rozpuszczonymi włosami.

– Ej, słyszałeś, co powiedziałem?

– Co? – Rozproszony przez myśli o włosach Dee zapomniał odpowiedzieć na pytanie Duncana. – A... Po prostu używam szamponu z olejkiem kokosowym.

Duncan zmarszczył nos, jakby poczuł brzydki zapach.

– Z olejkiem? Nie są przez to tłuste?

– Nie.

Duncan nie wydawał się przekonany. Osei wstał; wolał znaleźć się na boisku, niż siedzieć tutaj i tłumaczyć białemu chłopcu, jak należy się troszczyć o afrykańskie włosy.

Przez moment chciał po powrocie do domu opowiedzieć o tym Sisi i pośmiać się razem z nią z tego, że biali zadają takie same pytania, gdziekolwiek mieszkają: w Londynie, Rzymie czy Waszyngtonie. Naraz jednak przypomniał sobie, że nie zastanie siostry.

Sisi podłamała się, gdy ich ojciec został przeniesiony do Waszyngtonu. Ubłagała rodziców, aby pozwolili jej zostać w Nowym Jorku i zamieszkać w domu najlepszej koleżanki – przynajmniej do końca roku szkolnego. Nauczyła się sprytnie stawiać na swoim. Nie powiedziała od razu, że chce zostać w Nowym Jorku aż do ukończenia liceum za dwa lata. Ale Osei wiedział, że właśnie taki jest plan –

z bijącym sercem i wstrzymanym oddechem podsłuchiwał przez drugą słuchawkę, kiedy rozmawiała o tym z koleżankami. „Czarne jest piękne”, tymi słowami kończyła zawsze rozmowę.

Okazała się wystarczająco przekonująca, aby rodzice pozwolili jej zostać w Nowym Jorku do końca roku szkolnego, podczas gdy oni z O przenieśli się do Waszyngtonu. Osei miał ochotę powiedzieć o wszystkim rodzicom, ale postanowił najpierw porozmawiać z Sisi. Któregoś wieczoru, niedługo przed przeprowadzką, przyszedł do jej pokoju i usiadł w nogach łóżka, przyglądając się, jak siostra przy toalecie owija głowę jedwabną chustką i smaruje sobie twarz i ramiona masłem kokosowym. Zamierzał ją ubłagać, aby pojechała do Waszyngtonu razem z nimi. Chciał ją zapewnić: „Zakolegujesz się z tymi, którzy przybierają afrykańskie imiona, noszą afrykańskie ubrania i opowiadają o wyzwoleniu.” W rzeczywistości jednak myślał tak: „Nie zostawiaj mnie samego z rodzicami. Co będzie, jeśli zechcę z kimś porozmawiać? Czy nie jestem dla ciebie tak samo ważny jak panafrykanizm i czarna siła?”. Zbierał się do tego, aby się odezwać, lecz akurat wtedy Sisi rzuciła mu spojrzenie w lustrze i zapytała:

– Co tam, braciszku? Przyszedłeś pożyczyć zabawkę? Możesz sobie wziąć wszystkie – dodała, obejmując gestem półkę wypełnioną niepotrzebnymi jej już lalkami i grammi planszowymi.

– Nieważne – mruknął i wypadł z pokoju, nie zważając, że Sisi za nim woła:

– Zaczekaj, Osei. Co chciałeś?

Gdy później zapukała do drzwi jego pokoju, krzyknął:

– Idź sobie!

Aby jej nie słyszeć, podkręcił głośniej radio. Łatwiej było się złościć na jej protekcjonalne zachowanie, niż wyznać jej swoje obawy. Po czasie żałował, że jednak jej nie wpuścił ani że nie powiedział rodzicom, co Sisi planuje.

W Waszyngtonie okrutnie za nią tęsknił, mimo że zmieniała się w taką radykalistkę. Od tej pory stała się dla niego tylko głosem na drugim końcu linii telefonicznej. W wieczór poprzedzający jego pierwszy dzień w nowej szkole rozmawiali ze sobą krótko przez telefon, jednakże Sisi nie powiedziała nic istotnego i ponownie nazwała go braciszkiem.

– Któregoś dnia będę wyższy od ciebie – przerwał jej.

Zignorowała jego słowa i zaczęła zadawać głupie pytania o nowe mieszkanie. Zauważył, że Sisi nie pyta w ogóle o swój pokój. Chyba wtedy zrozumiał, że nie będzie mógł jej opowiedzieć o niczym z tego, co przydarzy mu się w nowej szkole, co powiedzą i zrobią inne dzieci, przypominając mu, że się od nich różni, i przyczyniając się do coraz większego uczucia wyalienowania.

Osei zakończył rozmowę nagle, wyrzucając z siebie:

– Piękne jest czarne czy jakoś tak.

Celowo przekręcił jej slogan, po czym odłożył z impetem słuchawkę, z której dolatywał zszokowany głos Sisi.

Czy czarne jest piękne? Wolał się nawet nad tym nie zastanawiać. Chciał tylko kopać piłkę, stroić żarty z Joego Namatha, dotykać włosów Dee i wdychać kwiatowy zapach jej szamponu.

Gdy Osei opuszczał stołówkę, jego śladem ruszył Ian, co było o tyle korzystne, że zawsze łatwiej wyjść na boisko w czyimś towarzystwie zamiast samemu, nawet jeśli towarzyszem jest chłopiec taki jak Ian. Osei był w stanie przebaczyć mu nawet wcześniejszą uwagę o wysportowanych czarnych – nasłuchiwał się znacznie gorszych rzeczy. Nie mógł być jednak pewien, czy Ian przebaczył mu, że mając do wyboru jego i Caspera, wybrał Caspera.

Wyglądało na to, że tak.

– Czołem – rzucił Ian jakby nigdy nic.

– Czołem – odpowiedział Osei ostrożnie.

Sunęli po boisku ramię w ramię, mając za sobą chłopca imieniem Rod, który jednak przestał za nimi iść, gdy Ian odpędził go gestem. Teraz w piłkę grali czwartoklasiści. Kilku piątoklasistów uprawiało zapasy na pokładzie okrętu pirackiego. Dziewczynki grały w klasy i skakały na skakance. Blanca stała uwieszona Caspera, który znosił to z godną podziwu pogodą ducha. Gdziekolwiek na boisku się znaleźli, obecne tam dzieci spuszczały na ich widok spojrzenia – przypominało to niechęć do nawiązania kontaktu wzrokowego z nieprzewidywalnym psem, który może się okazać przyjazny, ale też może ugryźć. Osei zauważył, że niektóre dzieci posyłają mu dziwne spojrzenia. Czuł się tak, jakby mimochodem stał się częścią gangu. A przecież ani nie chciał do niego należeć, ani jego prowodyr nie przyjął go oficjalnie. Osei zaczął się w pewnym momencie zastanawiać, jak pozbyć się Iana, nie obrażając go.

W końcu przystanęli przy okręcie pirackim, aby poprzyglądać się zapasom. Jeden z chłopców był wyraźnie silniejszy, drugi za to trzymał ramię wygięte pod dziwnym kątem, tak że założył dźwignię, która doprowadziła do impasu. Mięśnie obydwóch zapaśników drżały z wysiłku.

Ian rozejrzał się, po czym skupił wzrok na jakimś punkcie w oddaleniu.

– Hm – mruknął. – Nie podoba mi się to.

– Co mówiłeś?

– Nic. – Ian wzruszył ramionami. – To znaczy... sam nie wiem. Nie, nic.

Wahanie nie wydawało się w stylu Iana.

– Co ci się nie podoba? – drażzył Osei.

Ian zwrócił na niego puste spojrzenie.

– Wydawało mi się, że coś zobaczyłem. Ale mogłem się pomylić.

– Co takiego zobaczyłeś?

Ian przyglądał się O, aż ten poczuł się niezręcznie.

– No dobra, bracie. Popatrz w stronę skakanki.

Nie jestem twoim bratem, pomyślał Osei. Nie cierpiał, gdy biali używali tego słowa, próbując przypodobać się czarnym, gdy nic więcej za tym nie szło. Mimo wszystko potoczył wzrokiem po boisku. Skakanką bawiły się dwie grupy dziewczynek. Jedną ze skaczących była Blanca, która zgromadziła większą widownię. Osei nie dopatrzył się w tej scenie niczego wyjątkowego – podobne rzeczy odbywały się na każdym szkolnym boisku. Dziewczynki uwielbiały skakać na skakance. Osei nie rozumiał dlaczego. On wolał zabawy, w których trzeba się było przemieszczać, żeby coś osiągnąć. Nie lubił pozostawać w jednym miejscu.

– Patrę. I co?

– O, znowu. Widziałeś? Chodzi o Caspera.

Casper był jedynym chłopcem wśród dziewczynek. W tej właśnie chwili odbierał coś z wyciągniętej w jego stronę ręki. Była to ręka Dee. Sympatia O wróciła, a on nawet tego nie zauważył. Nie podeszła prosto do niego. I teraz karmiła innego chłopca. Casper, obserwowany bacznie przez O, włożył sobie do ust to, co trzymał w dłoni.

– Co to było?

Ian zmrużył oczy, nie odrywając spojrzenia od tamtej pary. Po długiej chwili odwrócił się do O.

– Truskawka.

Nowego chłopca zalała fala rozżalenia, które usiłował stłamsić w sobie. Uśmiezek, który wykwitł na wargach Iana, powiedział mu, że nie odniósł na tym polu najmniejszego sukcesu.

Zdumiewające, że jedno słowo do tego stopnia wybiło nowego z rytmu. Dzięki Dee, która pojawiła się jakby znikąd z garścią truskawek, Ian nie musiał się nawet wysilać.

Osei zrobił krok w stronę tamtej części boiska, jednakże Ian wyciągnął rękę, aby go zatrzymać. Pilnował się przy tym, aby nie

dotknąć ciemnego ciała.

– Zobaczmy, jak rozwinie się sytuacja. To już druga truskawka, którą go poczęstowała – dodał.

Na ich oczach Casper oderwał szypułkę i umieścił w ustach kolejny owoc, po czym wyszczerzył się do Dee najwyraźniej zachwycony.

– To musiała być wyjątkowo pyszna truskawka – skwitował Ian. – Ciekawe, czy Dee da mu je wszystkie.

Osei zmarszczył przelotnie czoło, po czym wygładził je niczym prześcieradło na łóżku.

– Uwielbiam truskawki – rzucił lekkim tonem, lecz nie zwiódł Iana.

Ian musiał tylko podrażnić sprawę bardziej, zupełnie jak wtedy, gdy badał świeżego siniaka, który nie bolał przy pierwszym dotknięciu.

– Te truskawki pochodzą pewnie z ogrodu Dee – wyjaśnił. – Jej mama uprawia je, wiesz. Są znacznie słodsze od tych, które można kupić w sklepie.

– Kosztowałeś ich?

– Ja? Nie. Tylko o nich słyszałem. – Ian pominął milczeniem to, że Dee rokrocznie przynosi je do szkoły dla wszystkich.

Przez chwilę stali w milczeniu, przyglądając się, jak Dee i Casper rozmawiają ze sobą, podczas gdy dziewczynki skakały obok nich na skakance.

– To w stylu Caspera, dorwać się do wszystkiego pierwszemu.

Raz jeszcze Osei zareagował błyskawicznie:

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– No... Casper dostaje wszystko, co sobie zamarzy, nie? Dziewczyny szaleją na jego punkcie, wszystkie co do jednej.

– Ale... on jest miły. Był miły dla mnie.

– Jasne, że tak. W ten sposób najłatwiej dostać to, czego się chce.

– A czego może chcieć ode mnie Casper?

Ian nie śpieszył się z odpowiedzią, wodząc spojrzeniem po boisku

i zajętych zabawą dzieciami i wiedząc, że już wkrótce będzie je musiał porzucić i przenieść się na inne, nieznane wody.

– Wolałbym nie mówić, bo to nie moja sprawa.

Osei odwrócił się do Iana, zapominając o obserwacji Dee i Caspera.

– Co za sprawa?

Ian wzruszył ramionami, rozkoszując się tą chwilą. Nie widział powodu, aby cokolwiek przyśpieszać.

– Jeśli masz mi coś do powiedzenia, mów.

Ciemne oczy Osei pociemniały z wściekłości jeszcze bardziej, chociaż poza tym wyraz jego twarzy w ogóle się nie zmienił. Ian zastanowił się, jak by to było bić się z czarnym chłopcem.

– Słuchaj, to świetnie, że chodzisz z Dee – odezwał się wreszcie. – To naprawdę niemałe dokonanie, biorąc pod uwagę, że jesteś cza... nowy. Szybko działasz. Wystarczyło ci na to pół dnia. Może więc wszystko się ułoży.

– Ale...? Bo domyślałam się, że jest jakieś „ale”?

Ian poruszył głową w taki sposób, że nie było to ani potwierdzenie, ani zaprzeczenie.

– Wszyscy szóstoklasiści chcą chodzić z Dee.

– Naprawdę? A nie z Blancą?

Ian prychnął.

– Blanca jest zbyt namolna. Zbyt tandetna. Dziwię się, że Casper z nią wytrzyma.

– A Mimi?

Ian zamarł.

– Co: Mimi? – Starał się nadać głosowi normalne brzmienie.

– Wydaje się interesująca. Powiedziała mi, że miewa wizje.

– Co?

Osei rzucił głową, słysząc to warknięcie, i Ian spróbował się opanować.

– Mimi to twoja dziewczyna? Przepraszam, nie wiedziałem.

Ian zastanowił się, czemu Osei go przeprasza.

– Co ci mówiła?

– Nic takiego. Naprawdę.

– Co powiedziała ci Mimi? – powtórzył dobitniej Ian. Z jego głosu przebijała groźba.

Teraz Osei wzruszył ramionami.

– Nic wielkiego. Ot, że czasami, kiedy boli ją głowa, widzi połyskujące światło przed oczami. Nazwała to aurą. I stwierdziła, że dzięki temu wie, co się wydarzy.

– Serio? – rzucił pogardliwie Ian.

Jak to możliwe, że Mimi opowiadała nowemu o rzeczach, o których jemu nawet nie wspomniała, chociaż jest jej sympatią? Przecież rozmawiali tylko przez chwilę podczas przerwy – najwyraźniej udało jej się przekazać wiele informacji w kilku słowach. Musiała się bardzo postarać. Iana nie obchodziły jej bóle głowy ani proroctwa, nie chciał jednak, żeby inni chłopcy wiedzieli o niej więcej niż on.

– Ale wracając do tematu... Mówiłeś coś o Casperze i Dee?

– Tak. – Ian okiełznał narastającą złość, która zagrażała jego misternemu planowi. – Casper to najpopularniejszy chłopak w całej szkole. A Dee jest... Powiem to tak: gdybyśmy byli w liceum, ci dwoje zostaliby wybrani na króla i królową balu. Wiesz, o czym mówię?

Osei skinął głową.

– Chodzą ze sobą – dopowiedział Ian.

– Ale Dee chodzi ze mną!

– Taaa, jasne. Tyle że nie ciebie karmi teraz truskawkami, nie?

Osei pokręcił głową niczym niedźwiedź zdumiony, że boli go łapa.

– Niemożliwe, żeby Dee była aż taka niestała. Przecież dopiero co zaczęliśmy ze sobą chodzić.

– Jasne, jasne. – Ian sprawiał wrażenie, jakby chciał się wycofać

z własnych słów. – Masz rację. Zapomnij, że cokolwiek mówiłem. Poza tym Dee na pewno przyniesie truskawki jeszcze raz, wtedy może od niej parę dostaniesz. – Urwał na chwilę. – Mimo wszystko to trochę dziwne, że nie podeszła prosto do ciebie, kiedy wróciła z obiadu. Jesteś pewny, że ze sobą chodzicie?

– Twierdzisz, że mnie rzuciła? Tak szybko? W trakcie przerwy obiadowej? – Osei zaczął mówić podniesionym głosem.

– Nic takiego nie twierdzą – uspokoił go Ian. – Mówię po prostu, żebyś miał na nią oko. I uważaj na Caspera. Owszem, zachowuje się miło, ale to jeszcze nie znaczy, że jest miły.

Ian chciał dodać coś jeszcze, lecz zabrakło mu czasu – Dee właśnie zauważyła O i zmierzała w jego stronę przez boisko.

– Udało mi się wrócić wcześniej – wyjaśniła, ledwie podeszła, i położyła mu dłoń na ramieniu. – Powiedziałam mamie, że mamy próbę przedstawienia z okazji końca roku, i mama mi uwierzyła! – Jej ton świadczył, że nie nawykła do kłamstw i że wciąż ją zadziwia, kiedy okłamywanie innych ludzi działa. – Hej, może też mógłbyś wystąpić w przedstawieniu?

– A co wystawiacie? – zainteresował się Osei.

– Szekspira. „Sen nocy letniej”. Ćwiczymy już od jakiegoś czasu, ale nie wszystkie role są obsadzone. Mógłbyś być elfem albo jednym z wieśniaków.

– A ty kogo grasz?

– Hermię, to znaczy główną bohaterkę.

– A czy Hermia nie zakochuje się w jednym chłopcu po drugim? – wtrącił Ian. – Taka jest kapryśna. A z tych chłopców są szczęściarze.

– Tylko dzięki temu, co Hermia robi. A wszystko to magia – wyjaśniła Dee, na co pociemniała mu twarz. – Ta sztuka jest komedią, więc koniec końców wszystko kończy się dobrze.

– A ty kogo grasz? – Osei zwrócił się do Iana.

– Ian gra Puka – odparła Dee. – Głównego ducha, przez którego wynikają wszystkie nieporozumienia. A teraz patrz, co tu mam! – Uniosła wysoko papierową torbę. – Truskawki! Pierwsze w tym sezonie. Przyniosłam trochę dla ciebie.

– Tylko dla mnie?

– Nie wiedziałam, czy już je kiedyś jadłeś. Macie truskawki w Ghanie?

– Jadłem je w Nowym Jorku i w Europie. W Ghanie nie.

– Poczęstuj się. Nie uwierzysz, jakie są słodkie. – Dee sięgnęła do papierowej torby i wyjęła lśniąca czerwienią truskawkę idealnego sercowatego kształtu.

– Nie jestem głodny.

Dee się zaśmiała.

– Ja jem truskawki, bo uwielbiam ich smak, nie dlatego, że jestem głodna.

Ian przysłuchiwał się tej rozmowie z zadowoleniem. Czysta siła jego słów sprawiła, że nowy zamienił się w bryłę kamienia, a Dee czepiała się go niesiona na fali własnych emocji i nieświadoma, że w jej sympatii zaszła poważna zmiana. Ian tylko czekał, aż w jej oczach pojawi się zrozumienie i ból ostry jak od skaleczenia nożem.

Tymczasem Osei odprężył się nagle i rzucił:

– No dobra. – Wziął truskawkę, złapał ją za szypułkę i wgryzł się w miękisz. Po chwili rozciągnął wargi w uśmiechu. – Mniam. Pyszna. Przepyszna. Naprawdę twoja mama je uprawia?

Przez twarz Dee przemknęło zdziwienie, które zmieszało się z przyjemnością, jaką dziewczynka poczuła, słysząc pochwałę.

– Skąd o tym wiesz?

Ian zrobił krok do przodu.

– Mogę dostać jedną?

– Och. Jasne.

Kiedy Dee wyciągała z papierowej torby następną truskawkę i kładła mu ją na wyciągniętej ręce, Ian obserwował O kątem oka. Na gładkim ciemnym czole pojawiły się zmarszczki, które pogłębiły się jeszcze, gdy Ian wgrzyzł się w owoc i sok pociekł mu po brodzie. *Dobre*, pomyślał, chociaż nie lubił truskawek ani w ogóle niczego słodkiego.

– Casperowi też smakowały? – zapytał, wycierając usta grzbietem dłoni.

Dee także zmarszczyła brwi.

– Tak. Chodź, pójdziemy pod drzewa – dodała, kierując te słowa tylko do swojej sympatii.

Ujęła O za rękę i pociągnęła go w stronę piaskownicy i cyprysów, zostawiając Iana samego.

Nie na długo jednak: w mgnieniu oka podszedł do niego z powrotem Rod, który czaił się przy zapaśnikach z okrętu pirackiego.

– Zdziałało? – zapytał, odprowadzając parę tęsknym wzrokiem. – Sądząc z widoku, chyba nie za bardzo!

Ian obrzucił wzrokiem O i Dee, którzy trzymając się za ręce, schronili się pod drzewami, gdzie Dee poczęstowała nowego kolejną truskawką, a potem też Caspera, który spoglądał na Blancę okiem władcy, kiedy skakała na skakance. Wszyscy oni wydawali się bohaterami sztuki, w której brakuje jednej sceny, nici, aby ich powiązać. I to Ian trzymał w ręce tę nić. Chętnie by doprowadził ich do upadku, nie tylko czarnego chłopca, ale też złotą parę szkoły. Casper i Dee przypominali Ianowi teflonową patelnię, której jego matka używała do smażenia jajecznic – cokolwiek się działo, pozostawali czysti i lśniący. Ian nie był w stanie ich dosięgnąć; zdawali się istnieć na poziomie, który przewyższał wszelkie jego działania. Wszyscy podziwiali ich w sposób, jaki nigdy nie będzie jego udziałem. Sprawiliby sobie prezent z okazji zakończenia roku szkolnego, gdyby jednak ich zwyciężył. Naturalnie istniało ryzyko, że dozna upadku razem z nimi, lecz ryzyko było równie podniecające jak

władza, którą miał nad nimi.

Zerknął na Roda, aż przebijającego nogami, żeby wziąć udział w realizacji planu, i szybko podjął decyzję.

– Podejdz do Caspera i powiedz coś takiego, żeby cię uderzył – rzucił na poczekaniu. – Tylko nie mów, że to ja ci kazałem, jeśli później nauczyciele cię zapytają. Co na pewno się stanie.

Rod rozdziawił usta.

– Co? Dlaczego? Nie chcę oberwać! I w ogóle co Casper ma z tym wszystkim wspólnego?

– To metoda pośrednia, najlepsza z możliwych. Nowy nie będzie wiedział, że ty czy ja mieliśmy z tym coś wspólnego.

– Ale z czym?

– Chcemy, by Osei pomyślał, że Dee za jego plecami chodzi z Casperem. A najłatwiej to osiągniemy, jeśli zmusimy Dee, żeby przy O paplała o Casperze. Żeby go broniła – sprecyzował. – To doprowadzi O do szału. Już teraz ma pewne podejrzenia co do Caspera. Przez to stanie na krawędzi.

Oszołomiony Rod potrząsnął głową.

– Nie rozumiem, o czym mówisz. To dla mnie zbyt skomplikowane. Czemu zwyczajnie nie spierzemy nowego?

– Bo nic na tym nie zyskamy. Nie chcemy z niego zrobić ofiary, bo Dee tylko by go bardziej polubiła. – Ian z trudem wyjaśniał nieprzemyślaną do końca strategię, która jego zdaniem była jednak właściwa. Pod tym względem instynkt nigdy go nie mylił. – Słuchaj, chcesz chodzić z Dee czy nie?

Rod przeniósł spojrzenie na Dee i O, którzy teraz siedzieli na piasku. Osei trzymał rękę za plecami dziewczynki i śmiał się, błyskając białymi zębami na tle czarnej skóry. Po chwili milczenia Rod odwrócił się do Iana.

– Co miałbym do niego powiedzieć? Casper nigdy nie traci

równowagi.

– Powiedz coś o Blance. Coś nieprzyzwoitego.

Rod poczerwieniał na twarzy.

– Na pewno coś wymyślisz – zapewnił go Ian. – No dalej! Idź już. Inaczej nowy odbierze ci sympatię na dobre. Tego chcesz? Żeby czarny chodził z Dee? Wierz mi, tak będzie, jeśli nie postawisz się Casperowi.

Rod wziął głęboki oddech, zacisnął pięści i ruszył w stronę dziewczynek skaczących na skakance.

Ian westchnął. Wolałby mieć kogoś bardziej godnego zaufania w roli swego adiutanta.

Wiedział, że nie powinien się teraz otwarcie przyglądać Rodowi i Casperowi, gdyż to by mogło zdradzić, kto tak naprawdę stoi za bójką. No i to żadna przyjemność patrzeć, jak Rod zawala sprawę, co było bardziej niż prawdopodobne. Jeśli tak się stanie, on wszystkiemu zaprzeczy i bez wątpienia wyjdzie z konfrontacji obronną ręką, skoro będzie tylko jego słowo przeciwko słowu Roda.

Odwrócił się do zapaśników. Młodzi chłopcy urządzili sobie coś w rodzaju turnieju i walczyli teraz w dwóch parach w jakby półfinale. Ian przyglądał się, jak obaj zwycięzcy zwracają się przeciwko sobie.

– Przyjmuję zakłady – obwieścił.

Ilekroć to robił, zatrzymywał dla siebie prawie połowę cukierków czy drobniaków, które trafiły w jego ręce, ponieważ jak twierdził, to on ponosił ryzyko, że zostanie zawieszony w prawach ucznia, jeśli ktoś z nauczycieli się zorientuje. Czasami dziwiło go, że nikt nie protestuje przeciwko tak wysokiemu haraczowi. Wyglądało na to, że wszyscy zbyttnio się go boją.

Na dźwięk jego głosu zarówno zapaśnicy, jak i gapie obrócili głowy. Przeszedł wśród nich cichy szmer. Niepokoju, ale też niezadowolenia, bo paru chłopców wyraźnie uznało, że ktoś psuje im zabawę. Ian zapamiętał sobie ich twarze na przyszłość.

– No co wy, nie chcecie większych emocji? – zapytał. – Teraz to po prostu zapasy. Kiedy złożycie u mnie zakład, będzie wam zależało, kto wygra.

Nie przekonał się, ile by zarobił, ponieważ z drugiej strony boiska nadleciały okrzyki:

– Biją się! Biją!

Chłopcy hurmem porzucili okręt piracki i niczym stado szcurów potruchtali przed siebie, aby dołączyć do kręgu, który zdążył się utworzyć w miejscu, gdzie dziewczynki skakały na skakance. Bójki wybuchały co parę tygodni i stanowiły szczyt rozrywki, szczególnie dla tych, którzy nie brali w nich udziału. Ian ruszył za nimi wolniejszym krokiem, wiedząc, kto się bije i co zobaczy.

Dee na prośbę O skończyła właśnie rozplatać warkocze, gdy jej uszu dobiegły znajome okrzyki:

– Biją się! Biją!

Dee i Osei spojrzeli na siebie nawzajem, lecz pokusa była zbyt wielka. Z pewnym ociąganiem podnieśli się na nogi i dołączyli do gapiów.

Dee zdziwiła się, widząc, że to Casper i Rod biją się w środku kręgu utworzonego przez uczniów. Casper nigdy nie wszczywał bójek.

– Coś ty powiedział? – ryczał teraz.

– Słyszałeś! – odparł Rod, podrygując na czubkach palców.

– Cofnij to! – zażądał Casper.

– Nie cofnę! Powiedziałem prawdę!

– Casper, nie pozwól mu tak o mnie mówić! – Blanca się rozplakała. Stała niedaleko niego, powstrzymywana przez Mimi, gdyż najwyraźniej miała ochotę sama wdać się w bójkę z oszczercą.

– Cofnij to! – powtórzył groźniej Casper.

– Nie!

Rod wykonał taki ruch, jakby rzucał się na przeciwnika, markując cios, a Casper odpowiedział uderzeniem, tyleż chcąc zablokować jego rękę,

co faktycznie go uderzyć. Zaciśnięta pięść wylądowała na twarzy Roda, który padł jak długi. Gapie sapnęli z wrażenia, a Blanca się rozkrzyczała. Rod leżał na plecach, trzymając się za jedno oko, a zwycięzca stał nad nim z wciąż zaciśniętymi pięściami i ze zdziwioną miną, jakby nie potrafił uwierzyć w to, co właśnie zrobił.

Dee zerknęła na O stojącego obok niej. Przyglądał się Casperowi wzrokiem, który nie do końca potrafiła rozszyfrować. Po części było to zdumienie, po części fascynacja – i jeszcze coś. Rezerwa. Szacunek. Wyrok. W jego oczach zagościł ten sam mrok co wtedy, gdy odmówił zjedzenia jej pierwszej truskawki.

Blanca nie przestawała wrzeszczeć. Mimi trzymała ją wciąż za rękę. Dee wiedziała, że powinna do nich podejść, ale nie ruszyła się z miejsca, nie chcąc brać udziału w rozgrywającej się scenie. Domyślała się, że Blanca nie przestanie o tym mówić do końca roku szkolnego, a może nawet gimnazjum.

Na miejscu zdarzenia błyskawicznie wyrosło paru nauczycieli. Pani Lode pomogła Rodowi wstać, przyciskając mu do oka zwilżony szary papier toaletowy, po czym poprowadziła go do gabinetu higienistki. Pan Brabant złapał winowajcę za ramię i pociągnął go, zwieszającego głowę, ku budynkowi szkoły.

Po ich odejściu krąg gapiów rozdzielił się na grupki. Wszyscy naraz zaczęli gadać o tym, co się przed chwilą stało. Dee przysłuchiwała się rozmowom.

- Rod nic nie zrobił. Casper na niego napadł!
- Musiał coś zrobić!
- Wyobrażasz sobie? Casper wziął udział w bójce. Przecież on nigdy się nie bije. Nie walczył ani razu przez wszystkie lata szkoły.
- Czemu naraził swoją ocenę ze sprawowania? Przecież to głupie!
- Rod coś do niego powiedział. Widziałem. Podszedł do niego i coś mu powiedział.

- Ale co?
- Musiało to być coś, co rozwścieczyło Caspera. Coś złego.
- Coś bardzo złego.
- Coś najgorszego.
- Zdaje się, że Rod szepnął coś o Blance.
- Nie, o matce Caspera.
- Ale co?
- Kto to może wiedzieć?

Mimi posłała Dee zrozpaczone spojrzenie i dopiero wtedy Dee zdecydowała się odejść od O, aby pomóc koleżance zapanować nad rozhisteryzowaną Blanca. W momencie gdy pan Brabant odprowadzał Caspera, Blanca wrzeszczała jeszcze głośniej. Można by pomyśleć, że to ona oberwała, a nie Rod.

Dee straciła cierpliwość.

- Jezu, Blanca! Ucisz się!

Strofując koleżankę, usłyszała w głowie głos matki, która zakazywała jej wymieniać imię Pana Boga nadaremno.

Blanca pociągnęła nosem.

– Łatwo ci mówić, Panno Doskonała. Nie o tobie ktoś powiedział coś brzydkiego. Nie twoja sympatia musiała cię bronić. Nie twoja sympatia zostanie zawieszona w prawach ucznia!

Na znak Mimi równocześnie złapały Blancę za obie ręce i poprowadziły ją w kąt boiska, na co im pozwoliła, ponieważ zarówno Casper, jak i Rod zniknęli, a gapie zaczęli się rozchodzić.

- Co właściwie powiedział Rod? – zapytała Dee.
- Nie powtórzę tego. To zbyt okropne!
- Nie będziemy mogły ci pomóc, jeśli nam nie powiesz – próbowała ją nakłonić do mówienia Dee.

Blanca oparła się plecami o ceglana ścianę szkoły.

- On powiedział... powiedział... – zaczęła i urwała.

Wargi jej zadrżały, spomiędzy nich wydobył się szloch. Tym razem była szczerze zdenerwowana.

– Zrób głęboki wdech i wydech – rozkazała Mimi koleżance.

Dee była pod wrażeniem jej stanowczości w obliczu takiej masy emocji. Okazało się, że ta stanowczość działa: Blanca zaczerpnęła tchu, wypuściła powietrze z płuc i uspokoiła się.

– Po prostu powiedz to na jednym wydechu.

– Rod powiedział, że jestem tandetna i że Casper poszedł ze mną na całość. Ale to nieprawda! – Blanca zakryła twarz rękami zawstydzona, że powtórzyła głośno takie oskarżenie.

Dee omal nie prychnęła, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Chłopcy na okrągło mówili takie rzeczy o dziewczynkach. Czemu ten przypadek okazał się inny?

Jakby czytając jej w myślach, Blanca opuściła ręce i dorzuciła:

– Powiedział to na cały głos, przy wszystkich! Nawet czwartoklasiści go słyszeli. Tak mi wstyd!... Teraz, kiedy Casper go walnął, wszyscy będą o tym mówili. I wszyscy będą uważali, że jestem tandetna.

– Blanca, powinnaś się martwić o Caspera – uświadomiła jej Dee. – Grozi mu zawieszenie w prawach ucznia.

Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, co to znaczy być zawieszonym w prawach ucznia. Miała nienaganną przeszłość, podobnie jak Casper do tej pory. Z tego, co pamiętała, Blanca została zawieszona w piątej klasie za noszenie biodrówek, które odsłaniały nie tylko pępek, ale też kości biodrowe. Wyłącznie uczniowie tacy jak Rod byli zawieszani bez przerwy – a to za rzucanie kamieniami, a to za podpalenie kupy liści na boisku.

Blanca popatrzyła na nią dziwnie.

– Co ci się stało z warkoczami?

Najwyraźniej odzyskiwała równowagę, skoro zadała takie pytanie.

– Osei chciał zobaczyć moje włosy rozpuszczone – odparła

zawstydzona Dee.

Splecione do niedawna w warkocze włosy sterczały jej teraz na głowie, jakby była hippiską. Mama by się pogniewała, gdyby to zobaczyła. Dee zdała sobie sprawę, że będzie musiała coś z tym zrobić, zanim uda się do domu.

– Dee, wyleciał ci... – Mimi urwała na widok podchodzącego do nich Iana.

– Wszystko w porządku? – zwrócił się do Blanki.

Blanca otarła oczy grzbietem dłoni.

– Jestem zdenerwowana – odparła z godnością, która wywołała uśmiech Dee, gdyż stała w jawnej sprzeczności ze zwykłą dla Blanki żywiołowością. – I martwię się o Caspera – dodała. – Może zostać zawieszony!

– Rod to idiota – stwierdził Ian. – Wielka szkoda, że Casper go uderzył. Odtąd nikt nie będzie mu ufał, nawet jego koledzy. Tacy jak twoja sympatia – powiedział, patrząc na Dee.

– O co ci chodzi?

– Wyglądał na wstrząśniętego. Casper był dla niego bardzo miły, a wiesz, wcale nie musiał być miły dla cza... nowego. W każdym razie teraz Osei nie wie, co myśleć o Casperze, który pokazał swoją prawdziwą twarz.

– To nie była jego prawdziwa twarz! – zaproponowała Dee.

– Wyjaśnij to swojej sympatii, bo najwyraźniej się pogubił.

– Tak zrobię.

Mimi spoglądała na Iana, marszcząc brwi. Dee zdziwiła się, gdy doszły ją słuchy, że ci dwoje chodzą ze sobą. Tak bardzo się od siebie różnili: Mimi była wyjątkowa i bardzo wrażliwa, a Ian – cóż, Ian był łobuzem, chociaż nigdy nie zaszedł Dee za skórę, jeśli nie liczyć jednego przypadku w trzeciej klasie, kiedy to pobrudził jej spódnicę pastą do butów i zagroził, że pogoni ją do domu. Ale nawet wtedy Dee czuła,

że Ian zachowuje się jakby pod przymusem, jakby coś mu kazało zachowywać się paskudnie w stosunku do wszystkich.

Teraz zaniepokoiło ją, że Ian wie o nowym chłopcu coś, czego ona nie wiedziała. Nie miała nic przeciwko temu, żeby Osei kolegował się z Casperem, ale widok rozmawiających O i Iana jakoś ją poruszył. Choć nie można było powiedzieć, że nie lubi Iana, z całą pewnością mu nie ufała.

Postanowiła, że porozmawia o Casperze z O. Uważała, że Osei powinien kolegować się z Casperem, nie z Ianem. Zapewni go, że Casper dał się ponieść, że uderzył Roda, broniąc Blanki. Osei to zrozumie, nie miała co do tego wątpliwości. Był honorowym chłopcem.

Zostawiła Mimi, Blancę i Iana, aby ustawić się w szeregu. Choć za O stało już paru uczniów, zrobili jej miejsce. Dee uśmiechnęła się do niego i zdębiała, gdy Osei nie odpowiedział tym samym. Minę miał surową. *Na pewno wciąż myśli o Casperze*, uznała w duchu. *Na szczęście to mogę naprawić.*

– Nie martw się – zwróciła się do niego. – Założę się, że Casper nie zostanie zawieszony. Jak tylko wyjdzie na jaw, co Rod powiedział o Blance... – Przerwała, widząc nieprzyjemny wyraz twarzy O.

– Dlaczego miałbym się martwić o Caspera?

– No... w końcu jest twoim kolegą.

– Raczej twoim. Moim na pewno nie.

– Ależ oczywiście, że Casper jest twoim kolegą!

Osei się skrzywił.

– Dee, pojawiłem się dziś rano. Nie mam tu jeszcze żadnych kolegów. Ani koleżanek. – Zaczął mówić mniejszym głosem, kiedy zobaczył, jak mina jej rzednie. – Oprócz ciebie, rzecz jasna. Poza tobą nie znam tutaj nikogo, kogo mógłbym nazwać swoim kolegą. Jestem nowy. Nie tylko nowy, ale też czarny. Będę miał dużo szczęścia, jeśli dotrwam do końca lekcji w jednym kawałku.

– Przesadzasz. Nauczyciele nie pozwolą, żeby ci się coś stało.

Osei westchnął.

– Dee, powiem ci coś o nauczycielach. Kiedy mieszkałem w Nowym Jorku, nauczyciel poprosił mnie, żebym opowiedział klasie o Ghanie. Nie w paru słowach jak dzisiaj rano, tylko w dłuższej formie. Miałem wygłosić referat na temat historii kraju, jego kultury, bogactw naturalnych i tak dalej. Podać wszystkie fakty. No więc się przyłożyłem. Część informacji już znałem, a po resztę poszedłem do biblioteki i wypytałem rodziców. W końcu wygłosiłem ten referat. I wiesz, jaką ocenę dostałem? Dwóję! Widziałem, że nauczyciel najchętniej wpisałby mi jeszcze uwagę do dzienniczka, ale to robi się tylko wtedy, kiedy ktoś przyjdzie na lekcję nieprzygotowany, a ja przecież się przygotowałem.

– Dlaczego dostałeś dwóję?

– Nauczyciel uznał, że większość zmyśliłem.

– Niby co?

– Niczego nie zmyśliłem! Referat w części dotyczył niewolnictwa. Bo widzisz, wielu mieszkańców dawnej Ghany zostało porwanych i przewiezionych do Ameryki i na Karaiby.

– Ja... Tak. – Dee kiwnęła głową, nie chcąc się przyznawać do swojej niewiedzy. Nie miała pojęcia, że niewolnicy wzięli się z Ghany. Pewnie ich o tym uczono w szkole, ale widocznie zapomniała. – Czyli niczego nie wymyśliłeś...

– Nie. Ale opowiedziałem też o kacykach, którzy dobijali targu z handlarzami niewolników i przekazywali im część swoich ludzi, żeby resztę pozostawiono w spokoju. Nauczyciel uznał, że zmyślam, i dał mi dwóję. Zarzucił mi nawet, że jestem rasistą w stosunku do swoich.

– Czyli to prawda? Kacykowie tak robili? – Dee starała się ukryć zaskoczenie.

– Tak, tak, ale nie w tym rzecz.

– I co zrobiłeś? Wysłałeś do szkoły rodziców, żeby porozmawiali

z tym nauczycielem?

Osei przez chwilę milczał, uśmiechając się ponuro.

– Mój własny ojciec doradził mi, abym opowiedział o kacykach, bo dzięki temu moi koledzy będą mieli mniejsze poczucie winy z powodu niewolnictwa. „Na tym polega dyplomacja”, wyjaśnił. Jasne, że nie poprosiłem rodziców o pomoc. Nie chciałem mówić tacie, czym się skończyła jego dyplomacja. Jak więc widzisz, nawet nauczyciele są przeciwko mnie i tylko patrzą, jak by mi dokopać. Nie mogę ufać ani nauczycielom, ani uczniom.

– Nieprawda! Możesz zaufać mnie. Możesz zaufać Mimi, która jest moją najlepszą koleżanką. – Dee odepchnęła od siebie wspomnienie Mimi, która przestrzegała ją przed chodzeniem z O. – I możesz zaufać Casperowi – dodała.

– Czemu tak uważasz? Przecież on właśnie podbił oko innemu uczniowi, i to bez powodu.

– Właśnie że miał bardzo dobry powód! Musiał bronić Blanki. Jestem pewna, że ty byś postąpił tak samo, gdyby ktoś wygadywał o mnie takie rzeczy jak Rod o Blance.

Nareszcie trafiła w dziesiątkę. Osei wyprostował się na całą swoją wysokość, aby lepiej nadawać się do roli szlachetnego opiekuńczego chłopca broniącego swej sympatii.

– Ja bym podbił oszczercy oboje oczu.

Dee ujęła go za rękę i splótła z nim palce, kiedy ruszali za innymi dziećmi, udając się do klasy.

– W takim razie już rozumiesz, dlaczego musimy wspierać Caspera. Nie zrobił nic złego.

Osei zgarbił się i chciał wyrwać dłoń z jej uścisku, ale mu na to nie pozwoliła. Przynajmniej dopóki pan Brabant nie popatrzył na nią z surową miną. Nie chcąc być zawieszona, puściła rękę O.

Zanim weszła na schody za O, pan Brabant ją zatrzymał. Dee chciała

zawołać, aby Osei zaczekał, ale pomyślała, że wtedy oboje dostaną nagane za trzymanie się za ręce. Zdawała sobie sprawę, że wychowawca nie lubi nowego ucznia i że wykorzysta przeciwko niemu każdy argument.

Jednakże pan Brabant ją zaskoczył.

– Gdzie masz warkocze? – zapytał.

– Och! Rozplotłam je. – Zarumieniła się.

Pan Brabant nigdy nie interesował się jej fryzurą, ale też nigdy nie miał powodu, aby to robić.

– Wyglądasz nieporządnie – stwierdził teraz.

Dee otworzyła usta, by przeprosić, lecz nie odezwała się, przypomniawszy sobie wcześniejszy bunt na boisku.

– Noszenie rozpuszczonych włosów nie jest wbrew regulaminowi szkoły.

Pan Brabant zmarszczył czoło.

– To prawda. Ale rozpuszczone włosy do ciebie nie pasują.

Dee wzruszyła ramionami.

– Podobają mi się takie.

– Naprawdę?

– Tak. – W rzeczywistości łaskotały ją w szyję i wpadały jej do ust, tego jednak nie zamierzała mówić wychowawcy.

– Wielka szkoda. Wyglądasz w nich tak sobie.

Dee zwiesiła głowę, nie chcąc spojrzeć panu Brabantowi w oczy. Miała takie uczucie, jakby strofował ją rodzony ojciec.

– No dobrze. Biegnij do klasy.

Dee oddaliła się, powstrzymując wzdrygnięcie.

Kiedy usiadła na swoim miejscu, nie mogła się powstrzymać przed zerkaniem na puste krzesło Caspera, licząc, że jakimś cudownym sposobem zostanie zajęte. Za jej plecami Blanca pociągała nosem, korzystając z okazji, że może jeszcze trochę podramatyzować.

– Dość tego – zwrócił się do chlipiącej uczennicy pan Brabant. – Uspokój się już. To, co wydarzyło się na boisku, niech pozostanie na boisku. A teraz urządzimy sobie test z amerykańskich prezydentów. Przygotujcie ołówki. Osei, ty też, chociaż nie będziesz pisał na ocenę. Sprawdzian pomoże ci ustalić luki w wiedzy, które powinienes uzupełnić. To, że do końca roku został tylko miesiąc, nie znaczy, że będę ci pobłażał.

Dee zmarszczyła czoło. Miała ochotę zganić wychowawcę za myślenie, że Osei nie zna amerykańskich prezydentów tylko dlatego, że urodził się w Ghanie. Pragnęła wstawić się za O, tak jak Casper wstawił się za Blanę. Jednakże nie mogła tego zrobić, nie po tym, jak przed chwilą potraktował ją pan Brabant. Zresztą Osei wcale nie sprawiał wrażenia dotkniętego – jakby nigdy nic skinął głową i sięgnął po jej biały piórnik, czym na moment ją zdumiał, zanim przypomniała sobie, że przecież się zamienili.

Sięgnęła do swego plecaka i napotkała... pustkę. Zaczęła przetrząsać zawartość, odsuwając na bok podręczniki, sweter, paczkę chusteczek higienicznych, torebkę z cukierkami. Nigdzie nie było różowego piórnika. Dla pewności uniosła blat ławki, chociaż wiedziała, że nie zostawiła tam piórnika. Nagle poczuła na sobie spojrzenie O.

– Pożyczysz mi ołówek?

– A gdzie masz różowy piórnik? Zgubiłaś?

– Nie – odparła prędko, za prędko, po czym spróbowała mówić bardziej wyważonym głosem. – Zabrałam go do domu na obiad i chyba tam zostawiłam... Już wiem! Pokazałam go mamie. Leży teraz na stole w kuchni.

W rzeczywistości nigdy by jej nie pokazała piórnika, bo mama orzekłaby, że różowy kolor jest zbyt frywolny, i odebrałaby jej go. Z tego samego powodu musiała ukrywać przed rodzicami biały piórnik z wizerunkiem Snoopy'ego.

Biorąc do ręki ołówek, który podał jej Osei, nie potrafiła spojrzeć chłopcu w oczy. Okłamała go po raz pierwszy.

Część czwarta

POPOŁUDNIOWA PRZERWA

*Mały miś
Do lasu bał się iść,
Ze strachu drżał jak liść,
Pluszowy miś.
Ciemny las,
Tam wilki zjedzą nas,
Wracajmy bracia wraz,
Dopóki czas!*

*Nie bój się,
Wilki nie zjedzą cię!
Będziemy bronić się,
Nie damy się!
Śmiało w przód
Po słodki wonny miód,
Jagody, istny cud,
Użyjem w bród!*



Mimi pociągnęła Iana na bok, kiedy wychodzili na popołudniową przerwę. Zdziwiło go to. Mimi rzadko przejawiała inicjatywę – szczególnie na oczach wszystkich. Do tego odciągnięty na bok w ten sposób, sprawiał wrażenie słabego i pozbawionego kontroli. To on powinien ją pociągnąć na bok, żeby pokazać wszystkim, kto tu jest górą. Zezłoszczony odsunął się od niej pod ścianę korytarza.

– Czego? – warknął świadom, że jeśli nie dostanie się szybko na boisko, chłopcy utworzą dwie drużyny, nie czekając na niego, chociaż zawsze był kapitanem.

– Chcę ci coś powiedzieć...

Mimi przybrała łagodny wyraz twarzy, jak każda dziewczynka, która chce rozmawiać o swoich uczuciach. Ian się wzdrygnął. Było to ostatnie, na co miał w tej chwili ochotę.

Przerwał jej więc:

– Zdobyłaś tę rzecz od Dee?

Mimi rozszerzyła oczy i przejechała językiem po aparacie ortodontycznym, najwyraźniej zbita z tropu. Wyglądała na jeszcze chudsza niż normalnie i nieszczęśliwa. Twarz miała całą w plamy.

– Tak – odparła z wahaniem.

– No więc? Co to takiego?

Mimi wyciągnęła z torby plastikowy prostopadłościan upstrzony truskawkami.

– Co to u diabła jest? – zapytał Ian. – Co to za paskudztwo?!

Mimi skuliła się na dźwięk jego podniesionego głosu, czego po niej oczekiwał. Dzięki temu znów poczuł się przy władzy.

– To piórnik O... tego nowego. Dał go Dee. Upuściła go niechcący, a ja podniosłam. Wiem, że chciałeś coś, co Dee dostała od Caspera, ale może to też się nada?

Oczy Iana zwróciły się na piórnik zupełnie jak reflektory na aktora na scenie. Mimi zaszurała stopami. Ian się uśmiechnął. Przedmiot nadawał się znakomicie, z czego Mimi nie zdawała sobie nawet sprawy. Nie myślała strategicznie jak on. Nie miała pojęcia, co się dzieje na boisku ani jak bardzo może zakłócić panujący tam porządek pojawienie się kogoś takiego jak Osei. Nigdy nie wpadłaby na pomysł, aby naprawić sprawę, co było zamiarem Iana. Właściwie była mu winna wdzięczność.

– Kto wie, że go podniosłaś?

– Nikt.

– Świetnie. – Ian wyciągnął rękę. – Daj mi go.

Przez długą chwilę nic się nie działo. Mimi stała, trzymając piórnik z miną schwytanego w potrzask zwierzątka, które dobrowolnie wlaźło w pułapkę i teraz tego żałuje. Ian czekał cierpliwie; wiedział, że prędzej czy później dostanie piórnik do ręki.

Tymczasem Mimi go zaskoczyła. Zaczęła się targować, czego się po niej nie spodziewał. A już na pewno nie był przygotowany na to, o co poprosiła.

– Nie chcę z tobą dłużej chodzić – powiedziała. – Dam ci piórnik pod warunkiem, że ze mną zerwiesz i zostawisz mnie w spokoju.

Minę miała płacziwą. W niczym nie przypominała dziewczynki z różowionymi policzkami i rozplócionymi oczami, która szybowała wokół masztu z flagą przed kilkoma dniami.

Ian ukrył irytację. Nie zamierzał Mimi pokazać, że jej decyzja go zraniła ani że chciałby wiedzieć, co jej się w nim nie podoba. W gruncie

rzeczy znał na to odpowiedź: nie mieli ze sobą nic wspólnego. On był twardy, a ona dziwna.

Nie chodziło o to, że ją jakoś specjalnie polubił. Wolał jednak, aby nikt się nie dowiedział, że Mimi go rzuciła. Postanowił, że rozpuści wśród chłopców plotkę, jakoby nie chciała pójść z nim na całość. Albo powie, że to zrobiła, a on się nią znudził. Jeszcze musiał się zastanowić, jak obrócić tę sytuację na swoją korzyść. Tak czy owak zależało mu na piórniku.

– Zgoda – rzucił.

Mimi ani drgnęła.

– Nie będziesz mnie obgadywał ani mówił o mnie brzydkich rzeczy, takich jak Rod powiedział o Blance – dodała, jakby czytając mu w myślach.

– Nie odezwę się ani słowem. I ty też. – Wykonał niecierpliwy gest. – No więc dostanę ten piórnik czy nie?

Mimi zagryzła wargę. Gdy wyciągnęła przed siebie rękę z piórnikiem, Ian zauważył, że cała drży. Nie potrafiła się targować, nie zostawiła sobie asa w rękawie. Wiedział, że uda mu się przedstawić ich zerwanie tak, aby samemu wypaść w dobrym świetle.

– Idź już na boisko – ponaglił ją, wzięwszy od niej piórnik. – Dogonię cię.

Mimi gapiła się na piórnik w jego rękach. Wyglądała na przestraszoną. W jej oczach pojawiły się dziwne plamki, przez które tęczęwki jakby wirowały.

– Co z nim zrobisz? – zapytała.

Jednakże Ian już maszerował w stronę szatni.

– Nic, czym musiałybyś się martwić – odpowiedział przez ramię. Gdy moment później przetrząsał klasowy wieszak w poszukiwaniu swojej kurtki, wciąż czuł na sobie spojrzenie Mimi. – Idiotka – mruknął. Prysło gdzieś całe pożądanie, które do niej czuł podczas zdejmowania flagi.

Wreszcie znalazł kurtkę – zwykłą, granatową, nienoszoną od paru tygodni, odkąd zrobiło się ciepiej. Zanim umieścił piórnik w kieszeni, zajrzał do środka. Nie było w nim nic ciekawego: kredki różnej długości i barwy, kilka gumek do mazania, plastikowa ostrzałka, krótka linijka, moneta dziesięciocentowa, guma balonowa, karteluszek, kulka kauczuku. Ian wziął sobie dziesięciocentówkę, odwinął gumę balonową, upuścił dołączony do niej komiks i wepchnął sobie gumę do ust. Następnie zerknął na karteluszek. Wypisane na nim fikuśnym charakterem było imię i nazwisko nowego, jego adres i numer telefonu. Wyobraził sobie głuche telefony, które wykona, i uśmiechnął się do siebie. Co rusz otwierały się przed nim nowe możliwości.

Resztę wyrzucił do kartonowego pudła na śmieci, wśród których były ułamki kredy, stare gąbki, połamane podpórki na książki, resztki kolorowego papieru. Wyciągnął spod spodu ulotkę przedstawiającą główne uprawy USA (kukurydza, pszenica, bawełna) i nakrył nią zawartość piórnika. Nikt niczego nie znajdzie przez najbliższe tygodnie, a kiedy rok szkolny się skończy, można wyrzucić śmieci przed wakacjami. Wtedy Ian będzie już daleko – w drodze do nowej szkoły i nowych ofiar.

Przyjrzał się opróżnionemu piórnikowi. Rany, ależ był obrzydliwy. Tylko dziewczynka mogła chcieć coś równie krzykliwego. Uwagę Iana przykuły jedynie wypukłe truskawki, które sterczały z plastikowej powierzchni, przywodząc mu na myśl sutki. Naoglądał się sterczących sutek przez lata w kradzionym „Playboyu”. Dziewczęce sutki, które miał okazję widzieć – gdy podglądał dziewczynki przebierające się przed wufem albo kiedy zmusił pewną piątoklasistkę, żeby zadarła na jego oczach bluzkę – były malutkie i gładkie. Ian dotknął jednej truskawki i uśmiechnął się, czując, że w jego spodniach coś się dzieje. Być może Osei miał ten piórnik z tego samego powodu, o ile wywierał na niego podobny wpływ.

Ale Ian nie mógł zatrzymać piórniaka. Bardziej mu się przyda jako przedmiot wzniecający problemy na boisku niż coś, czym mógłby się podniecać. Od tego miał inne rzeczy. Co jednak powinien zrobić z piórniakiem? Najlepiej, żeby znalazł się w posiadaniu Caspera, jeśli ma wyrzeźić odpowiedni efekt na nowym: namacalny dowód potwierdzający podejrzenia, które Ian w nim wzbudził. Kłopot w tym, że Casper raczej nie będzie się obnosił z czymś takim; żaden chłopiec mający do siebie choć cień szacunku nie chce mieć różowego piórniaka w truskawki.

Zatem jeśli nie Casper, to ktoś z jego najbliższego otoczenia. Tak! Ian kiwnął do siebie głową i uśmiechnął się, wiedząc już, co robi. Włożył kurtkę – będzie mu w niej za ciepło na zewnątrz, ale potrzebował osłony – umieścił piórnik w wewnętrznej kieszeni i ruszył w stronę wyjścia.

Szóstoklasiści zdążyli się zgromadzić przed meczem, w którym mieli wziąć udział i chłopcy, i dziewczynki. Pod nieobecność Caspera i Iana, zwyczajowych kapitanów, dwaj inni chłopcy wcielili się w tę rolę: Rod oraz – ku zdumieniu Iana – Osei. Jak to możliwe, że nowy tak szybko się wspinał i zajął prominentne miejsce w boiskowej hierarchii? Ian miał lepsze zdanie o kolegach z klasy, okazało się jednak, że to w większości same pipy gotowe lec na ziemi i pokazać brzuch przed nowym. Ian wiedział, że musi zacząć działać, w przeciwnym razie Osei całkowicie przejmie władzę.

Ledwie Rod zobaczył Iana, podbiegł do niego, wołając:

– Ian! Ian jest w mojej drużynie!

Choć siniak pod okiem ciemniał mu z każdą chwilą, Rod wydawał się w świetnej formie. Iana ogarnął niesmak.

– Mam zostać za karę po lekcjach – szepnął Rod, znalazłszy się blisko niego. – Dyrektorka powiedziała, że chętnie by mnie zawiesiła, ale jej zdaniem podbite oko to wystarczająca kara. Faktycznie, nie masz pojęcia,

jak to boli!

– Wspomniałeś o mnie?

– Nie. Obiecałem, że się nie wygadam, i nie wygadałem się.

– To dobrze.

– Ej, Rod, to nie twoja kolej! – zawołało paru uczniów naraz.

Ian stał nieruchomo, czekając, aż Osei podejmie decyzję, kogo wybrać do swojej drużyny. Do tej pory zdążył wskazać kilkoro dzieci, w tym Dee i Mimi. Mimo że Ian nie lubił O, gdy poczuł na sobie jego spojrzenie, doświadczył przyjemnego uczucia z powodu okazanego mu zainteresowania. Na ogół kiedy ktoś na niego patrzył, kulił się wewnątrz w sobie.

Osei skinął na niego.

– Ian.

Ian odkiwnął głową i ruszył przed siebie, aby dołączyć do drużyny O, a Rod mruknął pod nosem:

– Cholera!

Osei i Rod na przemian wykrzykiwali imiona kolejnych zawodników, a Ian błądził po boisku wzrokiem, aż znalazł to, czego szukał. Blanca siedziała na pokładzie okrętu pirackiego sama, naburmuszona. Zamiast zagrać w piłkę, wołała na oczach wszystkich lizać rany. I bardzo dobrze.

W końcu gra się rozpoczęła. Ian, zamiast poczekać, aż Osei wyznaczy mu pozycję, sam ustawił się na polu zewnętrznym, nieopodal okrętu pirackiego przy trzeciej bazie. Na szczęście Dee znajdowała się daleko od niego po przeciwnej stronie zapola, a Osei stał odwrócony do niego plecami, przymierzając się do rzutu. Było mało prawdopodobne, aby któreś z nich dostrzegło różowy piórnik. Ian zdołał podkraść się do Blanki, która opierała się obiema rękami o balustradę i trzymała brodę na złączonych dłoniach. Stopy w sandałach na koturnie umieściła na dolnym drążku, dzięki czemu Ianomalże mógł jej zajrzeć pod spódnicę. Mimo to nie podszedł bliżej, ponieważ musiał się

skoncentrować.

– Blanca... – szepnął.

Gdy nie odpowiedziała, powtórzył jej imię nieco głośniej. Dopiero wtedy przeniosła na niego obojętne spojrzenie. Przez wszystkie lata szkoły podstawowej ani razu jej nie zastraszył, niczego też na niej nie wymógł. Blanca była zbyt skupiona na sobie, aby się go bać. Była siłą samą w sobie i tworzyła własne katastrofy. Na Iana nie zwracała uwagi – aż do teraz. Właśnie miało się to zmienić.

– Mam coś dla ciebie – dodał, po czym zamilkł. Zawodniczka Roda kopnęła piłkę tak, że łapacz bez trudu ją pochwycił, na co wszyscy z drużyny O, łącznie z Ianem, zaklaskali. – Od Caspera – dorzucił po chwili milczenia.

Blanca poderwała głowę i opuściła stopy na pokład okrętu.

– Co? – wykrzyknęła.

– Ciii. To tajemnica. Coś tylko dla ciebie. – Nie chciał, by zwróciła na siebie uwagę, póki on jest w pobliżu. Podszedł bliżej. – Spotkałem go, jak szedł do łazienki z gabinetu dyrektorki. Poprosił, żeby ci to dać. – Wyciągnął piórnik z kieszeni kurtki i podał go dziewczynce.

Blanca sapnęła.

– Och, jaki śliczny! – Musnęła palcami truskawki tak jak przedtem Ian.
– Jak go pokażę dziewczynom...

– Nie! Jeszcze nie!

– Czemu?

Zawodnik wybił piłkę na zapole i ruszył biegiem do pierwszej bazy.

– Casper chciał, żeby to była wasza tajemnica. Na razie. Poza tym powinnaś mu najpierw podziękować, a dopiero potem pokazywać prezent koleżankom.

Przy odrobinie szczęścia Casper nie pojawi się w szkole przez kilka dobrych dni, a do tego czasu stosunki między Dee i O zdążą się pogorszyć, jeśli nowy zobaczy, kto ma teraz jego piórnik. Ryzykował,

zupełnie jak wtedy, gdy jechał z górki na rowerze bez trzymanki, ale stanowiło to istotną część zabawy.

– Dobrze... – zgodziła się Blanca i zrobiła zmartwioną minę. – Czy z Casperem wszystko dobrze? Nie został zawieszony?

– Nie wiem – odpowiedział Ian zgodnie z prawdą.

– Myślisz o mnie? Powinien o mnie myśleć. Muszę tu być ze wszystkimi, mimo że każdy słyszał, co Rod o mnie powiedział. – Zamilkła na chwilę, dając Ianowi szansę na wyrażenie współczucia, jednakże kiedy się tego nie doczekała, dodała: – To straszne! Tak ciężko być dziewczynką! Nie masz pojęcia... – Na podkreślenie swoich słów zarzuciła ciemnymi lokami.

– Domyślam się – kiwnął głową Ian, żeby mieć ją jak najszybciej z głowy.

Do rzutu przymierzał się Rod.

– Postaraj się go wyeliminować z gry – syknęła Blanca. – Sama bym mu chętnie przyłożyła za to, co zrobił Casperowi!

Zupełnie jakby jej słowa miały magnetyczną moc, Rod wybił piłkę prosto w stronę Iana. W innych okolicznościach Ian mógłby celowo ją przepuścić, ale tym razem zrobił krok w przód i złapał lecącą piłkę, czemu towarzyszyło głucho uderzenie o jego pierś. Blanca zaklaskała głośno, jakby grała w tej samej drużynie, co przepełniło Iana dumą.

Z łatwością zaliczyli trzeci punkt, po czym zmienili strony – zespół Roda znalazł się na polu zewnętrznym. Gdy drużyna zebrała się wokół O, aby wysłuchać decyzji kapitana co do kolejności rzutów, Ian wymamrotał do nowego:

– Przeważnie pierwsza jest dziewczynka. Powinieneś wyznaczyć Dee. Wszyscy tego po tobie oczekują.

Osei kiwnął głową.

– Dee, potem Duncan, po nim Ian, ja i... – Gestem wyznaczył kolejnych zawodników.

Wybrana do pierwszego rzutu Dee swoim zwyczajem kopnęła piłkę lekko i pognęła do pierwszej bazy, gdzie bazowym był Rod. Stała daleko od niego, aby okazać mu swoją pogardę za to, że obraził Blancę i zmusił Caspera do gwałtownej reakcji. W sumie prawie wszystkie dziewczynki go bojkotowały, w tym te, które wybrał do swojej drużyny. Rod zwiesił głowę, wyraźnie nieszczęśliwy ze swojej nowej roli szkolnego pariasa. Ian śmiał się z niego pod nosem, podchodząc do nowego.

Czas przejść do dzieła.

– Stworzyłeś dobrą drużynę.

– Dzięki. – Osei nie spuszczał oczu z Duncana, który miał wybić piłkę jako drugi.

– Widziałem, że Blanca dostała coś od Caspera – rzucił Ian od niechcienia. – Casper musi być w niej nieźle zadurzony, skoro daje jej prezenty.

– Yhm. – Osei nie zwracał na niego specjalnej uwagi.

Ian uznał, że musi wyłożyć kawę na ławę.

– Jakoś nigdy nie miałem jej za kogoś, kto lubi truskawki – powiedział. – Zauważyłem, że lubi landrynki wiśniowe.

Osei odwrócił się do niego.

– Co powiedziałaś?

– Że nigdy nie miałem Blanki za kogoś, kto lubi truskawki.

– Truskawki?

Napięcie w głosie O sprawiło, że Ian uśmiechnął się w duchu z zadowolenia. Przynęta złapała się na haczyk łatwiej, niż przypuszczał.

Zachował kamienną twarz.

– Blanca ma nowy piórnik. Z truskawkami na wierzchu. Mówi, że dostała go od Caspera. Woli z nim tam siedzieć, zamiast grać w piłkę.

– Wzruszył ramionami i skwitował: – Kto nadaży za dziewczynami?

– Gdzie?

Ian wskazał kierunek. Blanca nadal siedziała na pokładzie okrętu pirackiego, teraz z piórnikiem na kolanach. Bezmyślnie bawiła się jego zamknięciem. Ktoś, kto nie wiedział, czego szukać, niczego by nie zauważył – tak jak stojąca na pierwszej bazie Dee czy Mimi siedząca na ławce razem z innymi zawodnikami czekającymi na swoją kolej. Jednakże Osei wiedział, czego szuka. A kiedy wypatrzył różowy przedmiot na kolanach Blanki, zamarł w bezruchu, zapominając o Duncanie, który kopnąwszy piłkę, pobiegł do pierwszej bazy zwolnionej właśnie przez Dee. Przy tym rzucie ich drużyna dotarła do drugiej bazy.

Ian pomyślał, że nie będzie musiał się dalej wysilać: trucizna zadziałała i teraz tylko trzeba dać jej czas, aby się rozprzestrzeniła. Jemu pozostało zgrywać obojętność i zaprzeczać, że ma z tym cokolwiek wspólnego.

Skoro zrobił swoje, mógł się skupić na grze z lekkością, jakiej nie czuł przez cały dzień, cały tydzień, cały rok. Zapatrzył się na pole zewnętrzne z zawodnikami, którzy powinni być jego, a nie Roda, i pomyślał: *A teraz zaliczę bazę domową, żeby wam wszystkim pokazać, kto tu rządzi.* Wycelowował w najodleglejszy róg boiska, ruszył biegiem w stronę podanej mu piłki i posłał ją prosto do celu.

Ilekcioć któryś z zawodników zaliczył bazę domową, pozostali z jego drużyny urządzali pokaz tańca i skakania, ze śmiechem i krzykiem wracając na pozycje wyjściowe i ucierając nosa przegrywającym. Dee podrygiwała zachwycona, że drużyna O zdobyła trzy punkty i ma szansę na pełne zwycięstwo. Był to jego pierwszy mecz w roli kapitana i proszę, jaki rezultat osiągnął. *Wspaniały początek! Poradzi sobie w tej szkole, pomyślała. A do tego jest moją sympatią.*

Znalazłszy się na pozycji wyjściowej, podskoczyła wysoko i zaczęła przybijać piątkę z resztą zawodników. Gdy za jej plecami wyrósł Duncan i wyciągnął do niej uniesioną rękę, klepnęła go dłonią

w rozczapierzone palce.

– A teraz odwrotna piąteczka. – Przekręcili dłonie o dziewięćdziesiąt stopni i stuknęli się ponownie. – I żółwik. – Każde z nich zacisnęło pięść, po czym zderzyli się kostkami, tak jak widzieli w telewizji w programach o czarnych.

Dee szczyrzyła się radośnie, dopóki nie napotkała spojrzenia O, który przyglądał się temu rytuałowi z miną bez wyrazu. Dee poczerwieniała.

– Och, Osei, ja... – zaczęła i urwała zaraz.

Ogarnął ją wstyd nie dlatego, że w oczach O ich gesty musiały zakrawać na kpiny dwojga białych dzieci z zachowania czarnych, lecz dlatego, że się od niej odwrócił i przeszedł na pozycję wyjściową. Tam stał sztywno wyprostowany, czekając, aż miotacz rzuci w jego kierunku piłkę.

Dee wpatrywała się w niego, nie czując już radości, którą sprawiła jej przed momentem wygrana. Chyba nie pogniewał się na nią z powodu jakiegoś głupiego przybijania piątki? Czyżby dla czarnych obraźliwe było naśladowanie ich? Przyglądając się jego plecom, czuła, że zbiera się jej na płacz.

– Zdenerwował się przez Caspera – usłyszała głos z tyłu.

Ian obszedł wszystkie bazy i stanął w pobliżu. Jego zazwyczaj mętne szare oczy były przejrzyste, a policzki zarumienione. Uniósł rękę dłonią na zewnątrz.

Przybiła z nim piątkę z uprzejmości. Ian zakrzywił palce i wplótł je w jej dłoń. Uczucie było tak dziwne, że Dee wyszarpnęła rękę, po czym natychmiast wystraszyła się, że go uraziła.

– To było świetne wybicie – powiedziała i od razu się zastanowiła, skąd u niej potrzeba spacyfikowania Iana.

– Dzięki. Na pewno dasz radę pocieszyć O po tej sprawie z Casperem.

– Ja...

Czy tu naprawdę tkwi problem? zastanowiła się, lecz nie

powiedziała tego na głos. Nie chciała rozmawiać o tym z Ianem.

– Trudno jest chodzić z czarnym – podjął Ian nieubłaganie. – Mało która dziewczyna by się na to zdecydowała. Potrzebna ci każda pomoc. Jeśli Casper i Osei się zakolegują, będziesz miała łatwiej. Mając kogoś takiego jak Casper po swojej stronie, mogłabyś chodzić nawet z szympansem i nikt by nic nie powiedział.

Dee zaczęła otwierać usta, ale zmilczała. Ian uśmiechał się do niej lekko.

– Podobają mi się twoje rozpuszczone włosy – dodał.

Dee odwróciła się od niego zmieszana. Czy Ian właśnie nazwał O szympansem? Nie, niemożliwe, uznała, podchodząc do ławki dla oczekujących zawodników. Mimo wszystko zapięła ją uwaga Iana. Wydawała się nie na miejscu, jak zepsute mleko w lodówce. Dee nie była jednak pewna, jak na nią zareagować, skoro Ian ewidentnie chciał tylko pomóc.

Wybicie O po wcześniejszym sukcesie Iana wypadło blado, ale Osei zdołał dobiec do pierwszej bazy, gdzie stanął, nie patrząc w stronę Dee, tylko Blanki, która wciąż siedziała na pokładzie okrętu pirackiego. Dee zmarszczyła brwi. Coś było nie tak; nie wiedziała tylko co. Zapragnęła, żeby Ian przestał się w nią wpatrywać.

– Casper! – pisnęła Blanca w pewnym momencie.

Zeskoczyła z okrętu i popędziła do siatkowego ogrodzenia naprzeciwko domu Caspera. Chłopiec wyszedł właśnie na frontową werandę. Pośród dzieci grających w piłkę rozszedł się szmer.

– W życiu nie widziałam, żeby Blanca tak szybko biegła. Kiedy się nad tym zastanowię, nie jestem nawet pewna, czy w ogóle widziałam, żeby biegła.

– A więc jednak Casper został zawieszony!

– Na jak długo twoim zdaniem?

– Nie wierzę, że Casper jest w domu, chociaż lekcje się jeszcze nie

skończyły.

– Ominie go sprawdzian z gramatyki.

– Ma być jakiś sprawdzian?

– Ty głupku, pan zapowiada go od tygodnia!

– Chciałbym być na miejscu Caspera...

– W głowie się nie mieści! Jedną bójką obniżył sobie ocenę ze sprawowania.

– Jego mama musi być wściekła.

– Założę się, że dostanie lanie od ojca po pracy.

– Ciekawe, czy jego tata użyje pasa, tak jak tata lana.

– Tata lana używa pasa?

– Tak słyszałem.

– O Boże, spójrz, co oni robią!

– Co ona trzyma?

– Jego fujare?

– Bardzo zabawne. Och, upuściła coś...

Rozmawiając, uczniowie obserwowali Caspera i Blancę, która gestem zachęciła go, aby opuścił werandę i przeszedł na drugą stronę jezdni, pod szkolne ogrodzenie. Teraz całowali się przez otwór w siatce.

– Całe szczęście, że dzieli ich płot, bo inaczej by na siebie wleźli – mruknęła Jennifer do Dee siedzącej wciąż na ławce. – Casper musi być w szoku, inaczej nigdy by nie pozwolił, żeby Blanca pocałowała go na oczach wszystkich. Ale z niej pozerka.

Dee sarknęła, gdyż Jennifer tego właśnie się po niej spodziewała, nie potrafiła się jednak zmusić, aby spojrzeć na tę parę. Cierpiałyby, widząc, jak inni okazują sobie czułość, podczas gdy ona i Osei zdążyli się od siebie oddalić, zanim naprawdę się do siebie zbliżyli.

Zapragnęła wstać i podejść do Mimi, która siedziała na drugim końcu ławki, odchylona na oparcie i z zamkniętymi oczami. Jej najlepsza koleżanka dziwnie się ostatnio zachowywała w jej obecności. Nie była

niemiła ani zagniewana, raczej zdystansowana. Kiedy Dee zapytała ją, o co chodzi, Mimi odparła, że ból głowy jeszcze jej nie minął. Wyglądało to tylko na częściową prawdę.

Dee rozejrzała się dookoła. Nie licząc Mimi, wszyscy szóstoklasiści – w tym Osei, Jennifer, Rod, Duncan i Patty – przyglądali się Blance i Casperowi. Jedynie Ian nie patrzył w ich stronę. Zamiast tego gapił się na O i uśmiechał pod nosem.

Czemu mam wrażenie, że coś tu jest bardzo nie tak? zastanowiła się Dee. *Przed południem było tak miło, a teraz...*

Przynajmniej czwartoklasistki skaczące na skakance wydawały się szczęśliwe. Dee słyszała, jak za jej plecami skandują wyliczankę, której nie cierpiała:

*Mały miś,
Do lasu bał się iść,
Ze strachu drżał jak liść,
Pluszowy miś.
Ciemny las,
Tam wilki zjedzą nas,
Wracajmy bracia wraz,
Dopóki czas!*

*Nie bój się,
Wilki nie zjedzą cię!
Będziemy bronić się,
Nie damy się!
Śmiało w przód
Po słodki wonny miód,
Jagody, istny cud,
Użyjem w bród!*

Słowa były tak monotonne i irytujące, że Dee miała ochotę podejść do skaczących dziewczynek i klapssem zmusić je do milczenia. Gdy zdała sobie z tego sprawę, potrząsnęła głową zdumiona własną reakcją. Jakakolwiek trucizna rozprzestrzeniła się po boisku, dotarła także do niej.

Osei nie uważał się za gniewną osobę. A napotkał na swojej drodze wielu rozgniewanych uczniów: na nauczycieli, którzy byli niesprawiedliwi, na rodziców, którzy wiecznie czegoś im odmawiali, na kolegów, którzy okazywali się nielojalni. Niektórzy nawet wyrażali głośno swój gniew na wydarzenia rozgrywające się na świecie, takie jak wojna w Wietnamie czy afera Watergate. Oczywiście jego siostra Sisi chodziła ostatnimi czasy wiecznie zagniewana. W minionym roku narzekała na białasów, na polityków, na czarnych Amerykanów, którzy lekceważą Afrykanów, i na Afrykanów, którzy zbyt liczą na Zachód. Skarżyła się nawet, że Martin Luther King jest nazbyt bierny. Czasami ojciec wdawał się z nią w dyskusję, co zawsze kończyło się napomnieniem z jego strony, aby nie ważyła się nigdy więcej wyrażać o Martinie Lutherze Kingu z takim brakiem szacunku. Jednakże złość Sisi była tak wyczerpująca, że na ogół rodzice tylko wymieniali znużone spojrzenia, a raz nawet Osei ze zdziwieniem zobaczył, jak mama przewraca oczami, co jego zdaniem było domeną dziewczynek w jego wieku.

– Jest przekonana o własnej nieomyślności – stwierdziła kiedyś mama i bynajmniej nie był to komplement pod adresem Sisi.

Osei był zdania, że niełatwo wprawić go w gniew. Ojciec często mu przypominał, że złość to rozwiązanie dla leniwych. Znacznie trudniej, niż się rozgniewać, jest zapanować nad sobą i rozwiązać problem spokojnymi słowami i czynami. Na tym polega bycie dyplomatą, którym Osei może zostanie w przyszłości, na co miał nadzieję jego ojciec. Dyplomatą albo inżynierem. Nikogo nie dziwiło, że tata ani razu

nie zasugerował, aby Sisi podjęła pracę w dyplomacji.

Dlatego Osei zdumiał się, kiedy gniew zaczął w nim narastać jak woda w przybierającej rzece. Przez moment nic nie było widać, lecz później woda była już wszędzie tam, gdzie być nie powinna: na polach uprawnych, drogach, w domach, szkołach i przedszkolach. Stało się i nic nie można było na to poradzić.

Złość pojawiła się w chwili, gdy Dee poczęstowała Caspera truskawkami, a nasiliła się, kiedy Dee zaczęła bronić przed nim Caspera. Jednakże punktem przełomowym, w którym woda przerwała tamy i przelała się, był moment, kiedy Osei zobaczył różowy piórnik w rękach Blanki. Po części chodziło o uczucie niedorzeczności, że jakaś biała nieznana mu dziewczynka trzyma coś, co tak silnie kojarzyło mu się z siostrą, gdy była młodsza, radośniejsza, bardziej komunikatywna i siostrzana. Teraz piórnik był przekazywany z rąk do rąk na boisku, odłączony od swej historii, jakby nie miało najmniejszego znaczenia, że kiedyś należał do Sisi – jakby sama Sisi nie miała znaczenia, a przecież liczyła się dla O bardziej niż ktokolwiek inny. Nawet bardziej niż Dee, uświadomił sobie nagle Osei. Dee jeszcze nie zdążyła się rozgościć w jego sercu. A obecnie Osei wątpił, czy kiedykolwiek do tego dojdzie.

Ponieważ go okłamała. Powiedziała mu, że zostawiła piórnik w domu, a najwyraźniej tego nie zrobiła. Oddała go bądź wyrzuciła, w każdym razie jakimś sposobem piórnik trafił w ręce Blanki. Sympatii Caspera. No tak, oczywiście, Casper też miał z tym jakiś związek. Osei nie wiedział jaki dokładnie, lecz wyczuwał zależność, którą dodatkowo potwierdził Ian. Kłamstwo Dee i współudział Caspera napierały na niego, budując w nim napięcie, które groziło w każdej chwili eksplozją.

Z pierwszej bazy przyglądał się Blance, która siedziała na pokładzie okrętu pirackiego z różowym piórnikiem na kolanach i muskała palcami

truskawki jak każda dziewczynka przed nią. Później widział, jak popędziła do Caspera, i musiał być świadkiem ich publicznego pocałunku, gdy Ignełi do siebie pomimo dzielącego ich ogrodzenia – i wtedy Blanca upuściła piórnik na ziemię. To sprawiło, że jego gniew wypłynął na powierzchnię. Teraz brakowało tylko iskry.

Tą iskrą była Dee. Kiedy dzwonek ogłosił koniec przerwy, Blanca i Casper dalej się całowali, a porzucony piórnik wciąż leżał na ziemi, Dee podbiegła do niego.

– Osei, co...

Nie miała szansy dokończyć. Nie chciał stawiać jej czoła, nie chciał jej wysłuchiwać, nie chciał być karmiony kolejnymi kłamstwami ani tym bardziej traktowany najpierw jak sympatia, a zaraz potem jak nowy czarny chłopiec w szkole dla białych dzieci. Był czarną owcą z Czarnego Łądu. Wylądował na czarnej liście jako czarny charakter. Został oczerniony. To był dla niego czarny dzień.

Tama trzymająca w ryzach jego gniew puściła.

– Zostaw mnie w spokoju! – wrzasnął i popchnął ją mocno, tak mocno, że Dee zamachała rękami zupełnie jak postać z kreskówki łapiąca powietrze, po czym przewróciła się na plecy.

Przyprawiający o mdłości odgłos zderzenia jej czaszki z asfaltem sprawił, że dzieci zafascynowane sceną z udziałem Blanki i Caspera odwróciły nareszcie wzrok i skupiły uwagę na nowym dramacie.

– Dee! – wykrzyknęła Mimi. Błyskawicznie podbiegła i uklękła obok koleżanki. Dee leżała na wznak z zamkniętymi oczami. – Dee, nic ci się nie stało?

Kiedy Mimi delikatnym ruchem odgarnęła jej włosy z twarzy, Dee zatrzepotała powiekami i rozchyliła je.

Osei zawisł nad nimi, nagle zawstydzony i bezradny.

Dee rozejrzała się wokół siebie nieprzytomnym wzrokiem, wzdrygnęła się, kiedy napotkała wzrok O.

– Nic mi nie jest.

Mimi popatrzyła na niego.

– Co ci strzeliło do głowy? – syknęła. – Zwariowałeś? Dlaczego to zrobiłeś?

Osei zwiesił głowę przepętniony niesmakiem do samego siebie. Jednakże gniew mu nie minął, sprawił tylko, że stał bez ruchu, bez słowa, ze zwieszonymi wzdłuż ciała rękami.

Słyszając kroki z tyłu, zrozumiał, że nadchodzą nauczyciele. Zamknął oczy, tylko na moment, chociaż wiedział, że to nic nie da: nie zostanie cudownie przeniesiony z dala od tego boiska i białych ludzi, szczególnie białych nauczycieli, którzy zaraz na niego naskoczą. Domyślał się, co zaraz będzie: zostanie skrzyuczany, odesłany do dyrektorki, zawieszony w prawach ucznia. Na myśl o minie matki w chwili, gdy dowie się, co zrobił, poczuł mdłości.

– Co tu się dzieje? – Pani Lode uklękła po drugiej stronie Dee. – Boli cię coś, Dee?

– Osei popchnął Dee! – zawołał z oburzeniem Rod spośród tłumku dzieci. – Przewrócił ją, czarny sukinsyn!

– Nie przeklinaj, Rod! – upomniała go pani Lode.

– Ale to prawda!

– Dosyć tego. Kolor jego skóry nie ma z tym nic wspólnego. Dee, dasz radę usiąść?

Pani Lode i Mimi pomogły dziewczynce podnieść się do pozycji siedzącej. Dee wydawała się wciąż oszołomiona.

– No dobrze, a teraz powiedz, gdzie cię boli.

Dee przyłożyła dłoń do potylicy.

– Tutaj.

– Czujesz zawroty głowy?

– Trochę tak. – Nie patrzyła na O.

Do rozmowy wtrącił się pan Brabant.

– Niech się wszyscy ustawią w szeregu przed wejściem – polecił. Ostry ton jego głosu sprawił, że czar prysnął i uczniowie zaczęli się rozchodzić. – Osei, ty zostań – dodał wychowawca, widząc, że Osei odwraca się, aby podążyć za resztą dzieci w stronę budynku. – Co jej zrobiłeś?

Osei milczał.

– On nic nie zrobił – odpowiedziała za niego Dee. – Ja... ja podbiegłam do niego, potknęłam się i przewróciłam. To wszystko.

Mimi drgnęła.

– Dee, to nie...

– To nie jego wina. On próbował mnie podtrzymać.

Pan Brabant uniósł brwi.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Zachowałam się niezdarnie. Wie pan, jaka potrafię być niezdarna.

– Gdybyś się potknęła, upadłabyś do przodu, mam rację? Nie do tyłu. Uczyłem was o pędzie.

– Potknęłam się – upierała się Dee, podnosząc się na nogi. – Nic mi się nie stało. Naprawdę.

W dalszym ciągu unikała O wzrokiem.

Wychowawcy wymienili spojrzenia.

– No dobrze – odezwał się znów pan Brabant. – Idź do higienistki, niech cię obejrzy i przyłoży ci woreczek z lodem do guza na głowie. Pójdiesz razem z nią, Mimi. Zaopiekuj się koleżanką. I zaplec jej warkocze. Mama Dee będzie niezadowolona, jak ją taką zobaczy, a my będziemy mieli za swoje.

Osei nie podążył wzrokiem za odchodzącymi dziewczynkami, lecz trzymał oczy wbite w ziemię. Nie śmiał ich podnieść. To, że Dee się za nim wstawiła, nie polepszyło sprawy, tylko ją pogorszyło. Gniew, zamiast ustąpić, skryształizował się w twardą kulę na dnie żołądka.

Z tym że teraz Osei nie gniewał się na Dee, ale na siebie. *Popchnąłeś dziewczynkę*, powtarzał sobie w myślach. *A tak się nie robi*. Mama będzie przerażona. Nie nakrzyczy na niego ani się nie rozpłacze, lecz zwyczajnie się od niego odwróci. Nawet Sisi, tak rozgniewana na białych, nie pochwaliłaby jego uczynku.

Stojąc ze zwieszoną głową i czując na sobie spojrzenia obojga nauczycieli, czekał na wyrok.

– Naoglądałem się takich jak ty. Zamierzasz sprawiać nam kłopoty? – zapytał cicho pan Brabant.

– Nie, proszę pana – odpowiedział odruchowo Osei.

– Bo my tutaj nie pobłażamy takim zachowaniom.

– Oczywiście, proszę pana.

– Masz szczęście, że chodzisz z dziewczynką, która jest skłonna kłamać dla ciebie. Bóg jeden wie dlaczego.

Osei przyglądał się badauczo asfaltowi, na którym niejeden uczeń rozbił sobie kolano. Zaczął się zastanawiać, dlaczego szkolne boiska nie są porośnięte przyjaźniejszą dla dzieci trawą.

– Nie spodziewałem się wiele po cza... – Pan Brabant zerknął na koleżankę i odchrząknął. – Nie spodziewałem się wiele po tobie. Dlatego nie jestem zdziwiony. Ale jeśli wydarzy się coś jeszcze i ty będziesz w pobliżu, skończy się to wydaleniem ze szkoły bez względu na to, co będzie miała do powiedzenia jakaś ładna dziewczynka. Słyszysz?

Osei zacisnął zęby z taką mocą, że groziło im połamanie, po czym niechętnie skinął głową.

– W porządku. – Pan Brabant podniósł głos. – Co tu jeszcze robicie? Czemu nie stoicie w szeregu? Zanim policzę do dziesięciu, macie wszyscy znaleźć się przed wejściem. W przeciwnym razie ktoś tutaj zostanie po lekcjach za karę...

Oboje nauczyciele ruszyli za uczniami nieśpiesznym krokiem. Osei

powlókł się w tyle; nie byłby w stanie znieść upokorzenia i biec przed nimi w podskokach, nawet jeśli groziło mu za to zostanie po lekcjach.

– Richardzie, ja... – zaczęła pani Lode i zawahała się.

– Co? – warknął pan Brabant takim głosem, jakby zwracał się do ucznia. – Wybacz, Diane, o co chodzi?

– No więc... tak się zastanawiam, czy nie jesteśmy dla niego za surowi.

– Za surowi? Przecież on właśnie przewrócił koleżankę!

– Tak, ale... To z pewnością nie jest dla niego łatwe, pierwszy dzień w nowej szkole...

– Życie to nie bajka. Dla nikogo. A co do O, osobiście jestem zdania, że ma za łatwo. Gdy dorośnie, dostanie dobrą pracę dzięki akcji afirmatywnej. Dobrą pracę, którą powinien wykonywać ktoś bardziej wykwalifikowany.

– Czy to się przydarzyło... Nieważne. – Pani Lode westchnęła. – Boże, co dziś jest nie tak? Najpierw Casper, teraz to. Może czegoś im dosypali do obiadu?

– Naprawdę nie rozumiesz? – Pan Brabant przybrał ponury ton. – Ta szkoła nie jest gotowa na czarnych uczniów.

– Chyba masz rację.

– A dzień jeszcze się nie skończył. Wprawdzie mówią, że nieszczęście chodzą parami, ale...

Ból głowy minął jak ręką odjął i wszystko nabrało znów ostrości. Mimi czuła się tak, jakby patrzyła przez lornetkę, kalibrując ją i kalibrując, aż wreszcie obraz stał się wyraźny, a ona w miejsce zamazanych plam zobaczyła kontury.

Może to dzięki temu, że Ian zostawił ją w spokoju. Od poniedziałkowego przedpołudnia przy maszcie, kiedy zgodziła się być jego sympatią, miała wrażenie, że jego zainteresowanie dusi ją i przygniata niczym ciężka kołdra. Nawet gdy nie było go w pobliżu, czuła jego obecność – bądź to za sprawą Roda, który kręcił się koło niej

i o wszystkim donosił Ianowi, bądź za sprawą tego, że wszystko, co działo się na boisku, kręciło się w jakiś sposób wokół Iana, nawet jeśli tylko nieliczni byli jego zwolennikami, a większość dzieci zwyczajnie się go bała i unikała go ze wszystkich sił. Na krótko Mimi dostała się w samo centrum wydarzeń, ale było to dla niej tak dziwne, że ledwie dawała radę funkcjonować – jako uczennica, jako sympatia, jako koleżanka. Kupienie sobie wolności dzięki różowemu piórnikowi było warte swojej ceny, szczególnie że już podczas ostatniego meczu Mimi poczuła się nieistotna. Ian przeniósł uwagę na innych, a ona mogła nareszcie odetchnąć pełną piersią, mogła zamknąć oczy i odnaleźć swoje dawne miejsce nienarażone na ciągłą inwigilację.

Mimo to miała wyrzuty sumienia. Instynktownie czuła, że odkąd Ian wszedł w posiadanie różowego piórnika, a także adresu i numeru telefonu O, można spodziewać się tylko kłopotów. Żałowała teraz, że jednak nie usunęła kartki z piórnika. Najbardziej zaś męczyło ją to, że pozbyła się przedmiotu, który tyle znaczył dla Dee. Była to zdrada w najczystszej postaci.

Mimi westchnęła. *Przynajmniej mogę pomóc Dee teraz, to też jest coś warte*, pomyślała, biorąc koleżankę pod rękę i prowadząc ją schodami do higienistki.

Gabinet szkolnej higienistki, pani Montano, był ciasny i zagracony. Przylegała do niego bezpośrednio niewielka łazienka. Pani Montano wiecznie słuchała tej samej stacji radiowej, nadającej z Waszyngtonu głównie muzykę. Nie było ucznia, który by choć raz nie odwiedził jej gabinetu, czy to ze skaleczeniem, bólem brzucha czy z gorączką. Mimi była chyba najczęstszym gościem z powodu bólów głowy. Dzisiaj drzwi były uchylone, ze środka wydobywały się dźwięki z najnowszej płyty Paula McCartneya, a także ciche szlochy i napomnienia higienistki, że małe dzieci są odważniejsze.

Dziewczynki zajęły miejsca na krzesłach ustawionych na korytarzu.

Naprzeciwko siebie miały przyklejone do ściany plakaty. Przypomnienie, aby po wyjściu z ubikacji myć ręce. Jak sobie radzić z plagą wszy. Objawy ospy wietrznej, świnki, różyczki. Reklamy szczepionek na ospę i polio. Zachęty do zbadania sobie płuc i oczu. Mimi poczuła znużenie od samego patrzenia na te wszystkie informacje uznane za ważne. Dorośli potrafią uczynić świat groźnym miejscem. Przez moment żałowała, że nie ma z nimi jej mamy, która zdjęłaby jej z barków brzemień odpowiedzialności.

Z gabinetu dobiegły kolejne wrzaski. Mimi uznała, że to jakiś drugo- lub trzecioklasista rozbił sobie kolano, które teraz higienistka przemywa jodyną. Nasłuchiwała się pod gabinetem tyłu wrzasków, że potrafiła je wszystkie rozróżnić.

Dee siedziała odchyłona na oparciu, z zamkniętymi oczami. Mimi chciała ją zapytać, jak się czuje. Właściwie chciała zapytać ją o wiele spraw i wiele jej powiedzieć. Z własnego doświadczenia wiedziała jednak, że zamęczenie obolałej osoby nie jest najlepszym pomysłem. Postanowiła więc wykazać się praktycznością.

– Przyniosę trochę wody. Napijesz się?

– Tak, poproszę.

Mimi sięgnęła po dwa kolorowe kubeczki dla dzieci z podajnika na ścianie i podeszła do umywalki na korytarzu, aby je napełnić. Kiedy wróciła, w radiu śpiewała grupa Steely Dan, a Dee płakała. Mimi usiadła i wręczyła koleżance kubek.

– Wypij.

Dee wypijała wszystko duszkiem, po czym zmięła kubek, nie oglądając obrazka. Mimi, sącząc swoją wodę, zerknęła na żart rysunkowy zdobiący jej kubeczek. „Co to jest para wodna? Dwie rybki”. Nie rozśmieszyło jej to.

– No dobrze – powiedziała. – Zaplotę ci warkocze. Jeden czy dwa?

– Jeden.

- Francuski?
- Może być. Chociaż nie, normalny. Najzwyczajniejszy.
- Odwróć się.

Dee usłuchała, a Mimi okręciła się bokiem na krzeselku i zgarnęła wszystkie włosy koleżanki na plecy. Następnie zaczęła rozczesywać grube jasne pasma palcami, aby je okiełznać. Rzadko kiedy widywała włosy Dee rozpuszczone. Pomyślała, że szkoda je zaplatać. No ale z jakiegoś powodu rozpuszczone włosy nie podobały się dorosłym.

Mimi rozdzieliła włosy na trzy części.

- A teraz powiedz, co jest nie tak - poprosiła, kiedy już zaczęła przekładać pasma.

- Och... - Dee potrząsnęła głową. - Wszystko w porządku.

- Wcale nie. Co tam się tak naprawdę stało?

Mimi siedziała wtedy na ławce z przymkniętymi oczami, marząc o tym, aby znaleźć się z dala od szkolnego boiska, dlatego zobaczyła tylko upadek Dee i usłyszała uderzenie głową o asfalt. Zdążyła jednak dostrzec wyraz wściekłości w oczach O, stąd domyśliła się, że Dee jednak się nie potknęła, tak jak twierdziła.

- Nie rozumiem, czemu się na mnie gniewa. - Dee otarła oczy dłonią.

- Nie mam pojęcia, co takiego zrobiłam. Wszystko było dobrze, aż tu nagle... przestało. Zupełnie jakby ktoś przekręcił przełącznik. Albo jakby ktoś mu coś o mnie powiedział. Ale co ktoś mógłby mu powiedzieć? Nie robiłam nic złego! Oprócz...

- Oprócz czego?

Dee pokręciła głową.

- Nie, nic.

Gdy stało się jasne, że nie powie nic więcej, Mimi również pokręciła głową.

- Chłopcy są dziwni.

- Czy ty i Ian...

– Właśnie ze sobą zerwaliśmy.

Mimi pomyślała o transakcji: różowy piórnik za zerwanie, i natychmiast poczuła ucisk w żołądku. Powinna powiedzieć o tym Dee. Ale czy zdobędzie się na odwagę?

Dee odwróciła się, aby na nią spojrzeć.

– Och! To... – Przełknęła ostatnie słowo, lecz wyglądała na zachwyconą, co zraniło Mimi bardziej, niż się spodziewała. Najwyraźniej Dee kwestionowała jej decyzję, nawet jeśli nie powiedziała nic na ten temat.

– Dobrze – dokończyła za nią Mimi. – Tak, wiem. Nie mam pojęcia, co mnie podkuśiło, żeby z nim zacząć chodzić.

– Cóż... – Dee uśmiechnęła się po raz pierwszy od upadku. – Wszystkie się nad tym zastanawialiśmy. Ian jest tak bardzo różny od ciebie.

– Chyba pochlebiało mi jego zainteresowanie. Wcześniej żaden chłopiec nie chciał ze mną chodzić. Bo jestem dziwaczna.

– Wcale nie!

– Właśnie że jestem. Przecież wiesz. Zawsze trzymam się z boku. Nic mi nie wychodzi. Nie mam dobrych stopni, nie potrafię szybko biegać, nie umiem rysować ani śpiewać. No i wciąż boli mnie głowa. Wszyscy uważają mnie za czarownicę czy coś. Nie mogę uwierzyć, że jesteś moją najlepszą koleżanką.

Szczególnie że rozdaję twoje rzeczy i okłamuję cię, dodała w myślach.

– Nie bądź niemądra. Jesteś najbardziej interesująca w całej szkole, nie licząc O, rzecz jasna.

Mimi poczuła ukłucie zazdrości i miała ochotę pociągnąć Dee za włosy. Nie zrobiła tego jednak. Wzięła się w garść, skończyła splatać pasma i przytrzymawszy mocniej luźny koniuszek, rzuciła:

– Gotowe. Masz gumkę?

Dee włożyła rękę do kieszeni dzinsów.

– Świetnie skaczesz na skakance – powiedziała, podając jej purpurową gumkę.

Mimi nie była pewna, czy Dee nie żartuje, roześmiała się więc.

– Tak, to mi nieźle wychodzi. – Puściła warkocz. – No, bardzo proszę.

– Dziękuję. – Dee z powrotem odchyliła głowę na ścianę. Zaraz jednak się skrzywiła i złożyła policzek w dłoni. – Auć.

– Guz?

– Tak.

– Mocno się uderzyłaś. Nie czujesz zawrotów głowy ani nudności?

– Nie.

– To dobrze. Prawdopodobnie nie masz wstrząśnienia mózgu. To właśnie powinna sprawdzić higienistka.

Zamilkły. Teraz był właściwy moment, żeby Mimi wyznała koleżance prawdę o piórniku. Przełknęła ślinę, otworzyła usta – nic jednak się z nich nie wydobyło. Trudno było się przyznać do złego postępuku. Poza tym ze splecionymi w warkocz włosami Dee wydawała się spokojniejsza, bardziej podobna do dawnej siebie. Mimi nie chciała jej od nowa denerwować.

Za uchylonych drzwi doleciały słowa następnej piosenki. Chwila na zwierzenia minęła. Mimi i Dee usiadły prosto.

I heard he sang a good song

I heard he had a style

And so I came to see him

To listen for a while...

Nawet zwykły tranzystor nie potrafił zniekształcić głosu Roberta Flack. Wszystkie dziewczynki zwariowały na punkcie tej piosenki, gdy stała się modna przed ponad rokiem. W tym roku szkolnym jedna piątoklasistka wygrała szkolny konkurs, śpiewając właśnie tę piosenkę,

choć Mimi słyszała, jak pan Brabant mówił do pani Lode, że to kompletnie nieodpowiedni tekst dla dziesięciolatki. Teraz Dee zaczęła nucić do melodii.

Strumming my pain with his fingers
Singing my life with his words
Killing me softly with his song...

Nagle umilkła.

– Och, Mimi. Nie wiem, co robić.

– Osei ci się podoba?

– Tak. Bardzo. Dobrze się czułam w jego towarzystwie. Jest taki inny od reszty dzieci.

Mimi się nie odzywała, wmawiając sobie w duchu, że koleżanka nie chciała jej urazić.

– Był w tyłu miejscach i ma tyle do powiedzenia. Przy nim każdy wychodzi na nudziarza. Ja także. Mieszkanka nudnego przedmieścia. Dzięki O chcę zakosztować przygód, chcę częściej jeździć do centrum. Kiedy ostatnio byłaś w Waszyngtonie?

– Na Wielkanoc. Pokazywaliśmy naszym kuzynom pomnik Waszyngtona.

– A ja chciałam poprosić O, żeby pojechał ze mną autobusem... na przykład do Georgetown.

– Co by powiedziała twoja mama?

– Moja mama? A kogo ona obchodzi?

Dee poczuła, jak znów wzbiera w niej bunt, który wcześniej przejawiał się w obliczu pana Brabanta.

– Nieważne – wycofała się szybko Mimi. – Zawsze możesz jej powiedzieć, że idziesz do mnie.

– Nie będę potrzebowała alibi, jeśli Osei nie przestanie się na mnie gniewać. Czuję, że musimy się albo przeprosić, albo zerwać ze sobą

na dobre.

– Czy on cię popchnął tam, na boisku?

Dee nie odpowiedziała.

– Bo jeśli tak, to niedobrze, prawda?

– To był wypadek. Jestem pewna, że nie chciał mnie skrzywdzić.

– Naprawdę?

– Bardziej martwi mnie to, jak zachowywał się w stosunku do mnie przedtem, podczas gry w piłkę, a nawet jeszcze wcześniej. Skąd w nim taka nagła zmiana? W jednej chwili był taki troskliwy, a w drugiej zagniewany i zdystansowany.

Mimi wzruszyła ramionami.

– Nie rozumiem chłopców. A oni nie rozumieją nas.

– Auć! – doleciało z gabinetu.

A potem:

– Jimmy, już prawie skończyłam! Siedź spokojnie!

He sang as if he knew me

In all my dark despair

And then he looked right through me

As if I wasn't there.

Dee znowu płakała. Mimi wiedziała, że najlepiej będzie zostawić koleżankę w spokoju.

Może zdoła odzyskać różowy piórnik, zanim Ian zdąży z nim cokolwiek zrobić – sprzedać czy co tam zamierzał. Zbierze się w sobie i poprosi go.

W gabinecie rozległy się szmery. Dee zdążyła wytrzeć oczy, zanim drzwi otworzyły się na oścież i na korytarz wyszedł, utykając, mały chłopiec, który miał bandaż na kolanie i łokciu. Za nim pokazała się pani Montano ubrana w biały kitel i z twarzą jak zwykle niewzruszoną.

– Wracaj do klasy, Jimmy – powiedziała. – I następnym razem patrz,

gdzie idziesz. Och, ci chłopcy... – mruknęła, po czym zwróciła się do Mimi i Dee. – No dobrze, dziewczęta. Co to, znów boli cię głowa, Mimi?

– Nie, proszę pani. Przyprowadziłam Dee. Pani Lode mi kazała. Dee uderzyła się w głowę.

– Ach tak? Dee, wejdź do środka, zbadam cię. – Skinęła Mimi głową. – A ty możesz wracać na lekcję. Jeśli to jakaś drobnostka, Dee wróci do klasy sama. Ale jeśli to coś poważniejszego, odeślę ją do domu.

Rzeczowość higienistki uspokoiła Mimi, która nagle poczuła, jak brzemień odpowiedzialności spada z jej barków. Niech dorośli się o wszystko zatroszczą.

Uścisnęła rękę Dee.

– Do zobaczenia później.

Dee kiwnęła głową i wstała, aby ruszyć za higienistką do gabinetu.

– Dziękuję, Mimi.

– Nie ma za co.

Gdy higienistka i Dee zniknęły za drzwiami, Mimi dalej siedziała na swoim miejscu, czekając, aż Roberta Flack skończy wyśpiewywać swoją piosenkę i swój ból, a także zastanawiając się, co puszcza w radiu po niej i czy dostanie jeszcze jakiś znak. Nie mówiła o tym Dee ani nikomu innemu, ale czasami – gdy była zdezorientowana – wypatrywała znaków. A w tej chwili jej mózg się gotował; musiała dać mu coś, dzięki czemu uporządkuje wypadki dnia.

Kiedy Dr John zaczął śpiewać o tym, że znalazł się we właściwym miejscu o niewłaściwym czasie, Mimi pokiwała głową. Zrozumiała przesłanie: cały dzisiejszy dzień był niewłaściwym czasem. Mimi nie mogła się doczekać jego końca.

Część piąta

PO SZKOLE

*Zuzia lalka nieduża
I na dodatek cała ze szmatek
W kratkę stara spódniczka
Łzy na policzkach
A w główce marzeń sto.*

*Zuzia lalka nieduża płaszczyk za krótki
Zbyt duże butki
Fartuch biały z kieszonką
W kieszonce słońko
A w główce marzeń sto.*

*Zuzia lalka niewielka
Bródka malutka
Nos jak muszelka
Oczy ma jak pięć złotych
Wełniane loki
A w główce marzeń sto.*



Dee ulżyło, gdy rozległ się ostatni dzwonek. Miała takie wrażenie, jakby wyczekiwała go godzinami. Kiedy wróciła od higienistki, już po sprawdzianie z gramatyki, Osei nie uśmiechnął się do niej, gdy siadała, a potem ignorował ją przez resztą popołudnia. Czuła od niego lodowaty powiew, kiedy siedzieli obok siebie na plastyce i robili kartki z okazji Dnia Matki, wykorzystując kolorowy papier, czasopisma, bibułkę, pozłotkę i inne materiały, które znalazły się na ławkach. Taka jawna wrogość była szczególnie bolesna, gdy doświadczało się jej od osoby, która siedziała bezpośrednio obok.

Dee uwielbiała plastykę, gdyż wtedy miejsce pana Brabanta zajmowała pani Randolph i atmosfera nagle stawała się łagodniejsza i mniej sztywna. Podczas zajęć można było rozmawiać z kolegami, pod warunkiem że miało się zajęte ręce. Pani Randolph zachęcała ich do tego.

– Najlepiej tworzy się w uczuciu odprężenia i wolności – twierdziła, machając rękami, na których miała mnóstwo brzęczących bransolet. Zawsze malowała usta na krwistoczerwono, co podkreślało drobniutkie zmarszczki w kącikach jej warg. – Światło. I namiętność. Oto nasze cele. *Comme les Français.*

Pani Randolph odwiedziła kilkakrotnie Paryż i lubiła o tym przypominać swoim uczniom, wtrącając francuskie wyrażenka.

Chciała, aby zrobili dla swoich mam wyjątkowe kartki okolicznościowe, z czymś więcej niż tylko rysunek kwiatów i napis

„Wszystkiego najlepszego, Mamo”

– Spójrzcie na te wszystkie materiały, których możecie użyć – powiedziała. – Poczujcie je. – Podrzuciła kawałek bibułki w powietrze, przekartkowała jakieś czasopismo, pomachała fiolką z pozłotką. – Dajcie się ponieść. Pomyślcie o swojej mamie i o wszystkim, co dla was zrobiła – dodała, widząc puste spojrzenia uczniów. – Pomyślcie o tym, jak bardzo was kocha i ile poświęciła w imię waszego szczęścia. Postarajcie się wyrazić swoją miłość do niej na tym kartoniku. – Uniosła jedną ze sztywnych kartek, które wcześniej rozdała. – Wyrażcie siebie i złóżcie hołd swoim mamom. *Ah, l'amour pour la mère, c'est merveilleux.*

Dee zachichotała nerwowo i kątem oka spojrzała na O. Chłopiec miał wzrok wbity w ławkę, a wyraz twarzy zacięty. Dee zagryzła wargę i powiodła spojrzeniem do Patty, która robiła współczującą minę.

– Jak tam twoja głowa? – zapytała znacząco, rzucając na O surowe spojrzenie spod zmarszczonych brwi. Zupełnie jakby chciała przypomnieć Dee, że powinna się na niego gniewać.

Osei drgnął.

Przypomnienie przyszło w samą porę. Tak, powinna się na niego gniewać. Popchnął ją i zrobił jej krzywdę. Dlaczego jeszcze nie przeprosił Dee? Miała wszelkie prawo miażdżyć go spojrzeniem, a nawet domagać się zmiany miejsca, aby nie siedzieć obok niego. Przez moment rozważała, czyby się nie przenieść do sąsiedniego skupiska ławek, na puste miejsce obok Caspera. Każda inna dziewczynka tak właśnie by zrobiła. Blanca wszczęłaby przy tym zamieszanie, zadowolona, że ma powód zwrócić na siebie uwagę.

Tymczasem Dee nie czuła złości, tylko wyrzuty sumienia – jakby to ona była winna przeprosiny jemu, a nie na odwrót. W jej odczuciu Osei miał prawo się na nią rozgniewać i popchnąć ją. Był czarny, a oni przez cały dzień traktowali go inaczej, niżby traktowali innego nowego ucznia. Dee zdawała sobie sprawę, że zainteresowała się O właśnie dlatego,

że był czarny, co niekoniecznie stanowiło dobry powód do zawarcia z kimś znajomości. W tej chwili obserwowała jego ręce, barwy porannej kawy ojca, kiedy wycinały z kolorowego papieru coś, co przypominało przekrzywione serce. Paznokcie miał Osei długie, obcięte na kwadratowo i bardzo różowe.

– Dee?

Podskoczyła, słysząc swoje imię. Patty nie odrywała od niej wzroku.

– Nic mi nie jest – zapewniła ją Dee. – Głowa nawet mnie nie boli.

Sięgnęła po pierwszą z brzegu rzecz, nie wiedząc, co ma z nią zrobić.

– A kogo my tu mamy? – Pani Randolph podeszła tanecznym krokiem do ich ławki. – Musisz być nowym uczniem. Inaczej z pewnością bym cię pamiętała! – Uśmiechnęła się do O.

Czerwona szminka zabarwiła jej siekacze.

Osei zamarł, ale nie podniósł wzroku.

– Tak, proszę pani.

Pani Randolph się zaśmiała.

– Och, nie musisz być przesadnie grzeczny! Jak masz na imię?

– Osei.

– Co za ciekawe imię! No więc, Osei, możesz mówić do mnie Kay. – Pani Randolph zawsze namawiała uczniów, żeby zwracali się do niej po imieniu. Oczywiście nikt tego nie robił. – Nie dzieli nas żadna hierarchia. Sztuka nie zna granic. Chodzi w niej wyłącznie o wyrażanie siebie. A dzisiaj wyrażamy swoją miłość i szacunek do mam. Jaką kartkę zrobisz dla swojej mamy?

Dee chciała mu powiedzieć, aby się nie przejmował, bo pani Randolph często uczepia się kogoś w taki właśnie zenujący sposób. Trzeba było zacisnąć zęby i pozwolić, żeby fala jej zainteresowania się przetoczyła, po czym po odejściu nauczycielki można było się rozluźnić i śmiać z niej za plecami. Z tym że naturalnie Dee nie mogła się do niego odezwać, skoro tak wyraźnie ją ignorował.

W końcu Osei spojrzał na panią Randolph i powiedział:

– Wycinam dla niej truskawki. To jej ulubione owoce.

Dee poczuła, jak zaciska się jej żołądek. Pani Randolph klasnęła w dłoń.

– *Formidable!* To wspaniale, że wybrałeś coś, co twoja mama lubi szczególnie. Cudownie! Nie daj się ograniczyć dostępnym materiałom. Nie musisz nawet używać nożyczek, jeśli nie chcesz. Zamiast tego możesz wydierać truskawki z kolorowego papieru, jeśli tak ci wygodniej! Chciałbyś to zrobić? – Gładkie linie z jakiegoś powodu niepokoiły panią Randolph w przeciwieństwie do niechlujstwa.

Osei znowu opuścił wzrok i wrócił do wycinania.

– Wolę nożyczki.

– No tak, no tak! – zawołała nerwowo pani Randolph. – Oczywiście! A ty, Dee, co robisz dla swojej mamy? W jaki sposób chcesz ją uczcić?

– Ja... Ja... – Dee obracała w ręce trzymany przedmiot, nie mając pojęcia, co z nim począć. Jeszcze nie zdecydowała, jaką kartkę wykona. Pani Benedetti nie zaliczała się do osób, które można by „czcić”

– Jagody! – wykrzyknęła pani Randolph. – Czy to nie ulubione owoce twojej mamy? Może wasza ławka będzie owocowa? Osei, właśnie ustanowiłeś modę!

Pani Randolph przyjrzała się z nadzieją kartkom Duncana i Patty, zapewne licząc na to, że zobaczy banany albo pomarańcze. Jednakże Duncan spał z głową złożoną na rękach. Pan Brabant nigdy by mu na to nie pozwolił, ale pani Randolph była znacznie bardziej wyrozumiała. Patty uparcie próbowała stworzyć z bibułki kwiat, czego nauczyła się rok wcześniej, gdy plastykę prowadziła inna, bardziej tradycyjna nauczycielka. Pani Randolph miała przez moment taką minę, jakby chciała wyrwać jej kwiatek z dłoni i podrzeć na strzępy. Nie zrobiła tego jednak, tylko uśmiechnęła się radośnie i ruszyła do następnej ławki.

– Co też tu znajdziemy? Może ulubione warzywa?... – Roześmiała się głośno, sprawiając, że Dee się skrzywiła.

Gdyby Duncan nie spał i gdyby wciąż było rano, a ona i Osei nadal byłiby razem, cała czwórka – nie wyłączając nadętej Patty – natrzęsałaby się teraz z pani Randolph, naśladowując jej sposób mówienia i powtarzając jej słowa, aż zaczęłyby krążyć po szkole jako żart. Ale w tej sytuacji nawet się do siebie nie odezwali, tylko skupili się na pracy nad kartkami, mimo że dookoła wszyscy się przekomarzali.

Patty zapytała, czy może wyjść do łazienki, po czym gdy wróciła, nie podeszła do swojej ławki, lecz zatrzymała się koło koleżanek, aby obejrzeć ich kwiaty z bibułki, dzięki czemu mogła uniknąć ponurej atmosfery, jaka otaczała O i Dee. Dee chciała ją poprosić, żeby do nich wróciła, albo wręcz obudzić Duncana, byle pojawił się jakiś bufor między nią i O. Tymczasem siedzieli sztywno obok siebie, udając, że się nie dostrzegają.

Dee kątem oka obserwowała, jak w rękach O materializuje się kartka. Na przedniej stronie widniały trzy przyklejone do kartonu truskawki, wokół nich Osei zamazał biały karton na różowo, w tym samym odcieniu co piórniki. W środku napisał bardzo oficjalnie, europejskim charakterem z zawijasami przy literach H, P i Y: „Kochana Mamo, życzę Ci szczęśliwego Dnia Matki. Twój syn Osei”

Czy o to się pogniewał, o piórniki? Dee zastanowiła się, gdzie on się może podziewać. Po kryjomu zajrzała do ławki zaraz po powrocie od higienistki, w nadziei że jakimś cudem tam się pojawił, ale niestety tak się nie stało. Mimo że Osei nawet nie odwrócił głowy, Dee czuła, że chłopiec wie, czego ona szuka. Wszystko wskazywało na to, że zgubiła gdzieś piórniki. Będzie musiała zapytać w sekretariacie.

Dziesięć minut przed końcem ostatniej lekcji pani Randolph zaklaskała w dłonie i poprosiła uczniów, aby położyli kartki na ławkach, a potem wstali i obeszlili klasę, oglądając kartki kolegów i koleżanek,

zanim zaczną sprzątać bałagan. Dee zerwała się z miejsca z wielką ulgą. Ostatnie pół godziny zakrawało na karę za zbrodnię, której popełnienia nie była nawet świadoma. W dodatku za namową nauczycielki zrobiła kartkę z jagodami na wierzchu, chociaż jej mama wcale nie lubiła jagód. Wyglądało to tak, jakby odgapiła pomysł od O.

Osei także chętnie opuścił ławkę. Obchodząc klasę dookoła i podziwiając kwiaty z bibułki, rysunki i nieliczne owoce (żadnych warzyw nie było), Dee zdała sobie sprawę, że kątem oka bada, gdzie w danym momencie znajduje się Osei. Wkrótce straciła go z oczu całkowicie, a kiedy się za nim rozejrzała, odkryła, że schronił się w kąciku do czytania, gdzie siedząc na poduchach, właśnie przeglądał pozostawione przez kogoś czasopismo.

– Osei, trzeba posprzątać, zanim zadzwoni dzwonek – zwróciła się do niego pani Randolph.

Osei skinął głową, wstał z poduch i powłókł się do swojej ławki. Dee przypomniała sobie, jakim pewnym krokiem przemierzał boisko przed południem. Gdzie nagle się podziała jego pewność siebie?

Gdy moment później sprząтали razem ławkę, wrzucając do pudełka papiery, kredki i buteleczki z gumą arabską, Osei odezwał się cichym głosem:

– Zostań po lekcjach na boisku. Tam się spotkamy.

Dee skinęła głową z nieszczęśliwą miną. Mama czekała na nią w domu, ale zawsze może jej powiedzieć, że została po lekcjach, aby poskakać na skakance.

Gdy rozległ się dzwonek, odpowiedziała:

– Zaraz tam przyjdę.

Momentalnie wypadła z klasy i pognała do sekretariatu, pod którym stało pudło ze znalezionymi rzeczami.

Kłęcząc na ziemi i przetrząsając zawartość, na którą składało się kłębowisko podobnych do siebie niebieskich blezerów i pojedyncze

trampki, usłyszała, jak zza uchylonych drzwi pani Duke mówi przez telefon:

– Nie, nie zrobił nic złego. Ani nic takiego, co by zasługiwało na karę. Doszło jednak do pewnego incydentu z udziałem dziewczynki... nie, nie tego rodzaju. Po prostu upadła i uderzyła się w głowę. – Chwila milczenia. – Chciałam tylko państwa zawiadomić. – Kolejna chwila milczenia. – Rozumiem. Oczywiście, że trzeba czasu na to, by oswoić się z nowym środowiskiem, szczególnie w... w tych okolicznościach. Możliwe, że państwa syn nie jest przyzwyczajony do standardów zachowania obowiązujących w naszej szkole. – Chwila milczenia. – Nie, bynajmniej nie insynuuję, że... – Kolejna chwila milczenia. – Oczywiście. Nie twierdzą, że popełnili państwo błędy wychowawcze. Dajmy mu czas na zaaklimatyzowanie się, dobrze? Będziemy mieć go na oku. – Chwila milczenia. – Nie, nie trzeba. Porozmawiamy znowu za dwa tygodnie. Pani Kokote, obawiam się, że właśnie zadzwonił dzwonek i czeka mnie narada. Do widzenia. – Rozłączywszy się, pani Duke mruknęła pod nosem: – Boże, daj mi siłę.

Szkolna sekretarka zaśmiała się cicho.

– Niełatwa rozmowa?

– Snobka, ot co. Bogu dzięki, że ten chłopiec będzie z nami tylko przez miesiąc. Niech się z nim męczy w gimnazjum.

– Sądzi pani, że popchnął Dee Benedetti?

Dee zamarła. Gdyby się teraz ruszyła, sekretarka by ją zobaczyła.

– Wiem, że to zrobił. Kilkoro dzieci powiedziało mi, że widziało to na własne oczy. Dee jednak zaprzecza, co podważa moje zarzuty.

– A więc to tak? Zawrócił jej w głowie? Zasmakowała mleka czekoladowego, że tak powiem?

Pani Duke chrząknęła.

– Na to wygląda.

– To nic poważnego – zbagatelizowała sprawę sekretarka. – Dzieciaki

dobierają się w pary na pierwszej przerwie i zrywają ze sobą podczas obiadu. Taki to już wiek.

– No nie wiem. Diane powiedziała mi, że Dee rozplotła warkocze i pozwoliła mu dotknąć swoich włosów. Jej matka będzie z tego niezadowolona. Aż się boję do niej zadzwonić. Sama wiesz, jaka jest pani Benedetti.

– O, tak. – Sekretarka ponownie się zaśmiała. – Dee właściwie nie złamała regulaminu. Nie musi pani dzwonić do jej matki.

– Muszę ją powiadomić o upadku i guzie na głowie. Powiem jednak tylko, że Dee się potknęła. Na szczęście nie muszę nawet wspominać o tym chłopcu. Nieważne. I tak go przyłapię, z pomocą Dee albo bez.

W tym momencie sekretarka obróciła głowę i dostrzegła Dee przy pudle ze znalezionymi rzeczami.

– Dee, co ty tam robisz?

– Nic! Szukałam czegoś. Ale nie znalazłam.

Zanim Dee się wyprostowała, usłyszała zgrzyt krzesła na posadzce, a następnie odgłosy kroków – i pani Duke stanęła w progu poprzedzana chmurą zapachu perfum. Dyrektorka wydawała się zaskoczona.

– Podśluchiwałaś?

– Nie, proszę pani. Szukałam czegoś w pudle.

– Czego konkretnie?

– Pió... piórnik.

Dee nie była w stanie spojrzeć dyrektorce w oczy, więc wbijała wzrok w jej perłowy naszyjnik. Pani Duke nosiła na przemian perły albo broszkę w kształcie pająka bądź – zwłaszcza zimą – broszkę w kształcie płatka śniegu wysadzaną kryształkami. Dzieci przezywały ją „Pajęczycą”, „Królowa Śniegu” albo „Masa Perłowa” w zależności od aktualnej ozdoby.

– Jak wygląda ten piórnik?

– Jest różowy, ozdobiony truskawkami. Ale tutaj go nie ma. Zgubił

się...

– Rozumiem. W takim razie możesz już iść.

Dee odbiegła, lecz zatrzymała się w miejscu, kiedy pani Duke zawołała za nią:

– Zaczekaj chwileczkę!

Dee odwróciła się posłusznie.

Dyrektorka skrzyżowała ramiona na piersi, jak dorośli często robią, rozmawiając z dziećmi.

– Jak tam twoja głowa?

– Przestała już boleć.

– Niepokoję się o ciebie, Dee. Coś mi się wydaje, że nie mówisz całej prawdy o tym, co się wydarzyło na boisku.

Dee ściągnęła brwi.

– Mówię prawdę. Potknęłam się i upadłam.

– Na pewno?

– Tak.

Dyrektorka przyglądała się jej jeszcze przez dłuższą chwilę. Pod jej spojrzeniem Dee zacisnęła wargi i zadarła brodę. W końcu pani Duke opuściła ręce i obróciła się w stronę gabinetu.

– No dobrze. Tak też powiem, kiedy zadzwonię do twojej mamy – rzuciła przez ramię. – Co zamierzam zrobić za chwilę. Możesz już iść do domu.

Idąc korytarzem, Dee zadrżała na całym ciele na myśl, co by powiedziała jej mama, gdyby się dowiedziała, co naprawdę zaszło na szkolnym boisku.

Przystanąła przed drzwiami wyjściowymi. Osei czekał na nią przy drabinkach. Dee nabrała powietrza w płuca i wyszła na zewnątrz.

* * *

Ian nigdy nie wracał do domu od razu po szkole, chyba że był

deszczowy dzień. W domu nie miał nic do roboty. Jego starsi bracia pojawiali się dopiero później, ale nawet wtedy nie chcieli się z nim bawić. Ilekroć wychodził na dwór, żeby pograć w kosza albo w nogę czy pobawić się w chowanego z innymi dziećmi, one nagle znajdowały wymówki, aby wrócić do domu. Któregoś razu, gdy Ian akurat jeździł na rowerze, odkrył, że ci sami chłopcy, którzy przerwali grę w piłkę na jego widok i opuścili skwer, zebrali się ponownie na pustym parkingu, gdzie podjęli zabawę, lecz bez niego. Nie dał im się zobaczyć, zbyt upokorzony swoim odkryciem. Ale zapamiętał sobie wszystkich i później, na przestrzeni kilku tygodni, mścił się na nich za ten afront. Nie łobuzował jak zwykle; nie żądał pieniędzy ani nikogo nie bił. Działał po kryjomu, w podległy sposób – dziurawił opony rowerowe, macał siostrę w tłumie, rozlewał farbę na ławkę w trakcie przerwy.

Po szkole najchętniej zostawał na boisku. Mimo że większość dzieci rozchodziła się do domów, część zostawała, aby się jeszcze pobawić, i mogła to robić pod okiem dyżurującego nauczyciela. Tym razem dyżur miała pani Lode. I bardzo dobrze – zbyt się go bała, aby pokrzyżować mu szyki. W tym momencie rozmawiała z rodzicem któregoś z młodszych dzieci z placu zabaw. Za chwilę usiądzie, zacznie czytać książkę i tylko od czasu do czasu będzie unosiła wzrok.

Ian wypatrzył O obok drabinek. Małpi gaj składał się z rusztowań połączonych pod różnym kątem tak, by powstały bryły o wysokości nieprzekraczającej trzech metrów. Choć w okolicy było paru uczniów, żaden akurat się nie wspinał. Być może wszyscy unikali nowego.

Ian nie śpieszył się, podchodząc do niego. Nie było takiej potrzeby, a poza tym groziłoby to utratą godności. Po drodze zatrzymał się obok dziewczynek skaczących na nieśmiertelnej skakance. Po szkole tworzyły się grupy w różnym wieku. Teraz w zabawie uczestniczyła Mimi, która kręciła skakanką z drugą dziewczynką dla skaczącej czwartoklasistki. Dziewczęce głosiki skandowały:

*Zuzia lalka nieduża
I na dodatek cała ze szmatek
W kratkę stara spódniczka
Łzy na policzkach
A w główce marzeń sto.*

*Zuzia lalka nieduża płaszczyk za krótki
Zbyt duże butki
Fartuch biały z kieszonką
W kieszonce słońko
A w główce marzeń sto.*

Ian przyglądał się tylko przez moment; dziewczynka była za mała, aby mieć piersi, które by podskakiwały przy każdym jej ruchu. Gdy odchodził, słyszał za plecami:

*Zuzia lalka niewielka
Bródka malutka
Nos jak muszelka
Oczy ma jak pięć złotych
Wełniane loki
A w główce marzeń sto.*

W drugiej kolejności Ian podszedł do chłopców grających w kamyki i stanął tak, aby jego cień padł na krąg asfaltu. Chłopcy poderwali wzrok rozzłoszczeni i gotowi się poskarżyć, jednakże momentalnie spuścili z tonu, gdy zobaczyli, z kim mają do czynienia. Ian pozostał na miejscu dopóty, dopóki zawodnik nie skusił.

Zanim dotarł do drabinek, doścignął go Rod. Podbite oko nabrało ciemniejszej barwy, choć minęło tylko parę godzin. Ian stwierdził, że adiutant działa mu na nerwy, i to od rana. Dlaczego nie toczy

własnych bojów, dlaczego nie podrywa własnych sympatii? Czyżby nie nauczył się wystarczająco wiele od niego? Snuł się za nim dostatecznie długo, teraz Ian wołał działać sam.

– Czegoś tu nie rozumiem – zaczął Rod. Widząc, że Ian idzie dalej jakby nigdy nic, podbiegł parę kroków do przodu i zastąpił mu drogę.

W Ianie rozgorzał gniew, jednakże chłopiec zdołał się powstrzymać i nie wyrznął Roda w pierś. Rod był nieistotny; Ian musiał zachować siły i środki dla kogoś innego.

– Obiecałeś, że będę chodził z Dee – podjął Rod płaczącym głosem. – A ja teraz nie wiem, z kim właściwie konkuruję. Z nim czy z nim? – Powiódł chudym ramieniem od O stojącego przy drabinkach do Caspera czającego się za rogiem sali gimnastycznej, z dala od oczu pani Lode.

Ian uśmiechnął się do siebie. Casper, ten złoty chłopiec, ostatnio zaczął odkrywać, jak łamać regulamin. Został zawieszony, powinien być więc w domu po drugiej stronie ulicy, gdzie rodzice ukarzą go dodatkowo, zapewne narzucając mu szlaban i cofając kieszonkowe, bo raczej nie używali pasa, na który sobie zasłużył. Tymczasem Casper wrócił do szkoły i najwyraźniej czekał na Blancę. Odkąd zasmakował w łobuzowaniu, nie mógł się powstrzymać.

– Nie rozumiem nawet, po co wdałem się w bójkę z Casperem – dodał Rod. – Casper chodzi z Blancą, widać to jak na dłoni. Sam patrzyłeś, jak się całują na przerwie. Dlaczego mnie na niego napuściłeś? Przecież to on – machnął znów ręką w stronę O, który zmarszczył czoło – chodzi z Dee. I do tego zrobił jej krzywdę! To z nim powinienem się bić. – Zacisnął dłonie w pięści w pokazie odwagi, lecz nie zdołał ukryć strachu w obliczu rywala. – Chociaż nie wiem... Mógłbym oberwać znacznie gorzej niż od Caspera.

– Pewnie tak – zgodził się z nim Ian. – Ale nie martw się. Niedługo wszystko się zmieni. Wytrzymaj jeszcze trochę. I zostaw O mnie. – Ruszył znowu w stronę drabinek, zaraz jednak przystanął, aby

powstrzymać idącego za nim Roda. – Pójdę sam.

Rod cofnął się z miną porzuconego psa. Ian pomyślał, że będzie musiał znaleźć sposób, aby się go pozbyć na dobre. Ale dopiero jutro. Dzisiaj miał inne plany.

Osei obserwował go. Gdy Ian dołączył do niego pod drabinkami, Osei zapytał:

– Czego tamten chciał?

Ian oparł się pośladkami o jeden z metalowych szczebli i rozłożył ramiona na boki, chwytając szczeble sąsiednich drabinek.

– Rod? Nic takiego. Rod się nie liczy.

Osei nie spuszczał wzroku z Roda, który włókł się właśnie w stronę okrętu pirackiego.

– Jesteś pewien? Dlaczego się mną interesuje?

Ian opuścił ręce i zgarbił się nieco.

– Rodowi podoba się Dee. Jest o nią zazdrosny. Zielonooki potwór, tak mój tata mówi o zazdrości. No i... – Wahał się przez chwilę, po czym jednak postanowił dokończyć: – Dee także go lubi.

Osei zeszywniał, potoczył wokół dzikim wzrokiem.

– Co? Jego też?

Ian uśmiechnął się do siebie. Osei został doprowadzony do takiego stanu, że wierzył we wszystko, co usłyszał – nawet w to, że takie nic jak Rod może się spodobać Dee.

– Wygląda na to, że wybrałaś sobie niewłaściwą sympatię. Gdybyś mnie zapytał, tobym ci powiedział.

Osei skrzyżował ramiona na piersi i wetknął dłonie pod pachy. Robił co w jego mocy, aby opanować gniew.

– To ona wybrała mnie – powiedział i zamilkł. – Spotkamy się tutaj za parę minut. Zamierzałem jej powiedzieć, że wszystko jest w porządku, że się na nią nie gniewam. Ale teraz nie mogę jej zaufać, prawda? – Popatrzył na Iana takim wzrokiem, jakby domagał się

utwierdzenia go w tym przekonaniu.

Ian kiwnął głową.

– Pamiętasz różowy piórnik? Teraz ma go Casper.

Mówiąc to, zdawał sobie sprawę, że piórnik zachowa swą moc tak długo, jak długo nikt nie będzie zadawał pytań. Gdy Osei albo Dee zapytają Caspera lub Blancę, skąd wzięli piórnik, na jaw wyjdzie współudział Iana. To był duży minus jego planu. Dlatego musiał uczynić coś więcej, narobić tyle szkód, by ostatecznie nie miało znaczenia, w jakim stopniu jest wplątany w tę sprawę.

W pewnym momencie Blanca wybiegła z budynku i skręciła za róg, gdzie czekał na nią Casper. Kiedy się obejmowali, Blanca zsunęła z ramienia plecak. Różowy piórnik, wsunięty w przednią kieszeń, był doskonale widoczny.

– Co Dee powiedziała o piórniku, kiedy ją o niego zapytałeś?

Widział, jak O rzędzie mina.

– Powiedziała, że zostawiła go w domu.

Ian skinął głową w stronę Blanki i plecaka z piórnikiem.

– Dlaczego cię okłamuje? Dlatego, że jej zdaniem się nie zorientujesz? Bo jesteś taki głupi?

Nie dodał: „Bo jesteś czarny”. Nie musiał – Osei dopowiedział to sobie sam. Zapadł się w sobie zupełnie jak zamek z piasku.

– Nie mów tak.

– Mówię, co myślę. Dee jest na ogół miła. Próbuję zrozumieć, co kombinuje i dlaczego. Bo widzisz, ona nie jest przyzwyczajona do kontaktów z czarnymi. Może po prostu cię wypróbować jak nowy smak lodów.

Osei zamknął oczy.

Wystarczy, stwierdził w duchu Ian. Dość mu nagadałem. I to w idealnym momencie.

– A oto i Dee – rzucił. – Zostawię was samych.

W przeszłości, gdy inne dzieci mówiły mu lub robiły różne rzeczy – zostawiały banany na ławce, pohukiwały jak małpy albo poszeptywały między sobą, że dziwnie pachnie, lub otwarcie pytały, czy jego dziadkowie byli niewolnikami – Osei zachowywał wobec nich odpowiedni dystans, aby żadne słowa ani uczynki nie były w stanie go dotknąć. Często zbywał docinki śmiechem; powtarzał wszystko Sisi w domu, naśmiewając się z niewiedzy bądź braku wyobraźni kolegów przejawiających uprzedzenia.

– Dlaczego nie wymyślą czegoś oryginalniejszego niż małpa? – pytał siostrę. – Dlaczego nie nazwą mnie panterą? Przecież pantera jest ciemniejsza od małpy.

Sisi tylko chichotała.

– Białasy boją się czarnych panter – mówiła i unosiła pięść w salucie.

Z jakiegoś powodu jawny rasizm biorący się z głupoty był łatwiejszy do zniesienia. Bardziej go bolały subtelne drobiazgi. Dzieci zachowujące się wobec niego przyjaźnie w szkole nie zapraszały go na swoje przyjęcia urodzinowe, nawet gdy cała klasa była zaproszona – oprócz niego. Rozmowy milkły, gdy wchodził do pomieszczenia, co się nie zdarzało w wypadku innych osób. Rzucane mimochodem uwagi i dodawany zaraz po nich komentarz: „Och, Osei, nie ciebie miałem na myśli. Ty jesteś inny?” Czy też słowa: „Choć jest czarny, nie brak mu talentu” i niemożność zrozumienia, czemu są dla niego takie obraźliwe. Założenie, że jest bardziej wysportowany, ponieważ – no wiecie – czarni tacy już są. Że z tego samego powodu jest świetnym tancerzem i urodzonym przestępcą. To, jak biali mówili o Afryce, jakby to był jeden kraj. Niezdolność rozróżnienia czarnoskórych, tak że Muhammad Ali i Joe Frazier byli wiecznie myleni ze sobą, podobnie jak Tina Turner i Aretha Franklin czy Flip Wilson i Bill Cosby, i to mimo że jedno nie było ani trochę podobne do drugiego.

Złościł się bardziej na siebie niż na Dee. Na krótko –

na przedpołudnie – opuścił gardę, pozwolił sobie myśleć, że jest inna, że lubi go za to, kim jest, a nie za to, co sobą przedstawia – inną rasę, egzotykę, odmienność, niezbadane terytorium. Patrząc, jak teraz Dee idzie w jego stronę przez boisko, czuł mieszaninę emocji, wśród których znalazł się smutek, gniew i żal. Gdyby zignorował słowa Iana, uczucia byłyby bardziej pozytywne: wdzięczność za jej zainteresowanie, fizyczne przyciąganie, ciekawość na jej zaciekawienie nim. Jak jednak mógłby zignorować tę sprawę z piórnikami, czyli pierwsze kłamstwo? Otworzył się przed Dee, a ona tak prędko okazała się niegodna zaufania. Nagle zapragnął, żeby Sisi mieszkała znów z nimi i żeby mógł ją zapytać: „Dlaczego bycie czarnym przysparza cierpienia?”

„Wracaj do Afryki, braciszku”, odparłaby. „Tam czerń jest normalna, a biel bywa wyśmiewana”. Była to kusząca perspektywa. Jego rodzice prawdopodobnie by się ucieszyli, gdyby oświadczył, że chce pojechać do szkoły z internatem w Ghanie.

– Czołem – powiedziała Dee, dochodząc do niego. Pełna wahania, a nawet przestרחu.

Osei wygiął wargi w brzydkim grymasie.

– Gdzie się podziewałaś? – zapytał głosem bardziej władcym, niż zamierzał.

– Nigdzie. Ja tylko... szukałam czegoś. – Dee mówiła niechętnie, była zmieszana i wyraźnie nieszczęśliwa.

– Co takiego zgubiłaś?

Milczenie posłużyło mu za całą odpowiedź. Osei obserwował Dee, która próbowała wymyślić coś na poczekaniu, nie maskując się z tym nawet. Zaraz miał usłyszeć drugie kłamstwo.

– Zgubiłam... sweter. Chyba zostawiłam go na boisku dzień czy dwa temu, jak skakałam na skakance.

– I co? Znalazłaś?

– Nie.

– Może zostawiłaś go jednak w domu.

Dee nie odpowiedziała.

– Jesteś pewna, że nie szukałaś czegoś innego?

Dee stężała.

– O co ci chodzi?

Osei wskazał brodą Blancę i Caspera. Blanca siedziała u Caspera na kolanach, obejmując go za szyję. Oboje śmieli się i rozmawiali. Osei poczuł ukłucie zazdrości na widok ich szczęścia.

– Co z nimi?

– Spójrz na plecak Blanki.

Dee zmrużyła oczy.

– Nie rozumiem...

Ciężko było cokolwiek zobaczyć, chyba że wiedziało się, czego szukać.

– Wespnij się wyżej – poradził jej Osei. – Stąd lepiej widać.

Sam także zaczął się podciągać na drabince.

Dee zawahała się w dole.

– Czemu mi po prostu nie powiesz, czego mam szukać?

– Chodź tu, na górę – upierał się Osei.

Dee w dalszym ciągu stała na ziemi, niechętna wykonać jakikolwiek ruch.

– Dee, jeśli tu nie wejdiesz...

Zaczęła się wspinać, powoli i ostrożnie, aż dotarła na sam szczyt, gdzie usiadła na ostatnim szczeblu, trzymając się kurczowo rurki.

– W czwartej klasie raz tu utknęłam. Pan Brabant musiał mnie znieść na dół. – Zrobiła najpierw wyczekującą, a potem rozczarowaną minę, kiedy Osei nie zareagował. – Naprawdę poświęciłam się dla ciebie, wchodząc tutaj – dodała. – Co chcesz mi pokazać?

– Spójrz tam. Co widzisz w zewnętrznej kieszeni plecaka Blanki? Czy tego szukałaś?

Dee spoglądała we wskazane miejsce przez dłuższą chwilę, po czym

zaciśnięła palce na rurce jeszcze mocniej.

- Skąd on się tam wziął?
- Powiedziałaś mi, że został w domu.
- Tak myślałam.
- Naprawdę?

Dee westchnęła.

- Nie wiedziałam, co się z nim stało.
- Czyli mnie okłamałaś.
- No... sądziłam, że go znajdę... że zostawiłam go gdzieś i że go znajdę.

Nie chciałam cię denerwować, wyznając prawdę. Nie miałam pojęcia, gdzie ten piórnik jest.

- Czyli to jego teraz szukałaś?

Dee skinęła głową.

– Wiem, że należał do twojej siostry i że nie byłbyś zadowolony, gdybym go zgubiła. Próbowałam go znaleźć, tak żebyś nigdy się nie dowiedział o zgubie.

Przez moment Osei jej wierzył. Po pierwsze chciał jej wierzyć, a po drugie Dee zdawała się mówić szczerze i równie szczerze żałować. Ale zaraz wyłapał kątem oka jakiś ruch – na okręcie pirackim siedział Ian z Rodem. Obydwaj przerzucili nogi za krawędź i majtali nimi w powietrzu.

- Ty tak twierdzisz – podjął.
- Słowo!
- W takim razie jak piórnik wpadł w ręce Blanki?
- Nie mam pojęcia. Zapytajmy ją.

– Nie muszę jej o nic pytać, bo już to wiem. Dostała piórnik od Caspera, któremu wcześniej ty go dałaś. Oddałaś piórnik mojej siostry innemu chłopakowi.

- Nie! Dlaczego miałabym dawać Casperowi twój piórnik?
- No właśnie, dlaczego?

Spojrzała na niego zdumiona. Rozgniewało ją, że wykorzystuje przeciwko niej jej własne słowa. Gdyby tak się nie złościł, z pewnością czułby wstyd.

– Oszukujesz mnie, prawda? Chodzisz z Casperem!

– Co?!

– I to pewnie od dawna. Wszyscy o tym wiedzą i śmieją się za moimi plecami, jak to strugasz wariata z nowego. – Powiódł spojrzeniem po boisku, które nagle zamieniło się w plac bitwy z wieloma przeciwnikami.

– Osei, nie!

– Tylko Ian ma dość przyzwoitości, aby być ze mną szczerzy. Przynajmniej powiedział mi, co tu się naprawdę dzieje.

– Ian? A co on...? – Wyraz twarzy Dee zmienił się zniechęca. W jej oczach nie było już zdziwienia, tylko zrozumienie. Potrząsnęła gwałtownie głową. – Może jeszcze nie wiesz, ale nie powinieneś wierzyć we wszystko, co mówi Ian. Rozpowiada to, co może mu przynieść korzyść.

– Nie próbuj się bronić, obgadując innych.

– Ale... – Dee wyraźnie usiłowała wziąć się w garść. – Osei, ja nigdy nie chodziłam z Casperem – zaczęła, starannie dobierając słowa. – Znam go całe życie, ale nie widzę w nim tego, co widzę... widziałam... widzę w tobie. Poza tym – uczyniła gest w stronę Caspera i Blanki – jak sam widzisz, ci dwoje są ze sobą.

Osei słuchał, jak Dee płacze się w czasach gramatycznych, po czym pozwolił, aby milczenie się przedłużyło.

– W takim razie dlaczego tyle mi o nim mówiłaś?

– Casper mógłby być twoim najlepszym kolegą. Mógłby ci pomóc. Ian powiedział... – Urwała.

– Co powiedział Ian?

Ale Dee już patrzyła w stronę okrętu pirackiego, gdzie Ian i Rod jakby

nigdy nic rzucali żwirem w grających w kamyki chłopców.

W O znów wezbrała fala wściekłości. Był tak zły na Dee, że znowu pomija to co najważniejsze, że miał ochotę nią potrząsnąć. Już chciał ją złapać za ramię, ale Dee zaczęła schodzić po drabince, dostając się poza zasięg jego ręki.

– Dee! – rzucił.

Nie zwróciła na niego uwagi i schodziła dalej, a znalazłszy się na ziemi, skierowała się prosto do okrętu pirackiego.

– Nie odchodź ode mnie tak sobie! – krzyknął za nią Osei.

Jego przenikliwy głos sprawił, że dziewczynki skaczące na skakance i chłopcy grający w kamyki zamarli. Teraz uwaga wszystkich była skupiona na nim, chociaż wcale się o to nie prosił. Pomyślał jednak, że skoro tak, wykorzysta tę chwilę, aby ukarać Dee.

– Nie odchodź ode mnie tak sobie! – powtórzył, jeszcze bardziej podnosząc głos. Po czym dodał wyraz, który wcześniej słyszał, lecz nawet nie wyobrażał sobie, że może go użyć: – Dziwka!

Rzucone przez niego słowo przetoczyła się przez boisko niczym grom. Jeśli ktoś jeszcze nie patrzył w jego stronę, wbił w niego wzrok teraz. Nawet Blanca i Casper przestali dokazywać i rozejrzeli się dookoła.

Dee zatrzymała się z jedną stopą z tyłu, pojedynczy warkocz podkreślał sztywność jej pleców. Rod chciał zeskoczyć z okrętu, ale Ian go powstrzymał.

Siedząca po przeciwnej stronie boiska pani Lode upuściła książkę.

– Czy ja właśnie sły... – Wydawała się zaskoczona, a równocześnie zawstydzona.

Dzieci odwróciły się jak jeden mąż, aby na nią spojrzeć. Nauczycielka przełknęła ślinę, zwiesiła głowę i schyliła się po książkę.

– Wiecie, że Dee jest dziwką? – syknął Osei, zwracając się do gapiów: chłopców z kamykami w dłoniach, dziewczynek trzymających skakanę. Do Caspera i Blanki, do Iana i Roda. Czuł swoją potęgę dzięki

niepodzielnej uwadze, jaką wszyscy go nareszcie obdarzali. Uśmiechnął się, obnażając zęby; wyglądał teraz niczym warczący wilk. – Wiecie, że obiecała pójść ze mną na całość – kontynuował coraz głośniej – tak samo jak wcześniej poszła na całość z Casperem?

Blanca sapnęła głośno i zerwała się z kolan Caspera, który zaczął kręcić głową.

Dee obróciła się wolno z rozszerzonymi oczami i z otwartymi ustami. Drżała na całym ciele. Powiodła spojrzeniem do stojącego na szczycie drabinki O. Wyciągnęła przed siebie ręce zwrócone wnętrzem dłoni do góry.

– Dlaczego mówisz takie rzeczy? – zawołała.

Wyrzuty sumienia dopadły O, lecz moc, którą czuł, moc czerpana z poświęcanej mu uwagi, świadomość, że nareszcie jest słyszany, zawładnęła nim bez reszty. Nie panując nad sobą, dodał:

– Dotknęła nawet mojego kutasa, bo tak go pragnie. Wszystkie białe dziewczynki go pragną.

Chłopcy zakrzyknęli i wybuchnęli nerwowym śmiechem. Dziewczynki chóralnie sapnęły. Dee poszukała pociechy wśród swoich sojuszniczek. Wszystkie były wstrząśnięte, jedne zasłaniały dłonią usta, drugie poszeptywały do siebie nawzajem. W końcu zaczęły chichotać – oprócz Mimi, która potrząsała głową, jakby chciała się pozbyć natrętnej pszczoły.

I wtedy Dee się załamała. Obróciła się z piskiem i rzuciła się do biegu szybciej, niż można by przypuszczać. Jej sandały plaskały donośnie o asfalt. Na moment zatrzymała się przy furtce prowadzącej na ulicę, pomanipulowała przy zamku, otworzyła na oścież i wybiegła na zewnątrz, zatraskując furtkę za sobą. Gdy zniknęła za rogiem, Rod zeskoczył z okrętu i niezdarnie ruszył za nią, ale prędko zdał sobie sprawę, że nie zdoła jej dogonić. Zawrócił więc.

Po odejściu Dee atmosfera na boisku się zmieniła – zupełnie jakby

chmura przesłoniła słońce. Dzieci zaczęły między sobą rozmawiać.

- Jezu. Najpierw Casper, teraz Dee. Co się dzisiaj dzieje?
- W głowie się nie mieści, że to powiedział?
- No!
- A ja nie wierzę!
- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby dotknęła mojego kutasa.
- Zamknij się.
- Ty się zamknij.
- Biedna Dee!
- Dee nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Prawda?
- Nie wiem. Rano całego go obmacywała.
- A przed obiadem go pocałowała, widziałas?
- Co oni właściwie robili w tej piaskownicy?
- Jest zdzirowata. Zawsze tak o niej myślałam.
- Taaa.

Mimi stała wśród innych dziewczynek i ciężkim wzrokiem patrzyła na O. Blanca ze skrzyżowanymi na piersi rękami krzyczała na Caspera. Pani Lode już nie czytała, lecz stała niepewnie. Pośród tego zamieszania tylko Ian jakby nigdy nic uśmiechał się ze swego miejsca na pokładzie okrętu pirackiego.

Jak ja to wytłumaczę Sisi? zastanowił się Osei. Jego siostra wiedziałaby, co powiedzieć tym wszystkim białym ludziom.

- Czarne jest piękne – mruknął. Nigdy nie chciał w to wierzyć bardziej niż teraz.

Zapragnął złożyć głowę na ramieniu siostry i zapłakać.

Wpatrując się w O, Mimi doświadczyła *déjà vu*, tego dziwnego uczucia, że już się przeżyło taki moment. Właściwie ogarnęło ją wrażenie czegoś znajomego, jak również uczucie oderwania od rzeczywistości. Czasami Mimi doznawała *déjà vu* kilka razy na dzień, przez co zaczęło jej się wydawać, że żyje we śnie przetykanym tylko

realnymi wypadkami. W tej chwili pomyślała, że już raz była świadkiem upokorzenia Dee i niezasłużonego triumfu czarnego chłopca na szczycie drabinki. Oczywiście było to niemożliwe. Nikt nigdy nie upokorzył jeszcze Dee, a Osei w całym swoim życiu nie zatriumfował.

Mimi potarła twarz, aby pozbyć się sprzed oczu sceny, którą właśnie obejrzała. Następnie skierowała się do małego gaju. Kątem oka zauważyła, że Ian opuszcza okręt piracki, i zrozumiała, że nie zostało jej wiele czasu.

– Osei, dlaczego skłamałeś? – zawołała do niego. – Wiesz, że to wszystko nieprawda.

Osei spojrzał na nią z góry wzrokiem nowo koronowanego króla małego gaju.

– Wiem, co wiem – odpowiedział. – Mam dowody.

– Jakie dowody? Musiałyby być naprawdę mocne, żebyś mógł wygadywać takie rzeczy o Dee.

– Wejdz tutaj, to zobaczysz je na własne oczy. – Osei wskazał ręką róg sali gimnastycznej.

Mimi zmarszczyła brwi, zastanawiając się, do czego Osei zmierza, i obawiając się, że może faktycznie istnieją jakieś dowody na poparcie jego słów. Tego by nie zniosła. Kolegowała się z Dee niemal od urodzenia; nie chciała nagle się dowiedzieć, że w gruncie rzeczy w ogóle nie znała swojej najlepszej koleżanki.

Jednakże ciekawość, jak również świadomość, że Ian się zbliża, skłoniły ją do tego, by wspiąć się na drabinkę. Zdążyła znaleźć się na wysokości półtora metra i właśnie zaczynała pytać O, w którą stronę ma patrzeć, gdy poczuła, jak ktoś łapie ją za kostkę i silnie pociąga w dół, odrywając od drabinki. Leciła w powietrzu tylko przez moment, po czym wylądowała twardo na asfalcie, czując ból tak przenikliwy, że nie zauważyła nawet, jak jej głowa zderzyła się z ziemią. Przed oczami pokazały się jej gwiazdy poruszające się jak stado małych

kijanek, chwilę później zaś straciła przytomność.

Gdy doszła do siebie, bolała ją głowa, i to znacznie mocniej niż kiedykolwiek. Mimi leżała bez ruchu, ledwie wążąc się oddychać. Ból był tak przeszywający, że nie krzyczała ani nie płakała, tylko czekała, aż zaleje ją całą niczym fala i tak samo jak fala ustąpi. W końcu otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą Iana, który przyglądał się jej pustym wzrokiem i ledwie zauważalnie kręcił głową. Jeszcze wyżej dostrzegła wiszącą niczym ciemny księżyc zaniepokojoną twarz O.

– Nic ci się nie stało, Mimi? – zawołał Osei.

Nagle Blanca odepchnęła Iana na bok i uklękła obok niej, upuszczając plecak na ziemię.

– O mój Boże, Mimi! – zawołała, przykładając dłonie do policzków leżącej dziewczynki. – Nie żyjesz?

W tym samym czasie Casper odpychał Iana, pytając:

– I po coś to zrobił?

Mimi przesunęła spojrzenie na plecak i na schowany w wierzchniej kieszeni różowy piórnik. Wyłączyła słuch i skoncentrowała się na truskawkach leżących tuż przy jej twarzy. Ulżyło jej na ich widok. Wprawdzie nie były tam, gdzie być powinny, choć nie umiałyby powiedzieć, gdzie powinny być. Zamknęła znowu oczy, aby się zastanowić.

– Umarła! – wrzasnęła Blanca. – Umiera wprost na moich oczach!

Mimi nie otworzyła oczu, aby wszystkich uspokoić, tylko dalej leżała w ciemnościach, unosząc się na wciąż wzbierającej fali bólu.

W pewnym momencie usłyszała głos pani Lode, która krzyczała na dzieci, żeby się odsunęły. Szybko jednak na pierwszy plan wybiła się kłótnia chłopców.

– Jak mogłeś to zrobić Mimi? – ryczał Casper. – Spójrz, stała się jej krzywda!

– Łapy przy sobie, dupku! – odparował Ian. – Kto dał ci prawo

pilnować porządku na boisku? Poza tym kto to mówi? Siniak pod okiem Roda właśnie zaczyna zielenieć.

– Ejże, wszyscy widzieliśmy, jak pociągnąłeś Mimi, żeby spadła. Masz poważne kłopoty, wiesz?

– Poważniejsze niż twoje? Zdaje się, że zostałeś zawieszony! I zdaje się, że zawieszeni uczniowie nie mogą przebywać na terenie szkoły. Nie powinno cię tu być. Jeśli zobaczy cię jakiś nauczyciel, zostaniesz wydalony ze szkoły. Jesteś udupiony, amigo, więc bądź tak miły i zjeżdżaj stąd.

Gniew. Pogarda. Strach. Spryt. Dzięki zamkniętym oczom słuch Mimi wyostrzył się do tego stopnia, że była w stanie wychwycić najlżejszą zmianę w tonie głosu Iana, który próbował skierować uwagę na Caspera. Do tego przeklinał, czego nigdy wcześniej nie robił. *Czemu w ogóle zgodziłam się z nim chodzić?* myślała Mimi. *Przecież wcale do siebie nie pasujemy.*

– Chłopcy, natychmiast przestańcie! Blanca, przesuń się. – Pani Lode uklękła obok Mimi i zaczęła ją klepać po policzku.

Mimi zatrzepotała powiekami.

– Żyje! – rozdarła się Blanca.

– Mimi, jak się czujesz? Czy coś cię boli?

– Boli mnie głowa, ale nic poza tym nie czuję. – Mimi spróbowała poruszyć nogami, lecz nie była w stanie stwierdzić, czy jej się udało. Czuła się jak zamrożona.

– Rod, biegnij do sekretariatu, niech wezwą karetkę!

Choć pani Lode starała się mówić spokojnie, Mimi słyszała w jej głosie panikę.

– Och, gdzie jest Richard? On wiedziałby, co zrobić!

Rod wpatrywał się w leżącą Mimi.

– Szybko, Rod! – Pani Lode podniosła głos. – Biegnij! A ty, Blanca, znajdź pana Brabanta i poproś, żeby tu przyszedł.

Blanca i Rod otrząsnęli się z szoku i popędzili do budynku.

Wcześniejsza aura znowu zaczęła nachodzić Mimi, dzięki czemu dziewczynka wiedziała, że może się spodziewać niehumanicznego bólu głowy. Utkwiła spojrzenie w O, który jeszcze nie zszedł ze szczytu drabinki. Wyglądał strasznie; jego normalnie czarna skóra przybrała niezdrowy szary odcień. Mimi nie miała pojęcia, że czarnoskórzy ludzie też bledną.

Król dżungli, pomyślała. *Ale nieszczęśliwy król.*

– Osei – zawołała do niego – czy to chciałeś mi pokazać?

Poruszyła głową w stronę piórnik, chociaż sprawiło jej to ból.

Osei potaknął skinieniem.

– Mimi, lepiej, żebyś nic nie mówiła – wtrąciła pani Lode. – Po prostu odpoczywaj. – Podnosząc głos, zwróciła się do gapiów: – Rozejdźcie się do domów, proszę. Casper, co ty tu w ogóle robisz? Przecież jesteś zawieszony.

Nikt jednak nie zwracał na nią uwagi.

– Jak twoim zdaniem Blanca dostała ten piórnik? – zapytała Mimi.

Osei zmarszczył czoło.

– Casper jej go dał, a sam dostał go od Dee. Ona z nim chodzi. Obydwoje robią różne rzeczy za plecami innych.

Casper pokręcił głową.

– Nie. Nie wiem, o czym mówisz. Nie chodzę z Dee. Nigdy z nią nie chodziłem. Blanca mówiła to samo o piórniku, ale to nieprawda.

Ian także pokręcił głową.

– Ani się waż – samym ruchem warg powiedział do Mimi.

Mimi go zignorowała. Już ją skrzywdził. Co jeszcze może jej zrobić?

– Osei, założę się, że Blanca dostała ten piórnik od Iana, który jej powiedział, że to prezent od Caspera.

Pani Lode powiodła spojrzeniem od jednego dziecka do drugiego.

– O czym wy mówicie? – zapytała.

Osei nie spuszczał oczu z Mimi.

– Skąd wiesz?

– Bo to ja dałam piórnik Ianowi. Dee przypadkiem go upuściła, a ja zamiast jej go zwrócić, dałam go Ianowi.

– Ale dlaczego? Dlaczego?

– Chcesz wiedzieć, co zrobiła Mimi? – zaczął Ian. – Niezła z niej suka.

– Ian! Nie wyrażaj się! Przestańcie wszyscy! Och, gdzie jest Richard? Gdzie pani dyrektor? Nie wiem, co począć!

Pani Lode się rozpłakała.

– Dałam piórnik Ianowi, bo mu na nim zależało – wyjaśniła Mimi, zwracając się bezpośrednio do O. – Tym sposobem zmusiłam go, żeby ze mną zerwał. Inaczej miałby mnie w swojej mocy, a tego bym dłużej nie zniosła. Przepraszam – dodała. – Nie miałam pojęcia, że wykorzysta go przeciwko tobie.

Mówiąc to, zdawała sobie sprawę, że nie chce stawić czoła faktom. Od samego początku doskonale wiedziała, że jakikolwiek użytek Ian zrobi z piórnika, na pewno cel będzie niecny.

Osei nie przestawał się w nią wpatrywać. *Nawet tobie nie mogę ufać?* pytały jego oczy.

Mimi przegoniła łzy spod powiek mruganiem, przepełniona żalem, że także przyłożyła do tego rękę, co było tak bardzo nie w jej stylu. Cóż, będzie musiała z tym żyć.

Nagle Osei przeniósł spojrzenie na Iana.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Ian wzruszył ramionami.

– Bo mogłem.

Pani Lode przysłuchiwała się rozmowie dzieci z taką miną, jakby kazano jej rozwiązać wyjątkowo skomplikowane zadanie z matematyki.

– Mimi, czyja to wina? – szepnęła.

– Iana – odparła Mimi. – Wszystko to wina Iana.

Pani Lode wzięła głęboki oddech, otarła oczy i podniosła się na nogi.

– Ian, co masz na swoje usprawiedliwienie?

– Nic. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Ian zacisnął usta, aby dać jasno do zrozumienia, że nie powie ani słowa więcej. W oczach Mimi wydawał się niegrzecznym chłopcem – szubrawcem, uściśliła w myślach leniwie – który przyłapany na gorącym uczynku zamyka oczy w nadziei, że jeśli on nikogo nie widzi, jego także nie widzą. Ian zaczął się cofać, strzelając oczami na wszystkie strony, jakby szukał drogi ucieczki.

Rozległy się donośne kroki dorosłego.

– Co tu się na Boga Ojca wyprawia? – usłyszała Mimi pana Brabanta, zanim go zobaczyła. – Gdzie jest Dee?

– Poszła do domu – odparł Casper. – Chyba.

– Nic jej nie jest?

– Chyba nie.

– Jak to: chyba?

Casper milczał.

Gdy wykrzywiona grymasem twarz pana Brabanta pojawiła się w polu widzenia Mimi, dziewczynka pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała go tak wściekłego. Obrzucił ją tylko przelotnym spojrzeniem, po czym natychmiast uniósł wzrok.

– Osei, co zrobiłeś Mimi? Natychmiast stamtąd zejdź! Ostrzegałem cię!

Jego słowa nie wywarły żadnego wrażenia na O. Nowy uczeń pozostał na ostatnim szczeblu drabinki, gapiąc się na wychowawcę pustym wzrokiem.

Wycie syreny w oddali przybrało na sile.

– Richard, nie sądzę, by...

– Słyszałeś mnie, chłopcze? – Pan Brabant gorzał niczym rozplómienna lampka. – Złaż stamtąd, czarnuchu!

Mimi szarpnęła głową, jedyną częścią ciała, którą była w stanie poruszać. Rodzice nauczyli ją, że nie wymawia się tego słowa pod żadnym pozorem. Nigdy. Przenigdy. Nie wolno go używać nawet w myślach.

Pozostali uczniowie stali w bezruchu i w ciszy, sztywno wyprostowani z powodu szoku, jakiego doznali, słysząc to słowo z ust nauczyciela. Jedynie Ian cofał się dalej jakby nigdy nic.

– Nie! – zawołała pani Lode przez łyzy. Była cała czerwona na twarzy. Mimi sądziła, że wychowawczynie próbuje zatrzymać Iana, ona jednak dodała: – Nie mów tak! Nie mówi się w ten sposób, Richardzie. Po prostu tak się nie mówi.

Pan Brabant nawet jej nie usłyszał. Dalej patrzył groźnie na O. Nowy uczeń wykonał ruch. Nie zaczął jednak schodzić na ziemię, tylko wyprostował się i niebezpiecznie balansując, stanął na ostatnim szczeblu drabinki. Rozkładając ręce, zakołysał się nad boiskiem. Później zacisnął prawą dłoń w pięść i uniósł ją wysoko, nie przestając patrzeć na pana Brabanta. Mimi rozpoznała ten gest, widziała go wcześniej na jakimś zdjęciu.

– Wiecie co? – rzucił niezbyt głośno, lecz mimo wszystko przenikliwie. – Czarne naprawdę jest piękne!

– Osei, proszę cię, zejź stamtąd. – Stonowany władczy głos pani Duke rozległ się gdzieś za głową Mimi. Równocześnie do nozdrzy dziewczynki doleciał duszący zapach perfum dyrektorki. – Myślę, że wystarczy dramatyzmu jak na jeden dzień.

Osei zerknął na nią.

– Chce pani, żebym zszedł? – zapytał równie spokojnie.

– Tak, bardzo cię proszę.

Osei przeniósł spojrzenie na wychowawcę.

– A pan? Chce pan, żebym zszedł? – zapytał nieco głośniej.

Choć pan Brabant dalej miażdżył go wzrokiem, kiwnął lekko głową.

– Dobrze. Zejdę, i to zaraz.

Nie opuszczając pięści, Osei zaczął kiwać się w przód i w tył. Mimi nie była pewna, czy robi to celowo czy bezwiednie.

– Przestań! – krzyknął do chłopca pan Brabant, choć musiał już zdawać sobie sprawę, że nie ma nad nowym uczniem żadnej władzy.

Mimi chciała dodać: „Osei, chyba nie chcesz skończyć tak jak ja.” Nadal nie była w stanie ruszyć nogami. To zapewne był jej ostatni dzień na szkolnym boisku. I Iana też – Casper złapał go za ramiona i powstrzymał przed ucieczką. Było więcej niż pewne, że Ian zostanie zawieszony w prawach ucznia, a może nawet wydalony ze szkoły. A Dee? Czy Dee kiedykolwiek wróci do szkoły po tym, co powiedziano i uczyniono w jej imieniu?

W końcu został tylko Osei – król kiwający się na swoim tronie. Stał przed wyborem. *Nie, już dokonał wyboru*, uświadomiła sobie Mimi. Tuż przed tym, zanim rzucił się w dół, Mimi usłyszała, jak pani Lode woła:

– Osei, nie!

Później ogarnęła ją ciemność i cała scena poczerniała.



współcześni uznani autorzy
dramaturg wszech czasów
uniwersalne historie opowiedziane na nowo

- ZIMOWA OPOWIEŚĆ • Jeanette Winterson
- KUPIEC WENECKI • Howard Jacobson
- POSKROMIENIE ZŁOŚNICY • Anne Tyler
- BURZA • Margaret Atwood
- OTELLO • Tracy Chevalier
- MAKBET • Jo Nesbø
- HAMLET • Gillian Flynn



Ten nowy

Lata siedemdziesiąte. Dyplomata z Ghany przeprowadza się z rodziną na przedmieścia Waszyngtonu. Jego syn, jedenastoletni Osei, już pierwszego dnia w nowej szkole zaprzyjaźnia się z najpopularniejszą uczennicą. Znajomość szkolnej gwiazdy i jedynego czarnoskórego ucznia nie wszystkim przypada do gustu...

Przejmująca opowieść o zazdrości, przyjaźni i dyskryminacji, napisana przez autorkę *Dziewczyny z perłą*.



Patron medialny PROJEKTU SZEKSPIR

ams